

PROF. GRZEGORZ EKIERT

– ŻYJEMY W MOMENCIE
SZALEŃSTWA

**PIOSENKI GAWĘDY ŚPIEWA
CZWARTE POKOLENIE**

EWA NOWAKOWSKA

LGBT – WIELKA BATALIA
KOŚCIOŁA

**POLSCY KIEROWCY
– REKORDZIŚCI W PICIU**

Tajne służby
ślepe i głuche

KONIEC POLSKICH BONDÓW



ABSURDALNIE ZABAWNA KOMEDIA ROMANTYCZNA

NIEZBĘDNA KONIECZNOŚĆ

SZCZEGÓLNIIE POLECANA FANOM WESA ANDERSONA!

REŻYSERIA ERWAN LE DUC

QUINZAINE
TYDZIEŃ KRYTYKI FILMOWEJ
CANNES

W KINACH OD 13 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



AURORA

CYTATY

BRONTIS JODOROWSKY,
meksykańsko-francuski
aktor i reżyser
*Biedni mają raj
w niebie. Bogaci mają
raje podatkowe.*
„Forum”

**PROF. STEPHEN
SESTANOVICH,**
Uniwersytet Columbia
*Trump uważa, że w handlu
zawsze ktoś kogoś oszukuje,
a zatem im więcej z kimś
handlujesz, tym więcej
przekrętów ma miejsce.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

ZBIGNIEW NAMYSŁOWSKI,
wybitny jazzman
*Jazzmani mieli najwięcej
swobody. Cenzura się nie
wtrącała, bo jak miałyby
ingerować w naszą
muzykę?*
„Polityka”

LECH JANERKA,
wokalista, kompozytor
*Nawet jak nie mam
warunków ani narzędzi,
czuję, że warto się napić.*
„Tygodnik Powszechny”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kłamcy sami się nie wybrali

Wierzący, ale niepraktykujący. Tak widzę większość ludzi rządzących dziś Polską. I nie klóci się z tym pokazowy udział polityków we wszelkich możliwych uroczystościach religijnych. Kochają tam być, bo to jedna z niewielu możliwości bliskiego kontaktu z ludem wyborczym. Ludem kochanym przed kolejnymi wyborami, a na co dzień traktowanym jak ciemna masa, która kupi każdą brednię.

Politycy PiS, od gminy po Nowogrodzką, jeśli w coś naprawdę wierzą, to w moc 500+. Wierzą, że jest to dla nich cudowna przepustka do długich rządów. Będą rządzić, ale trzeba stale przypominać, że właśnie oni dali tę kasę. I stąd bierze się wiara PiS w siłę propagandy. Nie szczędzą na nią kasy. Oczywiście nie tej partyjnej ze składek czy dotacji, ale naszej. Publicznej. Bo kto im coś zrobi? Zwłaszcza przy tak wysokim poparciu, jakie mają w sondażach. Im mniej skomplikowana natura działacza czy beneficjenta władzy, tym większa jego wiara w cud wiecznej władzy.

Ale co mądrzejszym przychodzi już do głowy myśl, dość oczywista, że eldorado, stały dostęp do skarbczyka, może za miesiąc się skończyć. I co wtedy zrobią sieroty po PiS? Większość będzie udawała, że nie było ich tam, gdzie byli. Chętnie też opowiedzą, jak przymuszano ich do wygłaszania rozmaitych bredni i robienia świństw.

Powołają się przy tym na niszczący ich morale przykład przywódców „dobrej zmiany”. Przypomną, że praktycznie każda wypowiedź prezydenta Dudy czy premiera Morawieckiego to były propagandowe brednie. Wszyscy wiemy, jak kłamali o powstaniu warszawskim i o II wojnie światowej. Wiemy, że kłamstwa na temat historii PRL to ich znak firmowy.

Tymi kłamstwami są zachwyceni potomkowie szmalcowników, spadkobiercy morderców chłopów, którzy orali ziemię otrzymaną z reformy rolnej, i nauczycieli, którzy analfabetów uczyli pisać i czytać. Szczęśliwi są ideowi następcy żołnierzy NSZ kolaborujących z hitlerowcami. Ich przodkowie dla obecnej władzy to prawdziwi bohaterowie. To „Ogień”, „Bury” i im podobni są opoką mitu założycielskiego obecnej władzy. Ci „dobrzy” ludzie z przeszłości są wzorem dla „dobrej” zmiany dziś. Można powiedzieć, że każdy ma takich bohaterów, na jakich zasługuje. A w demokracji każdy naród ma taką władzę, jaką sobie wybierze. Sama przecież na tych urządach się nie osadziła.

BĄKOWSKI

Słuchaj nas
W  **AudioDelic**
PRZEGLĄD
co tydzień w wersji audio
Pobierz aplikację i słuchaj tekstów
czytanych przez profesjonalnych
lektorów!
SUBSKRYPCJA
19,99 zł



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Żyjemy w momencie szaleństwa**
– rozmowa z prof. Grzegorzem Ekiertem
- 12 Tajne służby ślepe i głuche**
Politycy prawicy zdemolowali wywiad
- 16 Na podwójnym gazie**
Coraz więcej pijanych kierowców
- 44 Piosenki Gawędy śpiewa czwarte pokolenie**
Nie mają siedziby, ale istnieją

OPINIE

- 20 Ewa Nowakowska**
I kto to mówi?!

ZAGRANICA

- 24 Drenaż mózgow osłabia Hiszpanię**
Emigracja pracowników naukowych
- 26 Triumf obrońców starego porządku**
Korespondencja z Berlina
- 30 Wykluczeni od urodzenia**
Problemy mniejszości etnicznych

HISTORIA

- 32 Berling odwołany za pomoc powstańcom**
Wyzwolenie warszawskiej Pragi
- 34 Kto otworzył drogę Hitlerowi?**
Polska a rozbiór Czechosłowacji

KULTURA

- 38 Bardziej autor niż pisarz**
– rozmowa z Pawłem Sołtysem
- 42 Kulturalia**
- 48 Festiwale na peryferiach**
Kultura dzięki ludziom dobrej woli
- 66 Satyrykon – Legnica 2019**

OBSERWACJE

- 52 Nacja bez wakacji**
Korespondencja ze Stanów Zjednoczonych
- 58 Kot pod wulkanem**
Zwierzęta na kłęski żywiołowe

EKOLOGIA

- 55 Afrykańskie płuca Ziemi**
- 56 Kozy strażaczki**
Portugalski sposób na pożary lasów

ZDROWIE

- 60 Względność zabiegu chirurgicznego:**
Albert Einstein

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kłamcy sami się nie wybrali
- 19 Roman Kurkiewicz**
Weselej nad tymi wyborami
- 29 Tomasz Jastrun**
Szczerzenie zębów
- 41 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Upokorzenie
- 51 Edward Mikołajczyk**
A Führer jak pachniał?



30

ZAGRANICA

WYKLUCZENI OD URODZENIA

Problemy mniejszości etnicznych

38

KULTURA

BARDZIEJ AUTOR NIŻ PISARZ

– rozmowa z Pawłem Sołtysem



44

REPORTAŻ

PIOSENKI GAWĘDY ŚPIEWA CZWARTE POKOLENIE

Nie mają siedziby, ale istnieją

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Monika Borys

O fenomenie disco polo

Papież Franciszek

nie odwiedza Argentyny

Młodzi samobójcy

Niepozorne początki dramatów

✉ Wojenne decyzje

Każda rocznica klęski wrześniowej zapisuje się sporami dotyczącymi odpowiedzialności ludzi mających większy lub mniejszy w niej udział. Artykuł Pawła Dybicza (PRZEGŁĄD nr 35) jest solidnie udokumentowany. Ale od pewnego czasu pojawiają się autorzy, którzy „w obronie prawdy”, bez dokumentacji historycznej, snują własne wersje zdarzeń i oceniają bohaterów września. W „imię prawdy” został m.in. spostonowany przez Mariusza Borowiaka mjr Henryk Sucharski, komendant składnicy tranzytowej na Westerplatte, za próbę poddania placówki już 2 września. Nie dopuścili do niej podlegli Sucharskiemu oficerowie, jakoby z użyciem siły wobec załamane dowódcy. Sucharski miał prawo podjąć taką decyzję, nie uchybiając honorowi żołnierza. Minęły wszelkie terminy obrony wyznaczone przez naczelne dowództwo. Wiedział, że pomoc nie nadejdzie. Placówka była po ciężkim bombardowaniu i zniszczeniu wraz z załogą jednego z głównych punktów obrony. Przybywało zabitych i rannych. Zgodnie z pragmatyką wojskową o osobistej odpowiedzialności dowódcy miał prawo sam podjąć decyzję o zakończeniu walki. Podlegli mu oficerowie mieli natomiast obowiązek poddać się jego decyzji. Nie poddali się, okazali się buntownikami (nie wykonali rozkazu) i bardziej straceńcami niż bohaterami.

Miesiąc później gen. Franciszek Kleeberg poddał swoje zgrupowanie, które nie wyczerpało jeszcze możliwości walki. W znanym rozkazie uzasadnił to koniecznością zachowania



wania krwi żołnierskiej, która może być jeszcze potrzebna. Wiadomo, i to nie plotki, że część oficerów była przeciwna decyzji o kapitulacji i uciekła, lecz nie buntowała się przeciw rozkazowi. Jak opowiadali mi mieszkańcy okolic Kocaka, wielu w obliczu klęski, w rozpaczy wybrało samobójczą śmierć, co nie było oznaką buntu, lecz zadośćuczyniło ich pojęciu honoru. Nikt nie potępia gen. Kleeberga, co więcej, stawia się go za wzór dowódcy.

Prof. dr hab. Ryszard Turski, Lublin

✉ Jak szkota?

Niszczenie szkół publicznych zaczęło się już w 1989 r. Zarzucano nauczycielom, że rozwiązują za uczniów prace maturalne, nie uczą, tylko podpowiadają i – co najgorsze – wymagają. Szkołę, której korzenie sięgały okresu międzywojennego, postanowiono „odkomuszyć”. Efektem były m.in. reforma matur oraz wprowadzenie trzyletnich gimnazjów i trzyletnich liceów. Efekty? Dawna matura np. z historii sprawdzała umiejętność posługiwania się językiem polskim, znajomość faktów, umiejętności analizy i syntezy materiału. Nie bez znaczenia były egzaminy ustne, których dziś brakuje. Gimnazja można by pozostawić przy podstawówkach, uczniowie o większych możliwościach intelektualnych mogliby zaliczyć gimnazjum przy szkołach maturalnych. Co roku „Perspektywy” tworzą rankingi szkół. Czołowe miejsca zajmują w nich szkoły publiczne czy prywatne?

Bogdan



Papież przed przybyciem na Madagaskar zapowiedział: „Nawet jeśli będę mógł odwiedzić tylko kilka miejsc, z modlitwą dotrę do wszystkich”.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego politycy PiS tak chętnie świętują rocznice klęsk?

DR HAB. ANNA PACZEŚNIAK,
politolożka, Uniwersytet Wrocławski

Na to pytanie można odpowiedzieć innym pytaniem: czy tylko PiS chce się ogrzać przy rocznicach narodowych klęsk, czy robiły tak wszystkie dotychczas rządzące partie? Przypominam sobie tylko jedne huczne państwowe obchody sukcesu, z udziałem m.in. Baracka Obamy – zorganizowała je Platforma Obywatelska, a poświęcone były 25. rocznicy wyborów w 1989 r. Może jest w nas, Polakach, coś takiego, że nie bardzo wiemy, jak upamiętniać sukcesy, których przecież mamy kilka na koncie. Wydaje mi się, że PiS, które tak wiele próbuje zmieniać w polityce i społeczeństwie, w tej sprawie nie ma ambicji, by pójść niewydeptaną ścieżką. Zamiast tego idzie na łatwiznę: skoro z małymi wyjątkami przez 30 lat wszyscy świętowali klęski, to obecna formacja rządząca nie będzie wymyślać niczego nowego.

DR MIKOŁAJ MIROWSKI,
Muzeum Historii Polski

Nie wydaje mi się, by politycy – nie tylko PiS, ale i innych sił – ochoczo świętowali tylko klęski. Mieliśmy niedawno poważne obchody 99. rocznicy Bitwy

Warszawskiej, która jako żywo była wielkim zwycięstwem, ważnym nie tylko dla Polski. Dzięki ich przeniesieniu do Katowic można było przy okazji przypomnieć o powstaniach śląskich, z których trzecie zakończyło się dużym sukcesem, gdyż w wyniku tego zrywu tzw. Rada Ambasadatorów zdecydowała o korzystniejszym dla Polski podziale Śląska. Rzecz jasna, uroczystości przypominane są także daty odnoszące się do tragicznych losów Rzeczypospolitej, ale znaczenie ich obchodów nie musi się ograniczać do pielęgnowania narodowej martyrologii. Powstanie warszawskie było wielką tragedią, ale pamięć o tym doświadczeniu w 1956 r. uchroniła nas przed podążeniem drogą Węgier, a jej dalekim dziedzictwem był także pokojowy ruch Solidarności.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Wydaje mi się, że świętowanie klęsk jest bardziej ogólnym fenomenem polskiej kultury historycznej. Proszę zauważyć, że jedyny bezdyskusyjnie udany zryw, powstanie wielkopolskie, jest upamiętniany raczej lokalnie i bez większej pompy. Trwa natomiast polityczna gra w kości umarłych. Być może historyczne

porażki mają usprawiedliwiać nasze dzisiejsze nieudacznictwo: jest, jak jest, bo w przeszłości cały świat sprzysiął się przeciwko nam. Szkoda, że wolimy świętować klęski – choć oczywiście np. o 1 i 17 września należy przypominać – zamiast odpowiednio celebrować choćby rocznicę wstąpienia Polski do UE czy wyborów z 1989 r.

Czytelniczki PRZEGLĄDU



NINA BARTKIEWICZ

Bo wiedzą, że większość Polaków to lubi. Lepiej czuć się pokrzywdzonym niż nieudolnym.

BOŻENA MIERNIK

Niewiele było zwycięstw w naszej historii, więc PiS chce zawłaszczyć umysły, organizując różne święta wykorzystujące daty klęsk narodowych. Polacy chcą świętować, a łatwo im wmówić różne rzeczy, dlatego zamiana klęski w powód do chwały nie jest trudna. Organizuje się zatem kolejne uroczystości w rocznice tragicznych wydarzeń. Może to podkreśla naszą dumę narodową? Smutne.

Not. Michał Sobczyk

Żyjemy w momencie szaleństwa

Świat zmienia się dramatycznie szybko i nie bardzo wiemy, dokąd idzie

Rozmawia Robert Walenciak

Przed światem stają coraz poważniejsze problemy, a ekipy, które mają je rozwiązywać, są coraz mniej poważne.

To przypadek?

– Świat jest po prostu na wielkim zakręcie. Taka sytuacja zdarza się nieczęsto, prawdopodobnie raz na sto lat – wszystkie drogowskazy, które regulują ruch, nagle zaczynają się kręcić w koło i nie ma jasnych odpowiedzi na podstawowe pytania i dylematy, z którymi mierzą się i politycy, i uczeni. To widać nie tylko w Europie, ale też w Ameryce, na Wschodzie. Jest to moment ogromnych niepewności i często nietrafnych czy przypadkowych decyzji. Socjologowie nazywają to momentem madness, szaleństwa, kiedy zaciera się granica między racjonalnością a emocjami. Żyjemy w okresie wielkiego przyspieszenia oraz gigantycznej transformacji ekonomicznej i technologicznej. Podobna transformacja miała miejsce w XIX w. Wielcy socjologowie i filozofowie zastanawiali się wtedy nad jej naturą, próbowali zgadnąć, jakie są motory tej zmiany i w którą stronę świat zmierza. Od Marksa po Durkheima. Dziś sytuacja bardzo przypomina tamtą. Świat się zmienia dramatycznie szybko i nie bardzo wiemy, dokąd idzie.

Nasza demokratyczna machina działa wolno jak ślimak

OK, tego nie wiemy. Ale dlaczego w takiej sytuacji stawiamy na czele nie najlepszych, ale średniaków, ludzi niezbyt lotnych?

– Jest różnie w różnych miejscach. To, że Donald Trump jest niekompetentnym politykiem, nie znaczy wcale, że w sferach rządzących Ameryki nie ma bardzo inteligentnych i mądrych ludzi. Tak samo w Europie – to, że mamy kilku pre-



PROF. GRZEGORZ EKIERT

mierów poniżej średniej, nie znaczy, że nie ma tu potencjału intelektualnego ani mądrych polityków. Tak w demokracjach bywa, że dochodzi do wypadków przy pracy i czasem są wybierani ludzie, którzy z rozmaitych powodów do pełnienia funkcji się nie nadają. Wydaje mi się jednak, że stoją przed nami większe wyzwania niż tylko wybór kompetentnych liderów.

Jakie?

– Nie mamy wciąż odpowiedzi na to, w jaki sposób powinniśmy zmieniać społeczeństwo i dostosowywać instytucje polityczne i ekonomiczne do zmieniających się czasów. Tu liderom musi przyjść z pomocą jakaś

pogłębiona refleksja filozoficzna, potrzebne są analizy socjologiczne i politologiczne pokazujące, co jest ważne, co mniej ważne, jakie są konsekwencje różnych decyzji i zmian. Sami politycy tego nie wymyślą. Parę tygodni temu miałem przyjemność odbyć dłuższą rozmowę z Angelą Merkel. Zapytałem, jakie według niej są ważne źródła kłopotów we współczesnych demokracjach.

I co panu odpowiedziała?

– Ona twierdzi, że zmiany, które następują w różnych dziedzinach życia społecznego, są tak szybkie, że wymykają się spod kontroli decydentów. Wyzwania, które pojawiają się w poszczególnych sferach życia, wymagają podejmowania szybkich decyzji. Tymczasem zasiedziały, tradycyjne instytucje demokratyczne zwalniają ten proces. Zanim dana sprawa przejdzie przez wszystkie komitety, zostanie przegłosowana przez parlament i obroni się przed pozwami sądowymi, mijają dwadzieścia trzy lata. Angela Merkel uważa, że niezadowolenie z demokracji, które widzimy, w dużej mierze wynika z tego, że nasza demokratyczna machina działa wolno jak ślimak.

Może więc powinniśmy zreformować instytucje demokracji, żeby je przystosować do szybszego podejmowania decyzji?

– Te instytucje wyewoluowały w długim okresie historycznym i adaptowały się do zmieniających warunków. Możemy więc założyć, że mamy w miarę dobry system instytucji – szczególnie w porównaniu z systemami autorytarnymi – dający możliwość reprezentacji różnych interesów i wyposażony we w miarę

Grzegorz Ekiert – profesor Uniwersytetu Harvarda, dyrektor Centrum Studiów Europejskich Minda de Gunzburg. Jest członkiem komitetów doradczych Ośrodka Naukowego Badań Społecznych w Berlinie (Wissenschaftszentrum Berlin für Sozialforschung) i Klubu Mądryckiego. Członek Grupy Inicjatywnej Concilium Civitas, forum polskich naukowców pracujących na zagranicznych uniwersytetach.

transparentne mechanizmy podejmowania decyzji i rządzenia. Nie znaczy to jednak, że demokracji nie można zmodernizować ani zreformować. Ale nie bardzo wiemy jak, trudno sobie wyobrazić, czym można by zastąpić dzisiejsze instytucje demokratyczne.

Orbán mówi, że powinna to być „demokracja nieliberalna”. Podobnie wypowiadają się Putin i Erdoğan.

– Demokracja nieliberalna to oksymoron. Nie istnieje rzeczywista demokracja bez praw i wolności obywatelskich, czyli zasad liberalnych. Wrogowie demokracji, tacy jak Putin, Erdoğan czy Maduro, zaakceptowali to, czego autokraci przez większość XX w. nie akceptowali – wybory jako mechanizm, który jest ważny, żeby legitymizować władzę autorytarną. „Demokracja nieliberalna” to kolejna „demokracja ludowa”, która z rzeczywistą demokracją ma niewiele wspólnego.

A który system jest bardziej efektywny? W „demokracji nieliberalnej” nie ma wymaganych przez liberalną bezpieczników, które spowalniają działanie.

– Jeśli pan się zastanowi, w jakim stanie jest gospodarka rosyjska czy turecka i jakie świadczenia społeczne oferują obywatelom te państwa „dobrobytu”, odpowiedź na to pytanie będzie prosta.

Demokratyczna polityka ma bardzo krótkoterminowy horyzont

Może w takim razie, zamiast ograniczać demokrację, dajmy jej więcej? Może nie będzie szybciej podejmowanych decyzji, ale ludzie będą czuli, że od nich wiele zależy.

– Jest olbrzymia grupa ludzi, którzy uważają, że rozwiązanie naszych problemów polega na oddaniu różnych decyzji w jak najszerze ręce. Mówią oni o deficycie demokratycznym i postulują wprowadzenie demokratycznych procedur w dziedzinach życia, które dotąd były i są sterowane przez zawodowych technokratów. Albo nawet proponują budowanie paralelnych instytucji deliberacyjnych, obok tradycyjnych, takich jak parlamenty czy partie. Paradoksalnie te postulaty zgłaszają zarówno populiści, jak i liberaltowie.

Lewica i prawica.

– I staje się to coraz modniejsze. Tak jakby już nie pamiętano, dlaczego takie instytucje ponadpolityczne zostały wprowadzone w przeszłości. A przecież wprowadzono je właśnie po to, żeby zniwelować problemy wynikające z natury demokracji, chronić ją przed ciągłą ingerencją i nadużyciami ze strony elit rządzących.

Czyli?

– Demokratyczna polityka ma bardzo krótkoterminowy horyzont. Politycy są przede wszystkim zainteresowani wygraniem następnych wyborów, w związku z tym podejmują wiele decyzji wyłącznie po to, żeby je wygrać. A gdy wygrają, zastanawiają się, jak zlikwidować konsekwencje tych swoich często złych decyzji. Ponadpolityczne instytucje zostały wprowadzone, żeby nadać myśleniu o sprawach państwa dłuższy horyzont czasowy, żeby ograniczyć polityków i uniemożliwić im podejmowanie decyzji mających na celu tylko zafatwanie partykularnych interesów. Żeby utrzymać sytuację, w której rządzący mogą przegrać

system demokratyczny. Działająca demokracja polega jednak na tym, że jest w stanie utrzymać ramy instytucjonalne ograniczające władzę i decyzje polityków, a także kontrolować oraz odwołać polityków, którzy reguły demokratyczne łamią.

Stan niepewności jest głęboki i powszechny

A jeżeli naród nie chce tych ram? Jeżeli chce zmiany? Bo jest straszony uchodźcami, klimatem itd.?

– Można by wiele powiedzieć o tym, jak rządzący i media manipulują emocjami, abstrahując od kwestii, kto to jest ten naród, któremu nie zależy na kontrolowaniu polityków. Jeśli robi pan listę tematów, o których pan usłyszy w radiu i telewizji w ciągu następnych 24 godzin, zobacz pan, że 90% tych wiadomości dotyczy spraw negatywnych, wprowadzających ludzi w stan zaniepokojenia. To oczywiście wynik prostego mechanizmu psychologicznego. Ludzie faktycznie przywiązują większą wagę do informacji negatywnych

Jesteśmy w okresie wielkiego przyspieszenia oraz gigantycznej transformacji ekonomicznej i technologicznej.

wybory. Ponadpolityczne instytucje zapobiegają też „tyranii większości”. Dobre państwo ma niezależny bank centralny, niezależne sądy, niezależnego rzecznika praw obywatelskich, niezależne instytucje kontroli.

Na to oni mówią, że bank centralny jest siedzibą ludzi nierozumiejących zwykłego Kowalskiego, a sądy to kasta. Znowu mamy schemat: lud kontra wyszereżona elita.

– To dość typowy sposób manipulacji nastrojami i urabiania opinii publicznej. Politycy chcą władzy i nie lubią być ograniczani ani przez prawa, ani przez niezależne instytucje. Erdoğan właśnie się pozbył szefa banku centralnego i nakazał obniżenie stóp procentowych, a sądy spacyfikował już dawno temu. Trump także jest niezadowolony ze swojego banku centralnego, napada na sędziów, których decyzje go ograniczają, i też ma zapędy, żeby zrobić potężne zmiany w Sądzie Najwyższym. Żaden autokrata przekonany o swojej nieomyślności nie zaakceptuje ograniczeń narzuconych przez

i stwarzających zagrożenie niż do przekazów o rzeczach pozytywnych. Media, próbując przykuć naszą uwagę, produkują więc te straszące informacje, a do tego politycy dorzucają więcej niż trzy grosze. Paradoksalnie współczesne zamożne społeczeństwa ciągle są straszone i wprowadzane w stan zagrożenia. Jest to nawet bardziej widoczne w USA niż w Europie.

Nie wierzę.

– W Ameryce, obok tych wszystkich problemów, które globalnie odczuwamy, pojawiają się inne, które w Europie mają dużo mniejsze znaczenie – np. czy będzie nas stać, żeby przejść na emeryturę, czy będziemy mieli pieniądze, żeby opłacić dzieciom horrendalnie wysokie czesne w szkołach, co się stanie, gdy zachorujemy, bo nie wiadomo, czy nasze ubezpieczenie pokryje nam koszty leczenia. Stan niepewności jest głęboki i powszechny. Żaden z tych problemów, o których rozmawiamy – od globalnego ocieplenia, przez migrację, nierówności, powrót autorytaryzmu, do poczucia niepew-

► ności i zagubienia – nie ma prostego rozwiązania. Może poza jednym – badania wskazują, że ludzie żyjący w dobrze zintegrowanych małych wspólnotach są w lepszym stanie psychicznym, mniej chorują i żyją dłużej. Wygląda więc na to, że kontakty społeczne z innymi ludźmi są tym mechanizmem, który pozwala czuć się lepiej.

Nie oglądać telewizji, rozmawiać z rodziną...

– Albo z przyjaciółmi. Lub przystąpić do małej, lokalnej organizacji społecznej, która robi coś pożytecznego i ważnego. Kiedyś mieliśmy duże, wielopokoleniowe rodziny pełniące funkcję społecznej grupy odniesienia, w której wiele rzeczy się działo i która dawała wsparcie oraz poczucie bezpieczeństwa. To znikło. Postęp zniszczył rodziny wielopokoleniowe, ludzie żyją samotnie, w małych rodzinach,

Spółeczeństwo obywatelskie, wielu małych organizacji, w których pracę można się angażować, może być substytutem więzi społecznych.

mają mało dzieci. Substytutem tych więzi społecznych, mających dobry wpływ na nasze samopoczucie i życie, może zatem się stać społeczeństwo obywatelskie, wielu małych organizacji, w których pracę można się angażować, spotykać innych i razem coś robić.

Bo inaczej zniszczy nas wyścig szczurów?

– Mamy w tej chwili wiele paralelnych wyścigów szczurów. Taki klasyczny to rywalizacja o lepsze miejsce pracy, o pieniądze, miejsce na drabinie społecznej. Ale mamy też wyścig szczurów w turystyce, ponieważ wszyscy chcą zwiedzać miejsca, które inni również chcą zwiedzać. Jeśli pan pojedzie do Barcelony, Wenecji, Katmandu czy na Machu Picchu, zobaczy pan, na czym polega ten wyścig. Tysiące ludzi idzie ławą i to, o czym marzyli – że przyjadą i nacieszą się wspaniałymi zabytkami i inną kulturą – traci kompletnie sens. To samo można powiedzieć o wyścigu konsumpcyjnym, o lawinowo generowanych nowych potrzebach, które każdy natychmiast musi zaspokoić. To wszystko jest częścią doświadczanej przez nas galopującej modernizacji, która generuje lęki i napięcia.

Ten wygrywa, kto jest lepiej zorganizowany na szczeblu lokalnym

Gdy mówimy o społeczeństwie obywatelskim, o małych grupach, warto mieć na uwadze, że one mogą służyć czasami dobrej sprawie, a czasami złej. Stowarzyszenia kibiców to też rodzaj społeczeństwa obywatelskiego.

– Przez ostatnie 30-40 lat mówiono o społeczeństwie obywatelskim przez duże O, jako o projekcie moralnym, który prowadzi do pozytywnych konsekwencji i wspiera demokrację. O tym, że jego aktorzy z natury przestrzegają liberalnych wzorów i wartości. Tymczasem jest masa organizacji, które działają tak jak organizacje społeczeństwa obywatelskiego przez duże O, ale nie reprezentują tych wartości.

W Polsce społeczeństwo obywatelskie rozwalilo reformę edukacji, to była akcja „Ratuj maluchy”, mamy organizacje obywatelskie, które chcą całkowicie zakazać aborcji. Odnoszę wrażenie, że w Polsce skrajnie prawicowe grupy społeczeństwa są o wiele aktywniejsze niż inne.

– To jedno z największych potencjalnych niebezpieczeństw pojawiających się w wielu krajach demokratycznych. Zaczyna się rodzić nowa, bardziej sfilaryzowana struktura społeczeństwa obywatelskiego.

Co to oznacza?

– Miałem kiedyś studenta z Libanu, z Bejrutu. Jak pan wie, jest to multietniczne i multireligijne społeczeństwo. Koloniści francuscy, żeby sobie z tym poradzić, wprowadzili system filarowy, czyli taki, gdzie poszczególne grupy etniczno-religijne miały własne instytucje, same się rządziły i *de facto* nigdy się nie spotykały. Liban jest rozmiarów Wielkiej Warszawy, to mały kraj. I ten student powiedział mi, że pierwszy raz w życiu spotkał osobę innego wyznania, gdy miał 14 lat. Od przedszkola całe jego życie toczyło się w ramach tej jego grupy. Wiemy, jak wygląda sytuacja w Libanie. To właśnie konsekwencja sfilaryzowanego spo-

łeczeństwa obywatelskiego, które prowadzi do podziałów, polaryzacji oraz konfliktów społecznych i politycznych.

I to jest niebezpieczne dla Polski?

– To niebezpieczeństwo, które wyraźnie widać w Polsce. W ciągu ostatniej dekady sfilaryzowane społeczeństwo obywatelskie stało się faktem. Ważniejsze jednak jest to, że jeden jego filar – społeczeństwo nacjonalistyczno-konserwatywno-religijne – okazał się znacznie lepiej zorganizowany na szczeblu lokalnym niż liberalne społeczeństwo obywatelskie. Liberalne społeczeństwo obywatelskie potrafi zwołać wielkie protesty i demonstracje, na których zjawiają się tysiące osób, natomiast na szczeblu lokalnym jest prawie niewidoczne. Tip O'Neill, który był marszałkiem Izby Reprezentantów Kongresu USA, powiedział kiedyś: „Polityka jest wyłącznie lokalna” (*All politics is local*). W związku z tym ten wygrywa wybory, kto jest lepiej zorganizowany na szczeblu lokalnym.

Kto jest zakorzeniony.

– Pan Kaczyński bardzo dobrze to wie. Liczy, że książka po mszy powie: „A teraz, drodzy parafianie, idziemy wszyscy głosować”. Nie musi wyjaśniać, na jaką listę. To jest to! PiS udało się stworzyć maszynę wyborczą na wzór tych, które były obecne w demokracjach zachodnich na początku XX w. Dokładnie tak wyglądały demokratycznie rządzone miasta amerykańskie, gdzie konkurowały włoskie, irlandzkie i inne maszyny wyborcze. I gdy przychodziło do wyborów, nie było szans, żeby ktokolwiek spoza tych maszyn wyborczych mógł objąć jakąkolwiek wybieralną funkcję. One w końcu się rozpadły, ale w Polsce polityka i wybory zaczynają działać według tego schematu.

Że jest kościelno-pisowska maszyna?

– Skonstruowana w jednym filarze społeczeństwa obywatelskiego i, jak pokazują wyniki ostatnich wyborów, bardzo efektywna. Kościół i parafia są tym skalującym elementem na poziomie lokalnym. Natomiast druga strona nie ma tej lokalnej bazy, bo operuje w inny sposób. Dlatego tak podzielone społeczeństwo obywatelskie jest dla demokracji liberalnej potencjalnie wielkim zagrożeniem.

Pułapka populizmu. Jak się z tego wygrzebać?

Liberałowie w zderzeniu z taką maszyną mają małe szanse.

– Liberalizm jako system wartości i pomysł polityczny zawsze apelował raczej do wąskiej grupy ludzi. Popatrzymy na historię ostatnich 150 lat – partie liberalne nigdy nie były partiami większościowymi w demokracjach zachodnich. A to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich 30 lat, czyli tzw. triumf liberalizmu, jest anomalią historyczną. Wziął się on stąd, że wraz z upadkiem komunizmu rozpadły się klasyczne lewicowe wizje intelektualne i projekty polityczne.

nie udał, że liberalizm jest chodzącym trupem.

Podobny przekaz idzie w Polsce ze strony prawicy. Opozycja średnio daje sobie z tym radę, co pokazują sondaże.

– Nie jest tak, że niezadowolenie społeczne łatwo może się przekształcić w aktywną opozycję. Jeszcze trudniej to zrobić, kiedy partia rządząca zaczyna kupować głosy i prowadzić aktywną politykę populistyczną. I tu pojawia się bardzo ważne pytanie: jeśli kraj wpadnie w spiralę rządów populistycznych, jak się wygrzebać z takiego cyklu? Czyli jeżeli jedna partia obiecuje 500+, to ci, którzy są w opozycji i chcą wygrać wybory,

straszny bandyta i razem z imperia-listami z MFW doprowadził was do nędzy, a my znowu wam damy”. I jesteśmy w następnej spirali.

A inne drogi wyjścia?

– Faszyzm jest klasycznym populizmem. Zakończyła go wojna. Oczywiście w dzisiejszych czasach – mam nadzieję – nawet te populizmy, których nie lubimy, nie będą się kończyć w taki sposób. Pytanie więc, czy pojawi się metoda wyjścia z pułapki populistycznej, powrotu do w miarę normalnego systemu demokracji, która nie będzie wymagała dramatycznego przełomu. Tym przełomem może być gigantyczny kryzys ekonomiczny. Wenezuela jest tu dobrym przykładem. Rządy populistów, nawet w kraju potencjalnie tak bogatym, bo posiadającym największe na świecie zasoby ropy, doprowadzają do kompletnego krachu ekonomicznego i masowej emigracji głodujących obywateli.

A Polska?

– Polska za sprawą rządów PiS też wpadła w pułapkę populizmu. Oczywiście jej sytuacja ze względu na przynależność do Unii Europejskiej jest inna niż Wenezueli czy Argentyny. Rządzący nie mogą zwiększać zadłużenia budżetowego i prowadzić księżycowej polityki ekonomicznej, muszą się zachowywać w miarę rozsądnie ze względu na naciski, zobowiązania i normy wymagane w Unii. Jeżeli kraj znajduje się w większej wspólnotie politycznej, która narzuca mu ograniczenia i kontroluje politykę partii rządzącej, może mu to pomóc w wydostaniu się z pułapki populistycznej. Ale znowu trzeba się zastanowić, jak to przeprowadzić. Jakie są możliwości? Czy rządzący będą na tyle rozsądni, żeby takie ograniczenia zaakceptować?

Zafrasował się pan.

– Proszę pana, dyskutujemy na różnych spotkaniach, konferencjach o źródłach populizmu. Zastanawiamy się, skąd się wziął. Kogo partie populistyczne reprezentują itp. Natomiast nie zastanawiamy się, jak on może się skończyć, jakie są strategie wyjścia z populizmu. Z czysto pragmatycznego punktu widzenia najważniejsze pytanie brzmi więc: jak przerwać tę spiralę populistycznej polityki i jak odbudować samoograniczającą się demokrację liberalną?

Robert Walenciak



Jarosław Kaczyński dobrze wie, jak ważny jest szczebel lokalny.

Chadeckie też się rozpadły.

– Chadeckie rozpadają się właśnie w tym momencie. A nacjonalizm, który powoli wyłania się jako główna ideologia polityczna, potrzebował czasu, żeby wrócić na scenę. I wrócił, w różnych krajach; idee nacjonalistyczne zaczynają dominować po prawej stronie polityki i partie chadeckie stają się nacjonalistyczne. Natomiast ta druga strona polityki – liberalna i lewicowa – straciła złudzenia i jest zagubiona. Liberalizm nie jest już tym wielkim, niezwykłym projektem politycznym. Nie ma końca historii.

Mówi się otwarcie o kryzysie liberalizmu.

– I z przyjaznych pozycji, kiedy naukowcy i publicyści zastanawiają się, jak go uratować, i z nieprzyjaznych – tak jak Putin, stwierdzający, że liberalizm był eksperymentem, który się

obiecuje 1000+. A następni 1500+. Tak wygląda Argentyna, mniej więcej od 80 lat. Kraj, który miał potencjał, żeby zostać światową potęgą ekonomiczną, idzie od jednego kryzysu do drugiego. Jeżeli system demokratyczny wpadnie w pułapkę populistyczną, wszystko jedno z jakiego powodu, nie jest łatwo z niej wyjść.

Argentyna wciąż się wydobywa, syzyfowa praca.

– Argentyna to jeden z klasycznych przykładów konsekwencji populizmu. Rządy populistów doprowadzają do gigantycznego kryzysu ekonomicznego i hiperinflacji, wtedy pojawia się jakiś technokratyczny ekonomista prezydent, który wraz z MFW próbuje to naprawić. Wymaga to bardzo bolesnych decyzji, bo trzeba obcinać wydatki, oszczędzać itd. On to robi i w następnych wyborach przegrywa. Bo opozycja woła: „Ten prezydent to

Tajne służby ślepe i głuche

Politycy prawicy zdemolowali wywiad

Robert Walenciak

Czy Polaków podsłuchuje Pegasus, system kupiony przez CBA za kilkadziesiąt milionów złotych od Izraela? To pytanie, na które raczej nie uzyskamy jednoznacznej odpowiedzi, bo sprawa dotyczy rzeczy tajnych.

W kwestii Pegasusa mamy dwie wersje. Pierwszą – dziennikarzy TVN 24, którzy podali, powołując się na raport NIK, że CBA kupiło taki sprzęt, korzystając z pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, które powinny iść na pomoc ofiarom przestępstw i świadkom, przeciwdziałanie przestępczości oraz pomoc postpenitencjarną. Drugą – CBA, że Biuro „nie zakupiło żadnego systemu masowej inwigilacji Polaków. A pojawiające się w tej sprawie opinie i komentarze są insynuacjami i nie mają poparcia w faktach”. Skazani jesteśmy więc na snucie rozważań.

Kanadyjscy eksperci od cyberbezpieczeństwa, na których powołują się dziennikarze, twierdzą, że są ślady użytkowania Pegasusa w Polsce. To system, który pozwala na masową inwigilację – poprzez wgląd do danych przechowywanych na smartfonach i komputerach. Łącznie z nagraniami, pocztą elektroniczną czy treścią rozmów prowadzonych w komunikatorach. Do tego nie wymaga współpracy z operatorem, czyli pozwala inwigilować bez potrzeby ubiegania się o zgodę sądu

System Pegasus służący inwigilowaniu Polaków jest poza wszelką kontrolą.

(bez niej operatorzy nie udostępniają numeru). Jest poza tym bardzo trudny do wykrycia. A że to system nie polski, lecz opracowany i wyprodukowany w Izraelu, warto założyć, że dostęp do niego mają i będą miały izraelskie służby specjalne. Czy tego chcemy?



Antoniego Macierewicza i Mariusza Kamińskiego wiele łączy – nie tylko agenci.

Jeżeli CBA rzeczywiście go kupiło (bo na co wydało 34 mln zł?), nasuwa się pytanie, po co. Piotr Niemczyk, były wicedyrektor departamentu wywiadu w UOP, wyjaśnia to w prosty sposób: „CBA jest małą służbą, prowadzi około tysiąca spraw rocznie. Spokojnie, korzystając z obecnych

uprawnień i możliwości technicznych, może je opanować. System Pegasus to z kolei machina, której używa się do rozpracowywania siatek terrorystycznych. Albo więc Polska zakupiła system, którego możliwości są wielokrotnie wyższe niż potrzeby CBA, albo służby za-

mierzają wykorzystywać Pegasusa do innych celów”.

Do jakich? Opozycja już woła: żeby nas szpiegować! Dodajmy jeszcze słowa Niemczyka – polskie służby, takie mam wrażenie, nie działają w ten sposób, że wpierv dokonują analizy zagrożeń, tak by koncentrować środki w tych miejscach. Idą szeroko, czyli trałują. To najmniej skuteczna metoda.

Dlaczego tak się dzieje? Specjaliści od służb specjalnych są zgodni w opiniach: to efekt ubytków kadrowych oraz dominującej filozofii – służby w coraz mniejszym stopniu służą państwu, w coraz większym rządzącej partii. Pegasus jest tego

przykładem – nakierowany nie na zewnątrz, tylko do wewnątrz, służy inwigilowaniu Polaków, poza jakąkolwiek kontrolą.

Mamy dziwną sytuację, bo z jednej strony tajnym służbom przybiera narzędzi do kontrolowania obywateli RP, ich możliwości pod tym względem są o wiele większe niż Służby Bezpieczeństwa w Polsce Ludowej, a z drugiej strony, jeśli chodzi o świat zewnętrzny, nasze specysłużby stają się coraz słabsze. Ba! Wręcz jakby zanikły.

Oczywiście ten zarzut można łatwo odparować, mówiąc, że wszystko to są sprawy tajne, coś więc media mogą wiedzieć na ten temat, zgadują jedynie i spekulują. Ale wystarczy zebrać tylko te okruciny informacji, które wychodzą na światło dzienne, by zauważyć niepokojącą tendencję. Opisać ją można w trzech punktach.

Po pierwsze, polski wywiad zdradził swoich zagranicznych współpracowników, bo ich nazwiska zostały ujawnione.

Po drugie, nasz kontrwywiad nie cieszy się szacunkiem służb sojuszniczych, jest traktowany jako instytucja nieistotna.

A po trzecie, w naszych służbach nie szanuje się pracujących tam oficerów, etos budowany jest tak, by promować ludzi biernych.

Zdrada, ale czyja?

Zacznijmy od zdrady. Wiosną tego roku wybuchła afra związana z ujawnieniem kolejnej partii zbioru zastrzeżonego IPN. Zbiór ten to część PRL-owskich materiałów przekazanych IPN, ale utajnionych jako „zasób istotny z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju”. Zawarte w nim były teckiki tych tajnych współpracowników, z którymi służby III RP kontynuują współpracę, a także dane polskiego wywiadu – nazwiska oficerów, cudzoziemców z nimi współpracujących oraz tzw. nielegalów, czyli najgłębiej zakonspirowanych oficerów pracujących za granicą pod przykryciem.

Te wszystkie materiały zostały ujawnione, choć nie musiało tak być. Ustawa z 2016 r. przewidywała wprowadzić, że dokumenty zbioru

zastrzeżonego mają być ujawnione, ale równocześnie oddawała w ręce prezesa IPN pewną władzę – mógł on osobiście decydować o nadaniu wybranym teczkom klauzuli tajności.

Jarosław Szarek nie bawił się w niuanse i nie skorzystał z tej kompetencji. Dokumentacja wywiadu została wywalona na widok publiczny.

Polski wywiad zdradził zagranicznych współpracowników, bo ich nazwiska zostały ujawnione.

Tak oto za sprawą PiS i jego ludzi doszło do rzeczy niebywałej. Najtajniejsze archiwa – o dostęp choćby do ich części toczą się prawdziwe batalie – zostały pokazane wszystkim. Nazwiska oficerów wywiadu, nazwiska ok. 300 zagranicznych agentów, których zwerbowali, to wszystko znalazło się na ulicy.



Prezes IPN Jarosław Szarek mógł decydować o nadaniu wybranym teczkom klauzuli tajności. Nie skorzystał z tego. Dokumentacja wywiadu została wywalona na widok publiczny.

W każdym innym państwie, w Rosji, w USA, w Izraelu, w Wielkiej Brytanii, wymieniać można długo, za taki czyn idzie się do więzienia na długie lata albo wręcz daje się za to głowę. Za zdradę państwa i jego tajemnic. W Polsce – wręcz przeciwnie! Ba, rzecznik ministra koordynatora Stanisław Żaryn tłumaczył, że nic wielkiego się nie stało, bo ujawniono jedynie tych, którzy pracowali dla Polski

Ludowej. Czyli dawno i dla niestusznego państwa. Ale to jest tłumaczenie dla ciemnego ludu.

Po pierwsze, mając nazwiska, nawet sprzed 30 lat, łatwo dotrzeć do tych ludzi (jeśli żyją), a także prześledzić ich drogę zawodową. Można w ten sposób pociągnąć ich do odpowiedzialności, można też

dość łatwo zrekonstruować siatkę polskiego wywiadu, jego zainteresowania i potencjał.

Po drugie, ujawnienie nazwisk agentów wywołuje niesamowity efekt psychologiczny. W świat służb poszła bowiem informacja, że Polska zdradza swoich agentów, czyli nie gwarantuje im podstawowej rzeczy – bezpieczeństwa. Nie gwarantuje go również ich dzieciom i wnukom. W takiej sytuacji tylko samobójca mógłby się zdecydować na współpracę z polskim wywiadem.

Vincent Severski, pułkownik wywiadu, odznaczony m.in. przez Baracka Obamę, autor szpiegowskich bestsellerów, dwa lata temu w rozmowie z PRZEGŁADEM wyjaśniał:

„– A zastanawiał się pan, dlaczego tak jest, że jak ktoś chce zdradzić własny kraj, to zapycha od razu do Brytoli?

– Bo go nie sprzedadzą?

– Dokładnie. Chociaż wywiad brytyjski MI6 KGB złomotało jak mało którą służbę świata. A jednak Rosjanin, kiedy chce zdradzić, przede wszystkim idzie do nich. Na tej zasadzie, że wie, że go nie zdradzą, że będą go chronić. Innymi słowy – Oleg Gordijewski żyje. Natomiast cały czas ma wyrok śmierci wydany w Moskwie, gdyby go dopadli. Cudów nie ma”.

Po trzecie, jeżeli polski wywiad traci możliwość werbowania, pozyskiwania agentów, to traci wszystko. Tłumacz to najlepiej słowa Severskiego: „W wywiadzie agenturalnym, tak ogólnie, są dwa rodzaje działań. Pierwszy – żeby zdobywać informacje. To czysty humint (*Human Intelligence* – informacje zbierane i dostarczane przez źródła osobowe

► – przyp. red.). A drugim są operacje specjalne. Istotą takiego wywiadu jak polski jest humint. Bo mamy ograniczone możliwości. Poza tym Polacy mają to we krwi: cwaniactwo, krętactwo, złodziejstwo. I to są cechy bardzo przydatne w werbowaniu agentury”. Ale jeżeli ta agentura mówi „nie”? To nie mamy nic.

I jeszcze jeden komentarz do sprawy. Tym razem Witolda Jurasza, byłego dyplomaty, który pracował na placówkach w Moskwie i Mińsku (Radosław Sikorski pisze o nim w książce, że „trudnił się szpiegowskim fachem”), dziś dziennikarza i analityka. Jurasz na informację o działaniach IPN zareagował jednoznacznie: „To, że w Polsce ujawnia się dane oficerów i współpracowników wywiadu, mnie dziwi, ale już się przyzwyczaiłem. Ale to, co właśnie się stało, czyli ujawnienie przez IPN tożsamości cudzoziemców, którzy współpracowali z polskim wywiadem, to ZDRADA. Najwyraźniej rosyjski wywiad ma w Polsce potężne aktywa, a na zapleczu lub w samym Prawie i Sprawiedliwości działa rosyjska agentura. Odpowiedzialni za to, co zrobiono, powinni wszyscy bez

Nasz kontrwywiad nie jest szanowany przez służby sojusznicze.

wyjątku trafić do więzienia za zdradę stanu i szpiegostwo. Z tego, co słyszę, już teraz 90% naszych aktywów za granicą zerwało współpracę i jesteśmy ślepi i głusi, ale po tym, co właśnie zrobiono, już tylko ktoś ciężko chory psychicznie podejmie lub będzie kontynuował współpracę z polskim wywiadem. Tym samym polski wywiad właśnie przestał istnieć. Nie odbudujemy go przez dziesięciolecia, bo czegoś takiego się nie zapomina nigdy”.

Ale dodajmy do tego jeszcze jedno. Ten incydent związany z ujawnieniem ludzi wywiadu nie był ewenementem. Na początku była tzw. lista Wildsteina z nazwiskami cudzoziemców zarejestrowanych przez nasze służby. Potem był słynny raport w sprawie WSI i aneks do niego autorstwa Antoniego Macierewicza. Tam też, z sadystyczną radością, wy-



Szef SKW Piotr Bączek polecił wszcząć postępowanie dyscyplinarne przeciwko mjr Magdalenie E.

CBA Pawle Wojtuniku, że dali się nagrać podczas biesiadowania. Fatalnie o Biurze Ochrony Rządu. I fatalnie o kontrwywiadzie, który nie potrafił wychwycić nici powiązań Falenty.

Książki „Obcym alfabetem” Grzegorza Rzeczkowskiego, która pokazuje powiązania Falenty z rosyjskimi firmami, i Tomasza Piątka o tajemnicach Antoniego Macierewicza, których obecna władza demonstracyjnie nie dostrzega, są przecież tak naprawdę audytem polskiego kontrwywiadu.

mieniano współpracowników służb wojskowych, tak żeby im zaszkodzić. Z informacji, które ukazały się później w mediach, wynika, że po tych publikacjach z niektórymi osobami urwał się kontakt. Zniknęły.

W zasadzie można zadać tylko jedno pytanie: czy działania, które paraliżują polskie służby, to efekt zacierzenia pisowskiej ekipy, czy też pracy ulokowanych tam agentów?

Tyle że na to pytanie odpowiedzi nie ma. Przynajmniej dziś. Choć, by myślało nam się lepiej, dorzućmy kolejne okruchy informacji. Najpierw wypowiedź Severskiego: „Wywiad rosyjski, już w wolnej Polsce, z tych informacji, które docierały ze świata służb, bardzo intensywnie pracował w prawicowych środowiskach. Główny problem polegał chyba na tym, że rosyjski wywiad nie działał ofensywnie w PRL. Tu mieli całe państwo, po co więc werbować? Natomiast nie mam najmniejszej wątpliwości, że ostro pracowali w opozycji”. Czyli w Solidarności.

Gdzie jest kontrwywiad?

Służby, obce oczywiście, werbują, taka ich rola. Natomiast rolę kontrwywiadu jest temu zapobiegać. A czy tak się dzieje?

Na pewno kompromitacją stała się akcja nagrywania VIP-ów, którą koordynował biznesmen Marek Falenta. To fatalnie świadczy o szefie MSW Bartłomieju Sienkiewicz i szefie

Do tego dodałbym jeszcze jedną historię, absolutnie ośmieszającą polskie służby, zwłaszcza Mariusza Kamińskiego. Chodzi o sprawę Ludmiły Kozłowskiej, obywatelki Ukrainy, szefowej fundacji Otwarty Dialog, oficjalnie zajmującej się propagowaniem demokratycznych rozwiązań w państwach byłego ZSRR. Ponad rok temu Kozłowska została zaatakowana przez prawicowe media, oskarżano ją, że jest agentką wpływu Moskwy. Podobnego zdania musiała być również polska ABW, bo Kozłowska otrzymała zakaz wjazdu do Polski, a jej nazwisko trafiło do Systemu Informacyjnego Schengen, czyli otrzymała też zakaz wjazdu do państw Unii Europejskiej. I gdy w sierpniu 2018 r. przyleciała do Brukseli, nie wpuszczono jej do Belgii, tylko odesłano pierwszym samolotem do Kijowa.

Kozłowska zaczęła się bronić. Mówiła, że to efekt tego, że jej mąż Bartosz Kramek zaangażował się w działania polskiej opozycji, więc służby oczerniają ją z zemsty i w obronie władzy PiS. Na te słowa przeciwko Kozłowskiej rozpętała się kampania prawicowych mediów, przypomniano, że Kramek nawoływał do rozruchów, do akcji obywatelskiego nieposłuszeństwa. Wszystko wyglądało bardzo dziwnie, choć dziś, gdy elementy systemu hejtowania i niszczenia przeciwników PiS zostały ujawnione, to dziwi mniej. A potem nagle Kozłowska zaczęła jeździć po Europie, mimo że nie powinna tam być wpuszczana. Służby poszczególnych państw Unii przyrzęły się dowodom, które ABW im

przekazała jako uzasadnienie wpisu do SIS, i uznali, że są one niewiele warte. Po kolei Niemcy, Francja, Belgia i Wielka Brytania otworzyły przed Kozłowską granice, a teraz w ogóle wykreślono ją z SIS.

Przy okazji wyszło na jaw, że Polska, chcąc skompromitować Kozłowską, nawiązała współpracę ze służbami mołdawskimi, wtedy uzależnionymi od tamtejszego oligarchy, wroga sił prozachodnich, Władę Plahotniuka, i strzelała w szefową Otwartego Dialogu materiałami z Mołdawii, z podejrzanego źródła.

Nie chcę rozstrzygać, czy Kozłowska jest na smyczy jakichkolwiek służb specjalnych, czy nie, nie o to tu chodzi. Problem w tym, że ABW podniosła z jej powodu raban na całą Europę, a potem się okazało, że nie ma nic konkretnego na poparcie oskarżeń, wyłącznie jakieś śmieszne „dowody”. To pokazuje jakoś jej pracy i to, ile jest warta.

Nie wyciągaj kolegi z więzienia

Skoro polski wywiad nie działa, a kontrwywiad to bardziej sztyd niż groźna siła, może warto pokładać nadzieję w młodym narybku, w kolejnych pokoleniach? Może i warto, ale okazuje się, że ludzie PiS znaleźli bardzo skuteczny sposób, by niszczyć morale funkcjonariuszy.

Rzecz dotyczy mjr Magdaleny E. z kontrwywiadu wojskowego, która została przez ludzi Macierewicza ukarana dyscyplinarką i degradacją. Za co? Sprawa opisywana jest przez media, więc tylko skrót gwoli przypomnienia. W 2015 r., jeszcze za czasów PO, mjr Magdalena E. zaangażowała się w trudną operację wydobywania z białoruskiego aresztu polskiego oficera. Podczas prywatnej podróży (taka jest oficjalna wersja, jakkolwiek by to brzmiało) został on na Białorusi zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo.

Oczywiście cała operacja toczyła się za wiedzą ówczesnego szefa SKW gen. Piotra Pytla, a także koordynatora ds. specsłużb Marka Biernackiego. Ostatecznie pod koniec 2015 r. zakończyła się

Były koordynator ds. służb specjalnych Marek Biernacki: „Ryzyko w interesie państwa się nie opłaca”.

sukcesem, oficer został zwolniony z więzienia i wrócił do kraju.

I tu zaczęły się kłopoty mjr Magdaleny E., bo nowy szef SKW Piotr Bączek polecił wszcząć przeciwko niej postępowanie dyscyplinarne za to, że bez wiedzy przełożonych prowadziła operację za granicą, co miało zaszkodzić SKW i jej operacjom. Major została też zdegradowana do stopnia kapitana.

Za sprawą PiS i jego ludzi najtajniejsze archiwa zostały pokazane wszystkim.

Wiadomo, że Marek Biernacki poinformował o białoruskiej operacji swojego następcę Mariusza Kamińskiego. Za to nie wiadomo, jakie szkody poniosła Polska z powodu operacji Magdaleny E. No i jeszcze jedną rzecz wiadomo – wszczynając postępowanie dyscyplinarne przeciwko pani major, Polacy ujawnili jej operację i fakt polsko-białoruskich negocjacji. W Mińsku uznano to za zdradę. Możliwość kontaktu, nawet tak ograniczonego, została przecięta. Można tylko się domyślać, ku czyjemu zadowoleniu.

Gdzie jest w całej sprawie haczyk? Dlaczego Bączek i ludzie Macierewicza

czu uwzięli się na dziewczynę, która wyciągnęła z więzienia kolegę? Magdalena E. uczestniczyła w misjach wojskowych w Afganistanie, była nagradzana polskimi i natowskimi odznaczeniami – piękny życiorys zawodowy. Jej kłopoty z nową władzą zaczęły się, gdy stanęła w obronie przełożonego, płk. Krzysztofa Duszy, byłego szefa Centrum Ekspertckiego Kontrwywiadu NATO, tego, do

którego nocą wlatywał się Bartłomiej Misiewicz. A może chodziło o to, że jeszcze wcześniej badała przeszłość rosyjskiej tłumaczki raportu Antoniego Macierewicza z likwidacji WSI? W każdym razie atak na nią jest czytelnym sygnałem skierowanym do oficerów: nie warto się wychylać. Nie warto się starać. A jak ktoś wypadnie w kłopoty, to niech już nie liczy, że będzie z nich wyciągany.

Podkreślał to zresztą Marek Biernacki: „Sygnał, jaki idzie do polskiej armii i jej żołnierzy, jest jak najgorszy. Mówi im jasno: jeśli cokolwiek wam się stanie takiego jak waszemu koledze na Białorusi, nie możecie liczyć na wsparcie państwa i jego funkcjonariuszy. Bo im nie wolno od dziś ryzykować. Ryzyko w interesie państwa się nie opłaca”.

Wywiad przestał być wywiadem, bo potencjalni agenci na słowo Polska odwracają się plecami. Kontrwywiad też trudno nazwać kontrwywiadem, skoro zalicza takie wpadki. Oficerowie wiedzą poza tym, że narażanie się w interesie państwa jest nieopłacalne i że władza woli inwestować w swoją służbę. Taką, która będzie nakierowana do wewnątrz. Na zagłębienie komu trzeba do smartfona czy komputera.

Te wszystkie działania widać gołym okiem i wciąż aktualne pozostaje pytanie, czy działając w ten sposób, Polska pokonuje się sama, czy ktoś to robi za nią. Innymi słowy, czy jest to dobrze zorganizowana operacja kierowana z zewnątrz?

Takie pytanie wypadałoby postawić. Bez nadziei, że w jakimś konkretnym horyzoncie czasowym padnie na nie odpowiedź. Bo kto ma ją dać?

Robert Walenciak



Na podwójnym gazie

Po raz pierwszy od lat rośnie w Polsce liczba osób, do których nie dociera prosta zasada: pić, nie jeźdź

Dorota Bartosiewicz

W drogówce mówią, że kierowcy idą na rekord. Rekord, jak wiadomo, na polskich drogach to rzecz powszednia. Pojawia się co rusz w postaci rażącego przekroczenia prędkości – w Mikołowie kierowca w terenie zabudowanym, przy ograniczeniu do 50 km/godz., jechał z prędkością 167 km/godz. Albo liczby punktów karnych – w Zamościu 27-latek zarobił ich 600, do tego mandaty na łączną kwotę ponad 30 tys. zł. Ale w centralnej Polsce rekord trafił się tam, gdzie ludzie z branży spodziewali się go najmniej. – Akurat tego dnia prowadziłem przy stacjach benzynowych akcję „Bezpieczna autostrada – to dziecinnie proste”, kiedy podszedł do mnie pijany mężczyzna. W środku dnia, jak gdyby nigdy nic, wiozł rodzinę na wakacje nad morze – mówi Agata Gajos, dyrektor zarządzająca stowarzyszenia Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego. Na zmiany na lepsze się nie zanosi. Tylko w ostatnich tygodniach padło w kraju kilka kolejnych niechlubnych rekordów.

Ciemnogród na bani

Podkarpackie. Na przenośnym alkomacie brakuje skali. 44-latek, jak potem się okaże, z ponad 4 promilami alkoholu w organizmie, zatrzyma inny kierowca („Świadek zauważył, że kierowca jechał bardzo wolno całą szerokością jezdni”). Warmińsko-Mazurskie. Pijany parkuje auto na środku ulicy i zasypia. Przypadkowa kobieta zabiera mu kluczyki i wzywa służby. „W czasie oczekiwania na przyjazd policji mężczyzna zachowuje się agresywnie, odrywa zderzak od swojego pojazdu”, zapiszą potem funkcjonariusze. Lubuskie. Policjanci zatrzymują 30-latkę w ciąży, prowadzi auto, mając ponad 2,5 promila alkoholu. „Nie kojarzy w ogóle, że uderzyła wcześniej w bariery energo-



chłonne”. Mazowieckie. Kierowca jest tak pijany, że po przyjeździe na stację benzynową chce zapłacić za paliwo, którego nie zatankował. „Bełkocze, zaczyna wymachiwać rękami i przeklinać”. Badanie wykaże 2,5 promila.

– Tego już nawet nie da się nazwać brawurą i głupotą, to przestępstwa nieodpowiedzialność – oburza się psycholog społeczny Jacek Santorski, który wcześniej pracował w zespole doradców komendanta głównego policji. – Słowa brawura i głupota zawierają jakieś usprawiedliwienie, a na to nie ma żadnego. Wiedza, jak alkohol działa na organizm, jest powszechna. Nie żyjemy przecież w ciemnogrodzie!

– Ja bym była nawet bardziej precyzyjna. Mówimy najczęściej: wypadek spowodowany pod wpływem alkoholu, ale dla mnie to nie jest wypadek. To celowe działanie i tak powinno być traktowane – przekonuje Agata Gajos. – Przecież to nie tak, że czegoś nie zobaczyliśmy, że ktoś nam nagle zajeżdża drogę, sytuacja losowa. Nie! Sami świadomie podjęliśmy decyzję, żeby wsiąść do samochodu w stanie wskazującym.

Problem też w tym, że po raz pierwszy od lat rośnie w Polsce liczba osób, do których nie dociera prosta zasada: pić, nie jeźdź. O ile w 2011 r. było ich 183,5 tys., w 2015 r. – 128,9 tys., a w 2018 r. – 104,6 tys., o tyle teraz już 69 tys. To oznacza wzrost o 5,4% w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku. Przy czym, co także wiadomo z policyjnych statystyk, trzy czwarte tych kierowców dopuściło się przestępstwa, czyli prowadziło z ponad pół promilem alkoholu w organizmie. Czytaj: nie siadło za kółko po tylko jednym piwie.

– Wzrost ten niepokoi tym bardziej, że od dawna w tym zakresie nie był notowany – mówił w rozmowie z PAP podinsp. Radosław Kobryś. Zastrzegając jednocześnie, że jeśli trend się utrzyma, czeka nas roczny wzrost rzędu nawet 11%.

11 litrów na głowę

Główny problem polega na tym, że Polacy piją coraz więcej – przegoniliśmy już Francuzów, Włochów i Rosjan. Teraz przypada na nas

11 litrów czystego spirytusu rocznie, podczas gdy w 2005 r. było to 9,5 litra, a w latach 70. – 5 litrów.

Ale łatwy dostęp do alkoholu czy jego niska cena (od 5 zł za 100 ml) wszystkiego nie tłumaczy. Rosnąca liczba kierowców na podwójnym gazie to również kwestia mentalności, zastrzegają eksperci. – Niemiec, gdy słyszy, że jest taki lub inny przepis, to czy przepis jest głupi, czy nie, będzie go przestrzegać. Bo takie jest prawo i kropka. A u nas? Jak jest prawo, to znaczy, że trzeba je obejść – przekonują. Ich zdaniem tym także należy tłumaczyć sytuacje, w których policja np. w Łódzkiem zatrzymuje pijanych rodziców przewożących czteroletnie dziecko. 46-latek ma ponad 1 promil alkoholu w organizmie, 45-latek – 2,5. Kilka dni wcześniej, również w powiecie rawskim, patrol wylegitymował mężczyznę, który miał 3 promile. Wiózł partnerkę – też nietrzeźwą – z 15-miesięcznym dzieckiem na kolanach. Dodatkowo auto było w złym stanie technicznym, bez tylnego zderzaka i z pękniętą lampą.

Kiedy jednak zapytać Polaków, czy w ciągu ostatnich 30 dni prowadzili pojazd, mimo że stężenie alkoholu we krwi przekraczało dopuszczalny limit, przyznają się do tego rzadko – zauważa Ilona Buttler z Instytutu Transportu Samochodowego. Na potwierdzenie przywołuje wyniki badań ESRA z grudnia 2018 r., przeprowadzonych w ponad 30 krajach. Do jazdy w takim stanie przynajmniej raz w ostatnim miesiącu przyznało się 6,4% polskich kierowców. Dla Węgrów wskaźnik ten wyniósł 3,9%, a dla Finów – 4,1%. Wyraźnie częściej według deklaracji za kierowcę siadali pod wpływem np. Francuzi (22,3%), Hiszpanie (17,1%) i Włosi (13,7%).

O tym, że wbrew zapewnieniom jazda po alkoholu ma w Polsce duże przyzwolenie społeczne, przekonany jest dr Piotr Jabłoński, dyrektor Krajowego Biura ds. Przeciwdziałania Narkomanii: – 8% dorosłych Polaków deklaruje, że zna kogoś, kto w ciągu ostatnich 12 miesięcy kierował samochodem (lub innym pojazdem mechanicznym – przyp. red.) po alkoholu. Częściej takie deklaracje składają mężczyźni (11%), rzadziej kobiety (6%).

Ba, 2% deklaruje, że zna osobę, które prowadziły pod wpływem marihuany i/lub haszyszu, a po 1%

– amfetaminy i dopalaczy. – Dodatkowo 2% przyznaje, że zna ludzi, którzy robili to pod wpływem leków mogących zaburzać świadomość – dodaje dr Jabłoński.

Co tak rozzuchwala Polaków? Przede wszystkim poczucie bezkarności („Policyjne testy wykrywają jedynie 5-6 najpopularniejszych substancji”). Poza tym rozpowszechnione w mediach społecznościowych informacje, jak zamaskować picie alkoholu, by np. sięść za kółko („Efekt odurzenia mają znosić amfetamina czy metaamfetamina”). Zresztą mamy tego przykład z ostatnich

Polacy piją coraz więcej – przegoniliśmy pod tym względem Francuzów, Włochów i Rosjan.

tygodni: 40-latek na A4, na pasie w kierunku Rzeszowa, powoduje wypadek, testy wykażą potem u niego obecność i alkoholu, i narkotyków. O jazdę pod wpływem kilku substancji odurzających podejrzewany był także Kamil Durczok, który na drodze krajowej pod Piotrkowem Trybunalskim doprowadził do kolizji. Prokuratura wyklucza u niego „obecność substancji o charakterze narkotycznym”. Nie chce jednak komentować medialnych doniesień, że we krwi dziennikarza znaleziono „jakieś śladowe ilości leku psychotropowego” („Kwestia zażywania leków to prywatna sprawa”).

Tylko jedno piwko

„Jestem zaprawiony w boju”, „Nie wierzę w statystyki”, „To tylko jedno piwko” – kierowcy po alkoholu stosują cały system racjonalizacji. To przede wszystkim młodzi – między 25. a 39. rokiem życia (43%), rzadziej między 40. a 59. (28,8%). Głównie z województw śląskiego (12,5 tys.) i małopolskiego (9 tys.). Co też wiadomo z danych KGP, najwięcej wypadków powodują w kwietniu i sierpniu (po 11,2%). Przyczynami są niedostosowanie prędkości (50,9%), nieustąpienia pierwszeństwa (10%) i niezachowanie bezpiecznej odległości (4,8%).

Gdy jadą na podwójnym gazie, nierzadko tłumaczą: „Nie było komu mnie odwieźć”, „To tylko na chwilę, o tu, na stację”, „Zaraz wracam, to po dziecko”. Albo: „A bo się pokłóci-

łem z żoną/mężem i potrzebowałem/ potrzebowałam się odstresować”. Wydaje im się, że są nieśmiertelni. Ba, są tego nawet pewni – podobnie jak tego, że lepiej się prowadzi po alkoholu. „Mnie to nie przeszkadza, bo już tak robiłem”, „Przecież dobry ze mnie kierowca” czy „To w końcu tylko lokalny przejazd”.

Policja nie przypomina sobie przypadków, żeby kierowca przyznał się, że zawinił. „Co się stało?! Przecież jadę bezpiecznie!”, „No dobra, wypięm. I co z tego?” albo „Najadłem się kwaśnych jabłek”, można wtedy usłyszeć.

Tymczasem jazda w stanie nietrzeźwym jest w Polsce przestępstwem z art. 178a par. 1 kk, grozi za to do dwóch lat więzienia. Tyle teoria. W praktyce sądy skazały z tego powodu jedynie ok. 48 tys. osób, ale co piątej wyrok zawiesiły. Za kratami znalazło się 660 osób, a najwyższa kara spotkała jedynie osiem osób (dane za 2017 r.). Z reguły karano grzywną – najniższą z możliwych, czyli do 1 tys. zł.

Na trzech oponach

Podlaskie. Policja po pościgu zatrzymuje nietrzeźwego kierowcę. Ma prawie 3 promile alkoholu we krwi, wcześniej jedzie zygakiem. Po sprawdzeniu w bazie danych okazuje się, że od 2013 r. obowiązuje go zakaz prowadzenia pojazdów.

Śląskie. Nietrzeźwy kierowca (2 promile) jeździ samochodem po górskich szlakach, na koniec auto stacza się ze skarpy. Zakaz siadania za kółkiem od grudnia. Małopolskie. Pijany pędzi po mieście na trzech oponach. Też z zakazem.

I najgroźniejszy przypadek. Z Kamienia Pomorskiego. 26-latek wjeżdża w grupę osób na deptaku. Jest pijany i po narkotykach. Bez okularów, choć ma obowiązek ich noszenia. Osiem lat wcześniej odpowiadał za jazdę po alkoholu i na rok stracił prawo jazdy, co również nie niepokoi pasażerki. Dopiero kiedy okazuje się, że zginęło sześć osób, w tym dziecko, rząd zaczyna się przyglądać bezpieczeństwu na drogach.

– Natychmiast pojawiły się różne propozycje. Wskazywano m.in. obowiązek posiadania w samochodzie urządzenia do kontroli stanu trzeźwości. Skończyło się jak zwykle, wprowadzono wyższe kary za jazdę pod wpływem alkoholu – przypomina Ilona Buttler z Instytutu Transportu Samochodowego. Kara dla kierowcy, który po raz pierwszy został zatrzymany za jazdę w stanie nietrzeźwości, miała wynosić 5 tys. zł, a dwa razy tyle, gdy został on zatrzymany po raz drugi. Jeżeli z kolei spowodował wypadek z ofiarami w ludziach (zabici lub ciężko ranni), sąd obligatoryjnie orzeka na wiązkę w wysokości nie mniejszej niż 10 tys. zł.

Zaostrzono też przepisy dotyczące zakazu prowadzenia pojazdu. Po zmianach okres ten wynosi 3-15 lat (poprzednio 1-10 lat) w przypadku pierwszego przestępstwa, a gdy kierowca zostanie zatrzymany ponownie z tego samego powodu – traci prawo jazdy dożywotnio.

Kierowcom wydaje się, że są nieśmiertelni i że lepiej prowadzi się po alkoholu.

– Warto przypomnieć, że poprzednio dożywotnio tracili prawo jazdy jedynie kierowcy, którzy w stanie nietrzeźwości spowodowali wypadek z ofiarami śmiertelnymi i/lub ciężko rannymi – dopowiada specjalistka z ITS.

W nowych przepisach pojawiła się dodatkowo możliwość stosowania blokad alkoholowych. Ilona Buttler: – Po upływie co najmniej połowy orzeczonego zakazu prowadzenia pojazdów kierowca może wystąpić do sądu o zgodę na prowadzenie pojazdu z blokadą alkoholową. Oznacza to, że przed każdym uruchomieniem silnika musi się poddać kontroli stanu trzeźwości. Jeżeli wypił alkohol, silnik nie zostanie uruchomiony. Gdy zakaz prowadzenia pojazdów orzeczono dożywotnio, kierowca może się ubiegać o możliwość prowadzenia pojazdu z blokadą, ale dopiero po upływie co najmniej 10 lat.

Zmiany w przepisach Kodeksu karnego wprowadzono w maju 2015 r., jednak wiele wskazuje, że wpływ na ograniczenie liczby pijanych kierowców miały mniejszy, niż się spodziewano, zastrzeżenia ITS. Dla

togo po raz kolejny niektóre zapisy zostały zaostrzone w 2018 r.

Prawo na siłę nie robi przestępców

„Nie no, Polska ma w tej chwili jedno z najbardziej restrykcyjnych przepisów dotyczących pijanych za kółkiem”, ironizują eksperci. Przypominają, że niebawem minie 20 lat od ostatniej podwyżki mandatów.

Kierowcy z kolei próbują zdefiniować pojęcie „pijany kierowca”. „Bo jest spora różnica pomiędzy takim, co ma 0,3, a np. 2,5. A mam wrażenie, że wszyscy są wrzucani do jednego worka. W krajach anglosaskich dopuszczalne jest 0,5 – ilu tam dopiero jeździ pijanych”, przekonują jedni, podczas gdy drudzy piszą wprost: „Dopuszczalne stężenia alkoholu są w Polsce niezwykle niskie. W innych krajach te normy są na sporo wyższym poziomie i sytuacja ta powoduje, że prawo na siłę nie robi z ludzi przestępców”.

Wpisy się mnożą, podobnie jak pomysły na zmniejszenie liczby pijanych kierowców na drogach. Rozwiązania problemu jednak brakuje. Co mogłoby nim być? Ilona Buttler: – Na pewno zwiększenie skuteczności dotychczas stosowanych metod prewencyjnych, upowszechnienie blokad alkoholowych np. w pojazdach przewożących ludzi i towary, większe zaangażowanie użytkowników dróg w ujawnianie przypadków prowadzenia pojazdów pod wpływem alkoholu, rozwój usług transportowych umożliwiających rozwiązanie nietrzeźwych kierowców do domów...

Jacek Santorski: – Lubiłbym, żeby Polacy w sprawach dotyczących bezpieczeństwa na drogach mieli wspólny front.

Dr Piotr Jabłoński: – Ideałem byłoby nie tylko podniesienie kar, ale przede wszystkim uczynienie prawa bezwzględnie egzekwowanym. Droga do skuteczności wiedzie poprzez zwiększone kontrole policji, wyposażenie jej w zaawansowane narzędzia diagnostyczne – nie tylko chemiczne – do badania kierowców i przez powszechną edukację społeczną.

Chodziłoby o pokazanie, że prawo nie jest pustym zapisem, a racji bytu nie mają stwierdzenia: mnie nie złapią, będę sprytniejszy, policja nie ma testów. W skrócie: wszyscy są frajerami, a ja jestem cwany.

Agata Gajos: – Kara powinna być nie tylko dotkliwa, ale przede wszystkim nieuchronna i natychmiastowa. Żeby nie było tak, że a to alkomat był niesprawny, a to pomiar niemiernodajny, więc będę się odwoływać przez lata i nie poniosę konsekwencji.

Na pytanie, czy wzorem miałyby dla nas się stać Skandynawia, Agata Gajos odpowiada: – Dlaczego nie, tym bardziej że pomysłów im nie brakuje. W Norwegii np. karę wylicza się na podstawie miesięcznych zarobków sprawcy. Im są wyższe, tym wyższy mandat. Nawet półtorę pensji, co ma skutecznie odstraszac recydywistów. Ci, którzy unikają płacenia kar, mogą trafić do więzienia nawet na 150 dni. Z kolei w Danii za jazdę po alkoholu traci się nie tylko prawo jazdy, ale i samochód. Ten trafia potem na licytację. Nie, kierowca nie ma możliwości odzyskania auta.

Czy w Polsce to by przeszło? – Nawet tego próbowano – wzdycha Agata Gajos – ale padały argumenty: to samochód nie samego kierowcy, lecz całej rodziny. Jak on będzie żył? Jak zarobi na dzieci? Nikt nie patrzył na to, że świadomie podjął decyzję, że siada za kółko pod wpływem. Przecież są dowody na to, jak alkohol wpływa na kierowcę.

Jeszcze wcześniej zgłaszane były inne propozycje: publikowanie zdjęć pijanych kierowców, ujawnianie ich nazwisk i wprowadzenie pojęcia „stan nietrzeźwości w stopniu wysokim”. Wszystkie odrzucano („Projektodawca strzela za daleko sankcją”, przekonywał podczas debaty sejmowej ówczesny wiceminister sprawiedliwości Michał Królikowski).

Eksperti nie zamierzają jednak rezygnować. Zwłaszcza że wiedzą teraz i to, że z winy nietrzeźwych kierowców zwiększyła się w tym roku liczba rannych na drogach – o 25% (to już prawie 1 tys. osób). Dr Piotr Jabłoński: – Po raz pierwszy planujemy rozpiąć konkurs na nowy typ kampanii. Ma być skierowana nie tyle do kierowców, ile do pasażerów lub świadków niebezpiecznych zachowań. Start jeszcze w tym roku.

Dorota Bartosiewicz

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Weselej nad tymi wyborami

Zasady jestem raczej czarnomyślnym, krytycznie spoglądam nawet wtedy, kiedy można by pogodzić się z ufnością. Szklanka moich rozważań jest przeważnie do połowy pusta, dominuje kasandryczność, przeważa niedowierzanie, szukanie drugiego dna, co tu dużo mówić: pesymizm jest dominantą, zastrzeżenia – regułą. Z tym większym zdumieniem przyglądam się swoim reakcjom i oczekiwaniom związanym z nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi. Nawet kiedy czytam, że większość elektoratów opozycji (zarówno Koalicji Obywatelskiej, jak i Lewicy, bo trudno mi gdzieś zaklasyfikować peeselokukizmy) z rezygnacją oczekuje i przewiduje – przewiduje, bo oczekuje, a oczekuje, bo przewidziała, a przewiduje, bo takie ma oczekiwania – wygranej PiS, to gęba mi się śmieje. Naszła na mnie jakaś fala endorfin przedwyborczych, która niczym niezapowiedziany huragan Stefan czy Heniek zmiotła czarne chmury.

Próbując jakoś to zrationalizować, doszedłem do wniosku, że w niebyt (proporcjonalnie) odeszło odczuwane jeszcze niedawno przerażenie, które zwiastowało osiągnięcie przez monopartię Kaczyńskiego większości konstytucyjnej i urządzenie nam tu jesieni średniowiecza wielkiego państwa narodu katolickiego. Dzisiaj, gdy obserwuję efekty lewicowej

ofensywy (bardziej niż roszad Schetyny), spłynął na mnie dziwny spokój, że to całkiem nierealne, nieosiągalne, że ta szansa (marzenie orbánopodobne Jarosława, autora listów do małej Emi) wymknęła się mistrzowi upuszczeń szklanki z władzą bezpowrotnie. Z mojego punktu widzenia szansa na zwycięstwo Lewicy i jej rządzenie jeszcze nie ma. Zwycięstwo Platformy w szerokiej koalicji jest, delikatnie mówiąc, nieoczywiste, ale już zbudowanie zapór parlamentarnych, np. wątpliwa i krucha większość PiS (a kuku, peeselokukizmy) w Sejmie i – na co liczę mimo wszystkich wysiłków Platformy, żeby to przegrać – dobry wynik w plebiscytowej walce o Senat, nie wydaje się czymś poza zasięgiem wyobraźni politycznej. A to już baaaardzo dużo.

Na klęskę PiS trudno liczyć, chociażby dlatego, że zbyt wiele mu się udało – i realnie, i propagandowo. A co bardziej bolesne, oglądamy wciąż czteroletni spektakl niemożności i indolencji opozycji (tu akurat myślę o parlamentarnej głównie), która programowo, inwencyjnie przeborsukowała niemal całą kadencję. Taki już jej urok, smętny i bezbarwny, czary-mary, trza odsunąć PiS od władzy.

Pozostaje oczywiście pytanie, jak zdefiniujemy klęskę. Moim zdaniem klęską radykalną będzie właśnie brak

większości konstytucyjnej, bo PiS nie ma tyle czasu, żeby doczekać kolejnych wyborów i wtedy rozgromić nas konstytucją – narodową w formie, katolicką w treści.

Żywię głębokie przekonanie, jakkolwiek paradoksalnie nawet dla mnie samego by to brzmiało, szczególnie kiedy zrekonstruuje moje czarne myśli ostatnich miesięcy i lat, że lewicowy front, który udało się powołać po serii bolesnych prób i błędów, absolutnie realnie jest politycznym wydarzeniem na miarę czarnego konia tych wyborów, że to właśnie Lewica zgarnie cobywborczą polską tradycyjną premię dla świeżaków. Niezależnie od tego, że ani tam nie dominują świeżaki, ani to taka nowa zjawka. Ale działa efekt porozumienia i dogadania się jeszcze niedawno niedogadywalnych, oraz całkowity brak konkurencji w rozgrywce o alternatywę dla wyleniałych niedźwiedzi POPiS.

Tak niewiele trzeba? Wygląda na to, że tak. Noszę wciąż w głowie jakieś wyniki analiz po wyborach w 2015 r., w których badający próbowali zrozumieć, czym się kierowali wyborcy/wyborczynie głosujący wówczas na PiS, ale nietworzący bynajmniej jego twardego elektoratu. Czyli *de*

facto ci, którzy dali mu zwycięstwo. Otóż dominującym poglądem było przekonanie, że wówczas PiS było partią, której w ogóle „czegoś się chce”. Nieważne było, czego chce, jakim kosztem, jakimi

metodami. Wystarczyło zbudować wrażenie, że się chce. Czy dzisiejsza opozycja wokółplatformerska buduje takie wrażenie? Nie mam wcale takiego poczucia. Z kolei PiS okopało się mocno w swoich sukcesach (tak, tak, jest ich więcej niż 500+) i sprawia wrażenie rządzącego pasybrzucha, co jeszcze w jego elektoracie nie budzi żadnego sprzeciwu, ale już pośród mobilnych głosujących tak.

A Lewica, owszem, wygląda jak zawodnik spragniony nie tylko gry po wymuszonej poprzednimi wyborami pauzie, ale czegoś więcej. I mam nadzieję, że do październikowych wyborów to wrażenie wzmocni i spotęguje. Przecież jesteśmy już dużymi chłopcami i dziewczynami, ta polityka (a innej nie mamy), spektakl i widowisko mają być przekonujące. Naprzeciw jest oczywiście brutalny przeciwnik, który nie będzie się wahał faulować albo zerwać meczu. Jednak rozważania na temat tego, jak się potoczy uznanie niekorzystnych dla siebie wyborów przez Księcia Nowogrodzkiej, to temat na inny tekst.

Tymczasem mam przeczucie, że Lewica idzie po wynik nie tylko dwucyfrowy, ale bliski i okolic dwójki na przedzie. Stąd ta radość i spokój. Zagłosować i kontrolować. A potem dalsza walka.

Lewica idzie po wynik nie tylko dwucyfrowy, ale bliski dwójki na przedzie. Zagłosować i kontrolować. A potem dalsza walka.



I kto to mówi?!

Od władz politycznych lub kościelnych słyszymy, że zagrażają nam „zboceńcy pod tęczą flagą”. Przecież nigdy nie nazwalibyśmy tak naszych krewnych i znajomych

Ewa Nowakowska

W którym mieście Marsz Równości zakończy się pogromem? Gdzie poleje się krew? Czy będą ofiary śmiertelne? Czy władza zareaguje wedle znanego schematu: nie pochwalamy, ale rozumiemy?

Jesteśmy unurzani w paskudnym, propagandowym kłamstwie, które przybiera na sile i stanowi prowokację do zbrodni. Dlatego nie można milczeć. Trzeba demaskować zakłamanie i obłudę prowokatorów.

Po pierwsze, opisywana jako śmiertelne zagrożenie dla dzieci, rodziny, narodu i Kościoła „ideologia LGBT” nie istnieje. Nie istnieje tak samo, jak nie istnieje ideologia heteroseksualności, ideologia karłowatego wzrostu, ideologia gęstych włosów, ideologia dalekowzroczności itd. Orientacja seksualna, podobnie jak wzrost i inne cechy, jest nam dana przez naturę. Czasem natura odstępuje od standardów (popętnia błędy?) i czyni człowieka innym – kochającym przedstawicieli tej samej płci, wyjątkowo wysokim lub ni-

skim, ponadprzeciętnie inteligentnym albo niezdolnym do abstrakcyjnego myślenia. Piszę to z pozycji ateistki. Znajoma katoliczka mówi: takimi ich stworzył Bóg, widocznie miał w tym jakiś cel.

Powtarzam: nie ma ideologii, są ludzie nieheteroseksualni, czyli lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści. Do niedawna ukrywali się świadomo społecznego piętna i zagrożeń, bo przecież karano ich albo przymusowo „leczono”, traktując odmienną orientację jak chorobę. Jeszcze w latach 60. w Ameryce mężczyźni zadenuncjowani jako para kochanków – dorośli, uprawiający seks za obopólną zgodą – byli narażeni na ka-

Ciągle obowiązująca ustawa z 1993 r. o planowaniu rodziny nakładała na szkoły wymóg wprowadzenia edukacji seksualnej.

rę więzienia od pięciu lat do dożywocia. W „leczeniu” homoseksualizmu stosowano wachlarz sadystycznych metod, od kastracji przez elektrowstrząsy po lobotomię. Na szczęście dzięki postępowi medycyny dowie-

To wyznawcy Boga, honoru i ojczyzny pastwią się nad uczestnikami Marszów Równości. Nz. burdy na marszu w Białymstoku.

dziono, że to nie choroba, nie zboczenie, nie ekscentryczny wybór. To indywidualna cecha uwarunkowana biologicznie. Zachodnie społeczeństwa dawno tę wiedzę przepracowały, zrozumiały i zaakceptowały. Godzą się na związki partnerskie i małżeństwa jedнопłciowe. Inna miłość osób dorosłych, za obopólną zgodą, bez przemocy i wykorzystywania relacji zależności, jest aprobowana. Nigdzie z tego powodu nie obniżyły się standardy moralności, nie osłabły więzi społeczne. Przeciwnie – przybyło ludzi szczęśliwych.

Po drugie, Polacy o nietypowej orientacji seksualnej, obserwując zmiany zachodzące w innych krajach, także zaczęli wychodzić z ukrycia. Ich jedynym celem są równe prawa. Możliwość zalegalizowania związku, dziedziczenia po partnerze, dostępu do informacji medycznych o nim itd. Dlaczego wychodzą na ulice? Bo tak to się zaczęło na świecie. Pierwsze marsze gejów i lesbijek odbyły się w amerykańskich miastach latem 1970 r. Miały upamiętniać starcia z policją, do których rok wcześniej doszło w gejowskim klubie Stonewall w Nowym Jorku. To był początek rewolucji na rzecz równouprawnienia mniejszości. Wzór dla późniejszych Parad Równości.

Są ludzie, którzy mówią: niech już sobie będą tymi odmieńcami, ale dlaczego z tym się obnoszą? Ano dlatego, żeby oznajmić swoje istnienie. Żeby odegrać swoje dotychczasowe życie w ukryciu, strachu i poczuciu gorszości. Żeby wykrzyknąć: żyjemy wśród was, jesteśmy tacy sami jak wy, zasługujemy na takie same prawa i szacunek! Przestaną manifestować, gdy poczują się równi wśród równych. Potrzeba zmanifestowania

swojego istnienia towarzyszy mniejszościom od zawsze. To znany mechanizm tkwiący w zbiorowej psychice. Tak samo zachowywali się pierwsi chrześcijanie, gdy byli tylko niewielką sektą. Dopominali się o równe prawa,

o możliwość jawnego uprawiania swojego kultu.

Prezes Kaczyński nazwał ostatnio Marsze Równości teatrem, któremu trzeba się przeciwstawić. Jeśli radosny marsz młodych, uśmiechniętych ludzi z pokojowymi hasłami jest teatrem, to jak nazwać ostatnie cotygodniowe występy prezesa ustrojowego np. w hełm strażacki i mającego

Obywatele mają prawo upominać się o respektowanie zapisów ustawy i żądać tego od MEN.

za tło wianuszek krzepkich niewiast w regionalnych strojach? Cyrkiem?

Po trzecie, jednym z wątków coraz ostrzejszej nagonki na osoby LGBT jest przypisywanie im rozwiązłości i potępienie w czambuł edukacji seksualnej, która ma prowadzić do rozwiązłości powszechnej. Żądanie zakazu wstępu do szkół edukatorów, którzy przekazywaliby wiedzę o mniejszościach seksualnych i uczyli tolerancji. Opowiadanie piramidalnych bzdur o tym, że Światowa Organizacja Zdrowia zaleca naukę masturbacji w przedszkolach. Apełowanie do rodziców, żeby chronili dzieci przed demoralizacją w placówkach oświatowych. Już są dostępne gotowe listy protestacyjne przeciwko edukacji seksualnej – wystarczy je podpisać i dzieci będą uratowane! Jak podobne brednie mogą bez żenady wygłaszać ludzie piastujący funkcje publiczne, ludzie, od których *a priori* oczekujemy wiedzy i odpowiedzialności za słowo – politycy z pierwszych stron gazet, dostojnicy kościelni? Jak można takie enuncjacje traktować poważnie i upowszechniać za pośrednictwem mediów?

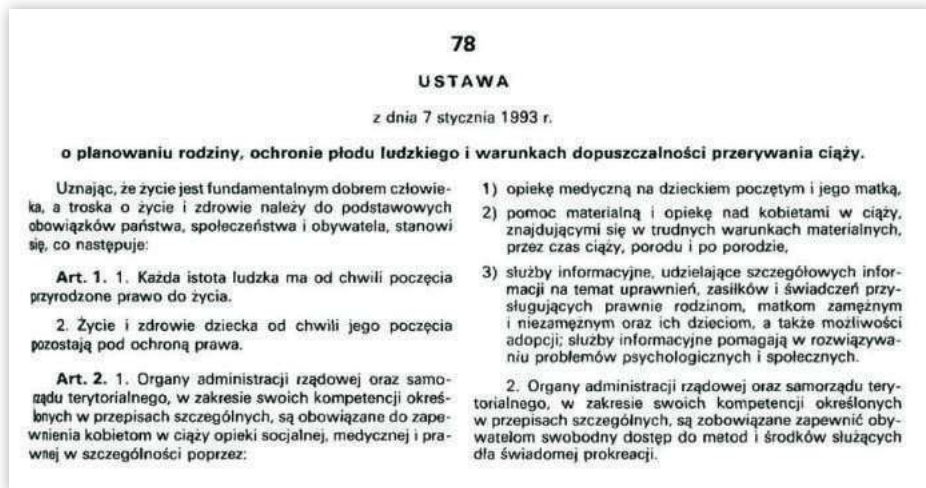
Ludzie ci udają, że nie wiedzą o ciąży obowiązującej ustawie z 1993 r. O planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Wtedy ustawodawcy zgodzili się co do tego, że jeśli ograniczają prawo do aborcji, to należy jej zapobiegać poprzez szeroki dostęp do edukacji seksualnej i antykoncepcji. Dlatego ustawa nakładała na szkoły OBOWIĄZEK wprowadzenia takiej edukacji. Jak go realizowano, to temat na inne opowiadanie. Faktem jest, że ustawa obowiązuje i obywatele mają prawo upominać się o respektowanie jej zapisów. Mają prawo żądać

tęgo od Ministerstwa Edukacji Narodowej. Oto jedno z zadań dla lewicy w przyszłym parlamencie. Tymczasem niektórzy mówią: dajcie spokój sprawom obyczajowym, wyciszcie je, są poważniejsze kwestie! Rzeczywiście, na pierwszym planie powinna pozostać (nie)praworządność. Ale czy cięża nastolatek poniżej 15. roku życia to sprawa niepoważna? Co wie-

działa o swojej seksualności 12-letnia dziewczynka, która niedawno urodziła dziecko? Czy ochrona dzieci przed wykorzystywaniem seksualnym poprzez uświadamianie im, czym jest zły dotyk, jak przed nim się bronić, gdzie szukać ratunku przed osoba-

Tęcza jako symbol „zarazy” jest eliminowana z przestrzeni publicznej. O komicznych tego przejawach donoszą media. Historia wielobarwnego koguta z Pcimia zwiastuje pogrom tęczowych kogucików na łowickich wyćcinankach, które są filarem polskiego folkloru. A co z tęczą na niebie, wedle biblijnej wykładni symbolizującą przywierze Boga z człowiekiem?

Zdaniem abp. Gądeckiego krytyka abp. Jędraszewskiego świadczy o „zakorzenionym w pewnych środowiskach totalitaryzmie światopoglądowym, polegającym na usuwaniu poza sferę obszaru wolności ludzi myślących inaczej”. Zaraz, zaraz, jakie to środowiska zagrażają ludziom myślącym inaczej? Czy ateści blokują trasy licznych procesji i pielgrzymek katolików? Czy geje i lesbijki obrzucają ich uczestników wulgar-



mi, które je krzywdzą, to też sprawa niepoważna?

Po czwarte, kolejną falę wrogości i szykan wobec środowiska LGBT wzniesił abp Marek Jędraszewski, anonsując „tęczową zarazę”, która „chce opanować nasze dusze, serca i umysły”. Abp Jędraszewski dał się poznać wszędzie, gdzie pracował, jako niestrudzony obrońca księży, którym udowodniono nadużycia seksualne. Słynne były jego starania o dobrostan abp. Juliusza Paetza, znanego jako miłośnik poznańskich seminarzystów. Wynika stąd, że tęczowi we własnej grupie zawodowej nie budzą dezaprobaty arcybiskupa.

Słowa o „tęczowej zarazie” spotkały się z gromkim aplauzem nie tylko biskupów, ale również elity władzy, z prezesem Kaczyńskim na czele.

nymi wyzwiskami i kamieniami? Czy te procesje wymagają ochrony policyjnej? Nic takiego się nie dzieje. To wyznawcy Boga, honoru i ojczyzny pod tym hasłem pastwią się nad uczestnikami Marszów Równości. I konia z rzędem temu, kto udowodni mi istnienie totalitaryzmu światopoglądowego poza religiami.

Od paru miesięcy jest w Polsce dostępna książka Frédérica Martela „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie”. Autor to francuski socjolog i dziennikarz. Materiały do książki gromadził przez cztery lata, w Watykanie i wielu nuncjaturach papieskich na świecie, także w Polsce. Miał lokalnych współpracowników. Rozmawiał z setkami duchownych, wśród których byli szeregowi księża, biskupi, a nawet kilkudziesięciu kardynałów.

► Wielu występuje w książce pod nazwiskiem. Na podstawie tych rozmów i innych źródeł Martel – sam gej – opisuje zjawisko homoseksualizmu w Kościele. Dowodzi, że to nie margines, ale system obejmujący wszystkie struktury, od lokalnych seminariów po watykańskie otoczenie papieża. Analizuje przyczyny i skutki takiego oto paradoksu: w Kościele funkcjonuje najliczniejsza społeczność homoseksualna na świecie, a zarazem księża są największymi homofobami. Należą do mniejszości seksualnej, a na zewnątrz demonstrują skrajną nietolerancję wobec własnych upodobań. To rygorystyczny moralizm na pokaz, aby chronić dobre imię Kościoła. Martel pisze o tym w tonie chłodnej analizy socjologicznej, nie epatuje czytelników tanią sensacją.

Oto jedna z dróg do kapłaństwa: młody mężczyzna, najczęściej z prowincji, orientuje się, że nie interesują go kobiety, jego orientacja seksualna jest inna – naganna, wyszydzana

że zachowują absolutną dyskrecję, publicznie zaś będą potępiać homoseksualizm. Idealistom świat wali się na głowę i rezygnują z kapłaństwa. Pozostali akceptują warunki. Wspinają się po szczeblach kościelnej kariery. Im wyższy stopień w hierarchii, tym większy procent gejów! – przekonuje i udowadnia Martel. Przytacza znane nazwiska i funkcje. W kurii rzymskiej jest ich najwięcej. Ale nie tworzą wspólnoty. Nie ma żadnego gejowskiego lobby w Watykanie – twierdzi francuski socjolog. Geje w watykańskich pałacach są bardzo samotni, tworzą osobne „szafy” – zamknięty, sekretny świat, w którym protektorzy i protegowani czują się bezpiecznie. To świat specyficznej kultury sekretu, nepotyzmu i kłamstwa.

Martel opisuje podwójne, nierzadko rozwiązłe życie części homoseksualnych hierarchów, którzy na zewnątrz demonstrują ostentacyjną homofobię. Podaje wiele nazwisk. Dowodzi, że hipokryzja stoi za najważniejszymi

sytuacji i oczyści szeregi. Resort sprawiedliwości zareagował jak zawsze – podniósł w drastyczny sposób kary, tym razem za gwałt pedofilski. Minister zapowiedział, że rozliczy wszystkich winnych – z naciskiem na celebrytów, artystów i dziennikarzy – bo „ani Nagroda Nobla, ani Oscar” nie zagwarantują bezkarności. Zabrzmiało groźnie, a zarazem komicznie, bo przecież nikt z garstki polskich noblistów nie był oskarżony nawet o przestępstwo pospolite! Poza tym celebryta, któremu zarzuca się nadużycia seksualne, trafia przed oblicze sądu, a ksiądz... dostaje gorszą parafię. Nie podniesiono kar za inne niż gwałt wykorzystywanie seksualne dzieci, co było wyraźnym ukłonem w stronę księży – oni najczęściej oskarżani są o tzw. inne czynności seksualne. Jak opowiadała jedna z bohaterek filmu Sekielskich: „Ksiądz onanizował się moimi rękami”. Z tego samego powodu księży nie ma w rejestrze pedofilów, którym chwali się ministerstwo.

Abp Jędraszewski dał się poznać wszędzie, gdzie pracował, jako niestrudzony obrońca księży, którym udowodniono nadużycia seksualne.

i potępiana. Nie do przyjęcia w homofobicznym środowisku. Mężczyzna szuka bezpiecznej przystani, gdzie mógłby się ukryć i przeżyć. Dochodzi do wniosku, że może nią być Kościół. Od wieków homoseksualiści lgną do Kościoła i ukrywają się pod jego opiekuńczymi skrzydłami. W większości na starcie są pełni najlepszych intencji. To ludzie religijni, ufni, że celibat pomoże im wyzwolić się z „nienaturalnych” upodobań. Żyją w ascezie, zachowują dziewictwo, nierzadko zadają sobie ból, aby powściągnąć nieczyste skłonności. Do czasu.

Już w seminarium orientują się, że ich nauczyciele niekoniecznie przestrzegają ślubów czystości. Bycie duchownym i homoseksualistą wcale się nie wyklucza! W dzień ksiądz, nocą bywalec klubów dla gejów – to nie rzadkość. Wielu duchownych prowadzi intensywne życie seksualne, mają kobiece przezwiska, stałych lub sprowadzanych z ulicy partnerów. Uwodzą młodych seminarzystów. Ci, którzy im ulegają, cieszą się specjalnymi przywilejami. Oporni, których to zniesmacza i przeraża, szukają pomocy u spowiedników. A tam słyszą, że wszystko będzie w porządku, pod warunkiem

decyzjami, które ukształtowały współczesny katolicyzm. Za wrogością Kościoła wobec gejów, prezerwatyw, antykoncepcji, święcenia kobiet i zniesienia celibatu. I przekonuje, że sytuacja nie zmieni się, dopóki Kościół nie uzna homoseksualizmu ani nie zniesie celibatu. Jak wiadomo, w ostatnich latach systematycznie maleje napływ chętnych do seminariów duchownych. Martel dowodzi, że to wynik coraz większej otwartości i tolerancji wobec osób homoseksualnych. Ci mężczyźni już nie muszą się ukrywać w seminariach, mogą bez lęku ujawnić swoją orientację i żyć, jak chcą.

„Sodoma” wyszła równocześnie w 20 krajach i w ośmiu językach. Watykan jej nie oprotestował.

Po piąte, w maju można było obejrzeć film „Tylko nie mów nikomu”. Bracia Sekielscy udokumentowali w nim kilka spośród ciemnej, wielocyfrowej liczby przypadków przemocy seksualnej księży wobec dzieci. Poruszenie było ogromne, liczne ofiary zaczęły wychodzić z cienia, papież Franciszek otrzymał mapę obrazującą skalę zjawiska w Polsce. Przez chwilę wydawało się, że hierarchia kościelna rozumie powagę

I tak z wielkiej chmury spadł drobny, krótkotrwały deszczyk. Przystępność seksualna księży została

skutecznie przykryta atakiem na niegodziwe LGBT, które chce „seksualizować dzieci” w przedszkolach i szkołach, żeby je później „oddać w ręce pedofilów”. Dwie zbitki słowne, a ile w nich bredni! Co znaczy „seksualizować”? Ze swoją seksualnością przychodzimy na świat, a dziecko odkrywa ją albo dzięki mądrym wychowawcom, albo w sposób traumatyczny, np. za sprawą drapieżcy seksualnego. Nierzadko jest nim mężczyzna w sutannie. Co do pedofilów, pedofilia, czyli znajdowanie satysfakcji w obcowaniu seksualnym z dziećmi, jest dewiacją. Zdarza się rzadko. Nie ma nic wspólnego z homoseksualizmem. Większość księży, którzy napastują dzieci, to nie są pedofile. To zwyczajni, heteroseksualni mężczyźni, którzy nie mogą rozładować popędu w relacjach z osobami dorosłymi. Zaspokajają go więc w sposób zastępczy. Wykorzystują dzieci, bo te są dostępne – powierzone ich opiece, ufne, bezbronne, często nieświadome, co się dzieje, zastraszane. Racja ma Martel, twierdząc, że dopóki celibat nie zostanie zniesiony, nadużycia seksualne księży nie ustaną. A w Polsce już o nich cicho sza. Prowincja

(terytorialna, ale głównie umysłowa) tworzy „strefy wolne od LGBT”. Nikt nie zaprzęta sobie głowy niezgodnością tych pomysłów z porządkiem konstytucyjnym. Stref wolnych od drapieżników seksualnych w sutanach nie przewidziano. Byle tylko nikt nie ośmielił się edukować dzieci, jak się przed nimi bronić!

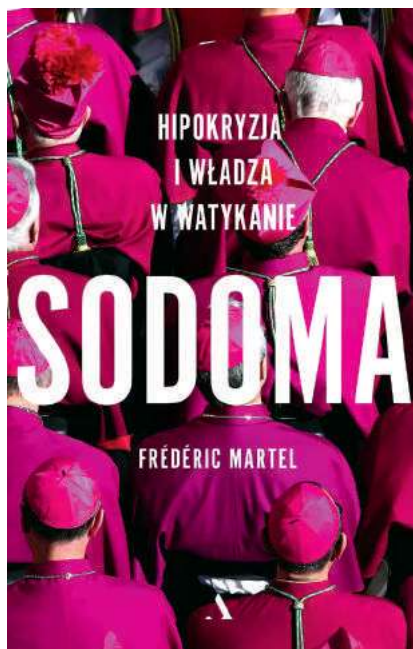
Po szóste, przeciętny zjadacz chleba nie bardzo wie, kto zaczął ten elgiebet, podobnie jak wcześniej nie

oceniamy ich wedle zalet i wad charakteru, kultury, uczciwości, odpowiedzialności, czy wedle orientacji seksualnej? Czy czujemy się od nich lepsi? Czy coś nam z ich strony zagraża? Czy łatwiej nam z tym, że wreszcie wychozą z ukrycia i nie musimy udawać nieświadomych łączących ich więzi? Wydaje się, że odpowiedzi są oczywiste. A jednak w przestrzeni publicznej ciągle słyszymy od osób z kręgów władz politycznych lub kościelnych,

Z pewnością nie robi tego pełnomocnik rządu ds. równego traktowania, bo jako członek zakonu PC Adam Lipiński musi myśleć tak jak prezes. Nie robi tego opozycja jako całość, bo ten temat to gorący kartofel. Pozostaje lewica. To ona mogłaby (powinna?) demaskować ideologów piramidalnego kłamstwa o LGBT. I pokazywać, jak jest naprawdę. Prof. Zygmunt Bauman definiował lewicowość jako „bunt przeciwko znieczulicy na ludzką

W Polsce ukazała się książka „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie”. Autor gromadził materiały w nuncjaturach papieskich na świecie, także w Polsce.

wiedział, z której strony może go zaatakować potwór gender. Z ust kościelnych i politycznych notabli słyszy, że to miks faszyzmu z bolszewizmem przyprawiony zamachem na Kościół. To zaraza, czyli w kategoriach medycznych coś między dżumą a cholerą. W kategoriach obyczajowych – dewiacja, niemoralność, krzywdzenie dzieci, niszczenie tradycyjnej rodziny. A jak jest naprawdę? Nie słyszałam o rodzinie, którą rozbiłoby dziecko o nietypowej orientacji seksualnej. Ale znam takie, które zostały zniszczone przez obławę, szlaki otoczenia, głupie rady o konieczności leczenia, egzorcyzmowania lub wyrzeczenia się „nienormalnego” potomka. Poznałam też dziewczynkę trans, która czuje się chłopcem i nie aprobeje ani swojego żeńskiego imienia, ani lalek, ani sukienek. Wiem, że



niedolę”. Dziś niedola jest udziałem osób LGBT. Jak je wesprzeć? Może należałoby wydrukować i rozkleić gdzie się da mądre plakaty, z których każdy przechodzień dowie się, kim naprawdę są osoby nieheteroseksualne, na czym polegają ich problemy. Powielać i popularyzować zalecenia WHO w sprawie edukacji seksualnej, aby Kowalski mógł odetchnąć z ulgą, że nie musi podpisywać listów protestacyjnych, bo jego dziecku nie grozi w przedszkolu trening z masturbacji? W kulturalnej formie odkłamać to, co zostało trywialnie zakłamane? Może kandydaci do parlamentu powinni o tym rozmawiać podczas spotkań z wyborcami?

Jeśli czegoś nie zrobimy, kolejny Marsz Równości może się skończyć pogromem równości. To nie wszystko. Warto pamiętać, że autorytaryzm

Martel dowodzi, że homoseksualizm w Kościele to nie margines, ale system obejmujący wszystkie struktury, od seminariów po otoczenie papieża.

co najmniej dwie trzecie nastolatków LGBT ma myśli samobójcze, a pojedyncze osoby zamieniają je w czyn.

Wedle szacunków w Polsce jest ok. 1,9 mln osób o nietypowej orientacji seksualnej. Powiedzmy sobie szczerze, każdy z nas poznał takie osoby w najbliższym otoczeniu: w rodzinie, w pracy albo wśród znajomych. Dwie przyjaciółki nierozłączki od szkolnej ławy. Po rozpadzie nieudanego małżeństwa jednej z nich mieszkają razem i wspólnie wychowują dwójkę dzieci. Kuzyn, który z partnerem od dziesięcioleci tworzy zgodny związek, ot, takie stare, dobre małżeństwo. Urodziwy kolega z pracy obojętny na zaloty największych uwodzicieli. Czy

że zagrażają nam „zboceńcy pod tęczową flagą”. Gdzie oni są? Przecież nigdy nie nazwalibyśmy tak naszych krewnych i znajomych!

Prezes Kaczyński raz po raz wzywa do ochrony polskiej rodziny przed zagrożeniem ze strony LGBT. I kto to mówi? Stary kawaler, żyjący do późnej dorosłości pod kuratelą mamusi. Człowiek, który nie wie, czym jest budowanie związku z drugą osobą, na czym polega odpowiedzialność za powołane na świat dzieci, ile żmudnych starań potrzeba, aby ognisko domowe nie zgasło. Czy taki obrońca rodziny może być wiarygodny?

Po siódme, ktoś musi się upomnieć o dobre imię i prawa osób LGBT.

nie poprzestaje na szykanach wobec jednej grupy społecznej. Na kogo padnie w następnej kolejności? Skutki krótkowzroczności potencjalnych ofiar przejmująco opisał niemiecki pastor Martin Niemöller, kiedy i on trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau. „Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem. Nie byłem przecież Żydem. Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem. Nie byłem przecież komunistą. Kiedy przyszli po socjaldemokratów, nie protestowałem. Nie byłem przecież socjaldemokratą. Kiedy przyszli po związkowców, nie protestowałem. Nie byłem przecież związkowcem. Kiedy przyszli po mnie, nikt nie protestował. Nikogo już nie było”.

Autorka jest socjolożką i publicystką

Tomasz Skowronek

Drenaż mózgów osłabia Hiszpanię

Tysiące hiszpańskich pracowników naukowych i lekarzy przeniosło się do innych krajów UE

Maribel Vicente, 47-letnia lekarka rodzinna, po latach pracy w przychodni w andaluzyjskiej Granadzie postanowiła wyemigrować z dwiema córkami do francuskiego Le Mans. W rozmowie z dziennikiem „El País” mówi, że emigracja była strzałem w dziesiątkę. Nie dość, że we Francji zarabia czterokrotnie więcej niż w Hiszpanii (odpowiednio 2,3 tys. i 10 tys. euro), to jeszcze przyjmuje jedynie 20 pacjentów dziennie, a na pierwszy rok zapewniło jej bezpłatne mieszkanie. „Wyjechałam, bo miałam dość warunków pracy w andaluzyjskiej służbie zdrowia. Miałam zaledwie pięć minut na pacjenta, a dziennie przyjmowałam ich ponad 50. W dodatku panowała tam ogromna biurokracja”.

Maribel nie jest jedyną lekarką, która szuka szczęścia we Francji. W Normandii pracuje co najmniej 50 andaluzyjskich lekarzy. Wprawdzie nie ma dokładnych danych dotyczących tego zjawiska, jednak według hiszpańskich mediów coraz więcej pracowników medycznych przenosi się do innych krajów. „Niedobór lekarzy jest poważnym problemem dla regionu. Nawet władze zauważają brak specjalistów. Taka sytuacja szkodzi nam wszystkim”, alarmowała gazeta „Diario de Cádiz”.

W tej chwili najdotkliwiej odczuwa się brak pediatrów i anestezjologów. Andaluzyjski sektor zdrowia pilnie potrzebuje 1,8 tys. lekarzy. „W czasie kryzysu politycy twierdzili, że nie ma pieniędzy na zatrudnienie, a teraz się dziwią, że brakuje lekarzy”, komentuje Fernando Ramírez, lekarz rodzinny z Kadyksu, rzecznik platformy Basta Ya, która walczy o polepszenie stanu służby zdrowia. Największy niedobór lekarzy odnotowuje się w Andaluzji, jednym z najbiedniejszych regionów, ale brakuje ich w całym kraju: w sumie ok. 4 tys. specjalistów. Według badań deficyt wzrośnie trzykrotnie w 2025 r. Sytuacja pogorszy się z powodu przejścia na emeryturę personelu, który już teraz w 50% składa się z ludzi po pięćdziesiątce.

Emigracja lekarzy to tylko jeden z przykładów hiszpańskiego drenażu mózgów. Od czasu kryzysu gospodarczego z Hiszpanii coraz częściej emigrują nie tylko młodzi lekarze, ale również inżynierowie, naukowcy i inni wykwalifikowani pracownicy. We-

dług Komisji Europejskiej od 2010 r. za granicę wyjechało ponad 12 tys. hiszpańskich naukowców. „W Hiszpanii niewiele o tym się mówi, ponieważ istnieją inne, pilniejsze kwestie, takie jak bezrobocie czy eksmisje. Jednak drenaż mózgów i utrata dobrze uformowanego kapitału ludzkiego jest także istotnym problemem i błędem, za który w przyszłości słono zapłacimy”, twierdzi José López Barneo, profesor fizjologii.

„Zdajemy sobie sprawę z powagi problemu. Hiszpańskie uniwersytety powinny przyciągać i zatrzymywać talenty badawcze, tymczasem naukowcy często wybierają pracę w innych krajach, co prowadzi do znacznej utraty wysoko wykwalifikowanych pracowników, wykształconych w Hiszpanii. Dlatego uważamy, że konieczne jest odzyskanie inwestycji w badania i rozwój, które w ostatniej dekadzie zostały zmniejszone o 9,7%”, mówi Beatriz Álvarez García, wiceprezes

Płace w Hiszpanii są nawet czterokrotnie niższe niż we Francji, Niemczech i Szwecji.

La Facultad Invisible, stowarzyszenia *non profit*, które działa na rzecz poprawy stanu hiszpańskich uniwersytetów publicznych.

Wysoko wykwalifikowani specjaliści emigrują do Europy Północnej, a ich celem są wyższe zarobki i lepsza jakość życia. Płace w Hiszpanii są trzy- lub nawet czterokrotnie niższe niż np. we Francji, w Niemczech, w Szwecji czy w Luksemburgu. Bezrobocie w iberyjskim państwie wynosi ok. 14%, natomiast w Austrii, Irlandii, Norwegii, Wielkiej Brytanii i Holandii mniej więcej 5%. Jeżeli zna się język, znalezienie pracy jest łatwiejsze niż w ojczyźnie. Hiszpania jest bardziej zależna od umów tymczasowych niż jakikolwiek inny kraj UE. Według Euro-

statu, agencji statystycznej UE, więcej niż jeden na czterech pracowników był zatrudniony na umowę tymczasową, co stanowi aż 27%.

Do tego dochodzi kolejny istotny czynnik: satysfakcja. Wielu młodych ludzi wybiera podróżowanie, poznanie nowych kultur i zbieranie różnych doświadczeń. Co więcej – młodzi hiszpańscy naukowcy próbujący rozpocząć karierę w swoim kraju spotykają się z nieprzyjazną strukturą i nadmierną biurokracją. Z tego zapewne powodu wzrósł średni wiek hiszpańskiego profesora – ponad 45% pełnoetatowych naukowców ma obecnie przeszło 50 lat (w 2008 r. stanowili oni 39%). Ostatnie dane pokazują, że 40% naukowców zatrudnionych w obszarze badań i rozwoju ma umowy tymczasowe.

Sytuacja w północnej Europie jest znacznie lepsza, o czym przekonała się Isabel Vázquez. Po ukończeniu studiów magisterskich w dziedzinie inżynierii środowiska na uniwersytecie w Sewilli przez osiem miesięcy ubiegała się o zatrudnienie. „Nie wiem nawet, ile wysłałam podań o pracę. Wysłałam CV do dowolnego miejsca w Hiszpanii, które było związane z jakąkolwiek gałęzią chemii, nawet na stanowisko technika laboratoryjnego. Bez odzewu – wspomina i dodaje: – Musiałam także odrzucić bezpłatną ofertę pozostania w grupie badawczej na uniwersytecie. Nie jestem z Sewilli, więc ponosiłabym wysokie koszty utrzymania. Byłam gotowa przyjąć bardzo niskie wynagrodzenie, ale nie mogłam pracować za darmo”. Rozczarowana i zniechęcona spakowała walizki i wyjechała do Dublina. Tam chwyciła się różnych prac i szlifowała angielski. Teraz robi doktorat na uniwersytecie w Liverpoolu. Ma dobre stanowisko i niezłą pensję, ale – co najważniejsze – realizuje się w swojej dziedzinie. Jej historia nie jest wyjątkowa. Wielu



hiszpańskich badaczy zamieniło ojczyznę na lepsze perspektywy kariery za granicą. Dla większości to podróż za jedną stronę.

Podobna historia spotkała Xaviego Medianera, który w wieku 25 lat zamieszkał w Monachium. Specjalizuje się w akumulatorach elektrycznych, pracował m.in. w BMW i SAP. „Znalazłem się tu nie tylko ze względu na wynagrodzenie, z którym Hiszpania nie może konkurować. Inne warunki pracy też są korzystniejsze, np. mam 30 dni urlopu w roku”. Jego zdaniem przewagą innych krajów nad Hiszpanią jest ścisły związek między przedsiębiorstwami a uniwersytetami, który ułatwia wejście na rynek pracy.

To w Wielkiej Brytanii i w Niemczech odnotowano największy wzrost liczby hiszpańskich imigrantów podczas kryzysu gospodarczego. Ale nie tylko zamożny Zachód przyciąga uzdolnionych młodych ludzi. Z ok. 2,5 mln Hiszpanów mieszkających za granicą 1,5 mln osiedliło się w obu Amerykach, głównie w hiszpańskojęzycznych krajach Ameryki Ła-

cińskiej. Tak jak Julio Rodríguez, który cztery lata temu skończył studia w Seville. Julio od początku wiedział, że chce zostać naukowcem. „Zacząłem aplikować na stanowiska naukowe, ale większość z nich wymagała co najmniej 12-miesięcznego doświadczenia badawczego za granicą, więc nie miałem szans”, wyjaśnia, po czym dodaje: „Pamiętam jedną ofertę w Burgos, drugą w Barcelonie, trzecią w Walencji... Ale po rozmowach kwalifikacyjnych telefon milczał”.

Po roku poszukiwania pracy i krótkim okresie zatrudnienia w sektorze prywatnym Rodríguez znalazł się na lotnisku. „Zadałem sobie pytanie, czy chcę być szczęśliwy, wykonując swoją pracę, czy wykonywać pracę, która nie daje mi satysfakcji. Odpowiedź była jasna. Od 18 miesięcy jestem w Santiago. Gdy znajomi usłyszeli, że chcę wyemigrować do Chile, powiedzieli mi, że to naukowe samobójstwo”. Mylili się. Julio jest głównym naukowcem projektu badawczego na Uniwersytecie Chilijskim. „Dostaję przyzwoitą pensję i mam budżet na zatrudnienie

Niedobór lekarzy jest poważnym problemem. Nawet władze zauważają brak specjalistów.

ludzi. W Hiszpanii byłoby to nie do pomyślenia”.

RAICEX to globalne stowarzyszenie zagranicznych naukowców hiszpańskich, mające ponad 3,5 tys. członków. Według jego prezesa Javiera Escudera, aby powstrzymać drenaż mózgów, potrzebne są większe inwestycje i znacząca poprawa warunków pracy. „Musimy dążyć do lepszych warunków dla osób, które są już w Hiszpanii. Kiedy to nastąpi, nie tylko hiszpańscy naukowcy będą chcieli zostać w kraju, ale także utalentowani badacze z całego świata zechcą przyjechać do nas”.

Zwycięstwo socjaldemokratów z PSOE w ostatnich wyborach parlamentarnych w czerwcu 2018 r. zostało dobrze przyjęte przez społeczność naukową. Dodatkowo ucieszyło ją powierzenie ministerstwa nauki byłemu astronautce Pedrowi Duque. Młodzi badacze wolą jednak poczekać i sprawdzić, czy rząd dotrzyma obietnic. „Mamy nadzieję, ale zachowujemy ostrożność”, mówi Escudero, który z zadowoleniem przyjął ministerialne plany zwiększenia budżetu na badania i rozwój oraz ograniczenie biurokracji.

Na wniosek ministra Pedra Duque rząd zatwierdził budżet w wysokości 100 mln euro, aby „pobudzić naukę i badania innowacyjne”. Te pieniądze zostaną rozdzielone na kilka programów, w tym aż 61 mln na program stypendialny mający na celu „odzyskanie naukowców z zagranicy”. „Naszym moralnym obowiązkiem jest skupienie uwagi na tych doskonale wyszkolonych młodych ludziach, którzy musieli wyemigrować w obliczu kryzysu”, ogłosiła minister pracy, migracji i opieki społecznej Magdalena Valerio, dodając, że „są oni niezbędni do wzbogacenia gospodarki”.

Pytanie jednak, czy działania rządu i wzrost wynagrodzeń doprowadzą do powrotu dobrze wykształconych emigrantów. Sekretarz stanu ds. migracji Consuelo Rumi przyznała, że wykwalifikowani pracownicy czują opór przed powrotem do Hiszpanii, gdzie warunki pracy i wysokość pensji często są mniej korzystne niż w ich nowych krajach. Jednak sukcesem będzie już powstrzymanie lub znaczne ograniczenie nowego drenażu mózgów – a to zawsze krok do przodu. ■

Triumf obrońców starego porządku

Na konwencji SPD zostaną wybrani nowi przewodniczący partii.
Rewolucji raczej nie będzie

Wojciech Osiński

Korespondencja z Berlina

Wyniki ostatnich wyborów lokalnych w Saksonii i Brandenburgii pokazały, że liderzy większych partii tylko w nieznacznym stopniu zdołali przekonać wyborców. W Brandenburgii socjaldemokraci nie przestali być najsilniejszą partią (26,2%), ale w porównaniu z poprzednimi wyborami do poczdamskiego landtagu ponieśli dotkliwe straty. Stan posiadania zwiększyła zaś w obu przypadkach populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD). W Brandenburgii znalazła się na drugim miejscu (23,5%), podobnie jak w Saksonii (27,5%), gdzie pierwszą siłą polityczną pozostaje CDU (32,1%). Notowania poprawili także Zieloni, na czym straciła pewnie Lewica, która w przeszłości miała we wschodnich landach lepsze wyniki. Tymczasem liberałowie z FDP nie dostali się ani do jednego, ani do drugiego landtagu.

Kłeskę ponieśli przede wszystkim współrządzące na szczęblu federalnym CDU i SPD, których wynik w obu landach okazał się najgorszy w historii pojednoczeniowych Niemiec. To kolejny dowód, że model wielkich partii ludowych, stabilizujący



Kilka miesięcy temu 61-letni Olaf Scholz należał do przegranych. Dziś głosi poglądy akceptowane przez wszystkie skrzydła SPD.

Zielonych. Natomiast w Saksonii słaby wynik socjaldemokratów (7,7%) doprowadzi do erozji czarno-czerwonej koalicji CDU-SPD. Kretschmer prawdopodobnie będzie musiał zawrzeć sojusz z Zielonymi. Oba warianty – czerwono-czerwono-zielona koalicja w Poczdamie oraz czarno-

spoglądać na próg wyborczy. Po majowych wyborach do bremeńskiego landtagu i Parlamentu Europejskiego ze stanowiska szefowej SPD zrezygnowała Andrea Nahles, biorąc odpowiedzialność za fatalny wynik ugrupowania. Od tego czasu jest ono zarządzane tymczasowo przez współprzewodniczących: Malu Dreyer, Manuelę Schwesig i Thorstena Schäfera-Gümbela. Grudniowa konwencja ma wyłonić nowe szefostwo, które zgodnie z wzorem przeciwieczonym przez Zielonych i Lewicę ma się składać ze zgranego męsko-kobiecego duetu. Ostateczny termin zgłaszania kandydatur minął 1 września. Na starcie stanęło osiem tandemów i jeden solista.

Nieznani zawodnicy

W ostatnich miesiącach gotowość do startu w grudniowym wyścigu o fotel szefa SPD zadeklarowali mało znani zawodnicy wagi lekkiej. Nikt z pierwszego szeregu nie ośmielił się podnieść ręki, słusznie obawiając się, że jest za bardzo kojarzony z Wielką Koalicją, która zdążyła w ostatnich

Gotowość do startu w wyścigu o fotel szefa SPD zadeklarowali mało znani zawodnicy wagi lekkiej.

niemiecki system polityczny i wchłaniający radykalne siły, przestaje działać. W mediach chadecy i socjaldemokraci podtrzymują wprawdzie przekonanie, że mimo strat zdołali obronić swoje bastiony, ale wszyscy wiedzą, że czekają ich żmudne rozmowy koalicyjne. W Saksonii władzę nadal będzie dzierżył Michael Kretschmer (CDU), a w Brandenburgii Dietmar Woidke, ale dotychczasowe sojusze przypuszczalnie się rozpadną. Aby w Poczdamie nie dopuścić AfD do władzy i uzyskać większość niezbędną do utworzenia rządu, SPD i Lewica muszą wpuścić do rządu

-zielony sojusz w Dreźnie – uchodzą za możliwe modele przyszłości w rządzie federalnym. Z kolei konserwatywni chadecy coraz głośniejszym pomrukiem o sojuszu z AfD, obawiając się przechyłu w lewo. Już w ubiegłym roku niektórzy saksońscy posłowie twierdzili, że marginalizacja populistów może się okazać dla Niemiec gorsza niż włączenie ich do koalicji. Chadecy obawiają się, że wieloletni kryzys SPD przekłada się także na straty dla CDU.

Ostatnie wybory w Saksonii okazały się kolejną odsłoną dramatu partii Brandta i Schmidta, która bodaj po raz pierwszy po 1945 r. musi z obawą

latach ściągnąć na siebie falę niechęci. A jednak w połowie sierpnia do kandydatów dołączył jeden z najbardziej prominentnych polityków tej partii, minister finansów oraz wicekanclerz w obecnym rządzie federalnym Olaf Scholz. Jego decyzja z miejsca zdominowała niemieckie media, ponieważ po odejściu Nahles sam się wycofał z linii ognia. Wiosną w popularnym programie prowadzonym przez Anne Will wykluczył swoje kandydowanie, zastanawiając się obowiązkami szefa resortu finansów i zastępcy Angeli Merkel. Zdaniem niemieckich dziennikarzy na zmianę decyzji wpłynęło rosnące zaniepokojenie kolegów z SPD tym, że w ciągu trzech miesięcy kandydatury zgłosili wyłącznie politycy drugiego szeregu, tacy jak wiceszef MSZ Michael Roth, Nina Scheer czy Christina Kampmann. Długoterminowo mogłoby to poskutkować dalszym spadkiem notowań SPD. Sam Scholz nigdy nie krył ambicji, choć wiedział, że gdyby zastąpił Nahles krótko po jej dymisji, jako wicekanclerz zaliczyłby falstart. Widocznie dlatego tak długo zwlekał z decyzją.

„Decyzja Scholza jest konsekwencją uchylania się od odpowiedzialności innych znanych socjaldemokratów jak Heiko Maas czy Stephan Weil”, pisze „Die Welt”. Podobną opinię wyraża „Süddeutsche Zeitung”. „Scholz przejmuje odpowiedzialność. Ma to zatrzeć dotychczasowe wrażenie, że fotel szefa niemieckich socjaldemokratów to gorący kartofel, którego nikt nie chce”, przekonuje monachijska gazeta. Natomiast stołeczna „Die Tageszeitung” nie wierzy w odnowę SPD pod egidą obecnego ministra finansów. „Wyborcy bardzo tęsknią za nową i inną SPD. Uratować może ją więc tylko dysydent, który zaspokoi potrzeby osób pozbawionych politycznej ojczyzny, niemożących zrozumieć, dlaczego w państwie dobrobytu i nadwyżek muszą się obawiać biedy i utraty mieszkania”, konkluduje.

Te różne i czasami sprzeczne reakcje mediów pokazują, że socjaldemokraci wciąż nie mają recepty na odzyskanie zaufania wyborców. Dla jednych koszmarem byłby nieodświadczony kandydat w rodzaju szefa młodzieżówki SPD Kevina Kühnerta, dla drugich natomiast zgrany już wiceszef Wielkiej Koalicji Olaf Scholz.

Gryźć trawę

Jeszcze kilka miesięcy temu Scholz rzeczywiście należał raczej do przegranych. Odejście Nahles, z którą wiceszef SPD często występował w mediach, wywołało pragnienie rewolucji, z którą kojarzono twarz wielu młodych działaczy, ale na pewno nie 61-letniego Scholza. Z drugiej strony minister finansów by nie wystartował, gdyby nie wierzył w zwycięstwo, choć musi najpierw udowodnić, że potrafi „gryźć trawę” i pokonać konkurentów. Uchodzący za powściągliwego urzędnika Scholz musi zdobyć serca socjaldemokratów na nadchodzących konferencjach regionalnych, gdzie liczą się raczej perswazja, emocje i wiecowa retoryka, a nie chłodne kalkulacje.

Polityk SPD ma na koncie wiele sukcesów (choćby zdobycie w 2011 r. absolutnej większości w hamburskim landtagu), ale dotąd raczej unikał wewnątrzpartyjnych batalii. Za godną następczynię Nahles uważano przez jakiś czas Manuellę Schwesig, która w odróżnieniu od Scholza potrafi podnieść głos i punktować słabości przeciwników, rozbudzając emocje zdolne poderwać pogrążonych w apatii wyborców i skonsolidować środowiska, które odwróciły się od SPD. 45-letnia premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego nabrała już politycznego doświadczenia, a zarazem przekonuje do siebie młodszych wyborców, którzy nie pałają sympatią

styl opiera się na chłodnym myśleniu menedżerskim i cichym dążeniu do ucięcia kompromisów, co ceni *gros* Niemców zainteresowanych polityką.

Zresztą kwestia kandydowania na szefową SPD upadła właściwie już po dymisji Andrei Nahles, gdyż od tamtej chwili Manuela Schwesig jest jedną z komisarycznych współprzewodniczących partii, co wyłączyło ją z wyścigu o pożądane stanowisko. Jako że jednak Scholz pozornie jako pierwszy wycofał się z wyścigu, wszystkie oczy zwróciły się na Dolną Saksonię, która w przeszłości wyłoniła wielu socjaldemokratów odnoszących sukcesy na szczeblu federalnym.

Cień Wielkiej Koalicji

W hanowerskim ratuszu pierwsze doświadczenia polityczne zebrali choćby Gerhard Schröder, Peter Struck i Sigmar Gabriel. Popularnością cieszy się także obecny premier Dolnej Saksonii Stephan Weil, który akurat nie zamierza ubiegać się o stanowisko szefa SPD. Zamiast niego wystartował Boris Pistorius, minister spraw wewnętrznych w jego lokalnym rządzie. Z Dolnej Saksonii pochodzi również lubiany przez wyborców minister pracy Hubertus Heil, który ze względu na obowiązki w rządzie federalnym dość wcześnie wycofał się z konkursu. Podobnie jak pochodzący z Soltau sekretarz generalny SPD Lars Klingbeil.

Model wielkich partii ludowych w Niemczech przestaje działać.

do wicekanclerza. Scholz odpowiada raczej osobom, które nie lubią zwać w polityce. Wśród Niemców pokutuje przekonanie, że logika polityczna powinna popychać do wyciszenia emocji, a nie do ich eskalowania. Tymczasem Schwesig dobrze się czuje w atmosferze wojny, w której też łatwiej wodzowi partii oczekiwać bezwzględного posłuchu. A jednak zdaniem niektórych komentatorów pani premier Meklemburgii grzeszy egzaltacją i przywiązaniem do blichtru, czego nie sposób zarzucić Scholzowi. Ten nawet w ogniu kampanii wyborczej emanuje spokojem. Były burmistrz Hamburga wstąpił do partii w 1975 r. i przez te lata dowiódł, że chęć wyniesienia własnej osoby nie jest tym, co go w życiu napędza. Jego

Niektórzy bukmacherzy polityczni stawiali przez jakiś czas na szefową resortu rodziny Franziskę Giffey, która obok Heila cieszyła się największą spośród ministrów z SPD popularnością. Ostatnio została ona jednak oskarżona o plagiat rozprawy doktorskiej. Sprawa ma co prawda charakter rozwojowy i jeszcze nic nie zostało udowodnione, ale sam zarzut jest w Niemczech często gwoździem do politycznej trumny. W końcu Giffey, która najchętniej wystartowałaby w duecie z Weilem, zrezygnowała. Kolejną znaną kandydatką jest burmistrz Flensburga Simone Lange, która wystrzyła swój profil dopiero w 2018 r., bo jako jedyna ośmieliła się wystąpić w roli kontrkandydatki Andrei Nahles. Lecz ▶

► prawdopodobnie i tym razem, w tandemie z mało znanym nadburmistrzem Budziszyna Alexandrem Ahrensem, nie ma szans na zdobycie większości głosów na grudniowym zlocie SPD. Znikome szanse ma też Karl Lauterbach, doskonały lekarz i znawca niemieckiej służby zdrowia, ale uchodzący w SPD za indywidualistę i dziwaka. Już zawczasu kandydowanie wykluczył szef dyplomacji Heiko Maas, który krąży po świecie i rzadko mógłby przewodniczyć naradom w stołecznym Willy-Brandt-Haus.

Olaf Scholz zwietrzył więc ostatnią okazję. Nigdy nie zaprzeczał, że chciałby być pierwszym kanclerzem z ramienia SPD od ponad 20 lat. Tyle że było to w czasach rosnącej

wyborcy wolą powierzyć pieniądze politykowi, który jest opanowany i potrafi zarządzać finansami, nie zaś młodemu buntownikowi jak Kühnert, który najchętniej upaństwowiłby wszystkie prywatne koncerny. Z drugiej strony pod względem charyzmy Scholz przegrywa z takimi liderami jak Robert Habeck, prowadzący Zielonych od jednego zwycięstwa do drugiego. Pytanie, kogo niemieccy wyborcy widzieliby chętniej w roli negocjatora w rozmowach z Donaldem Trumpem i Władimirem Putinem – doświadczonego Scholza czy zielonego Habecka?

Ale wygrana Scholza nie jest przesądzona. Wicekanclerz ubiega się o stanowisko wraz z 43-letnią Klarą

preferując stabilizację koalicji rządowej z chadekami, w której młody buntownik szybko doprowadziłby do rozłamu.

Stabilizacja zamiast buntu

Odkąd wiadomo, że szef Jusos zrezygnował, a o fotel lidera SPD ubiegają się tacy starzy wyjadacze jak Stegner, Scholz, Schwan i Pistorius, szanse na przetrwanie Wielkiej Koalicji do końca kadencji rzeczywiście wzrosły. I to po tych wszystkich skandalach i konfliktach, które od półtora roku targają rządem federalnym. Tyle że wielu socjaldemokratom znudziła się nieustanna krytyka sojuszu z CDU/CSU. Po przegranych wyborach parlamentarnych w 2017 r. młode wilki z SPD miały swoje pięć minut, domagając się od ówczesnego szefa

Martina Schulza odnowy w opozycji. Gdy z braku chętnych SPD ponownie weszła do rządu, frustracja chwilowo się nasiliła, ale po niemal dwóch latach prawie wszyscy zdążyli się oswoić z reanimacją Wielkiej Koalicji. Innymi słowy, kwestionowanie jej sensu przestało być w SPD modne. Możliwe, że przewodniczącymi zostaną obrońcy *status quo*, którzy ocalą partię przed rewolucją, zagwarantowawszy jej stabilizację w stadzie młodych buntowników. Kandydaturę Scholza wspiera także po cichu Angela Merkel, która nie zamierza przed 2021 r. dobrowolnie opuścić rządu, są za nim również konserwatywni chadecy z Monachium. „Decyzja ministra finansów jest optymistycznym sygnałem na przyszłość”, cieszy się Markus Söder, szef CSU i premier Bawarii. Natomiast Kevin Kühnert dzisiaj milczy. Rzucił się do szarży, z której zysk odnieśli zwolennicy Wielkiej Koalicji. Zapytany, dlaczego w końcu nie chciał kandydować na szefa SPD, odparł nieśmiało: „Czekałem z decyzją do końca. Chciałem najpierw zobaczyć, kto będzie startował”. Słowa zdecydowanego przodownika utęsknionej rewolucji brzmią dziś inaczej. Przypominają zachowanie polityka na przedwczesnej emeryturze, który może jeszcze się włączyć. Ale jest też prawdopodobne, że szef Jusos unika politycznego ojcostwa, grzecznie czekając na swoją kolej.

Wojciech Osiński

Kogo wyborcy widzieliby w roli negocjatora w rozmowach z Trumpem i Putinem – doświadczonego Scholza czy zielonego Habecka?

koniunktury i życzliwych notowań, gdy wygrywał w Hamburgu każde wybory. Dziś ma 61 lat i kładzie się na nim cień Wielkiej Koalicji.

Na białym koniu

Gdy jednak po głośnym pożegnaniu się Andrei Nahles z polityką kurz bitewny opadł, a do grona chętnych na stanowisko szefa SPD dołączyła 76-letnia Gesine Schwan, Scholz zaczął się jawić jako młodzieniec na białym koniu. Ponadto jest dziś wyznawcą poglądów akceptowanych przez wszystkie skrzydła SPD, np. wyższych rent i podwyższenia płacy minimalnej. Co więcej, kraj mogą czekać chude lata dekoniunktury, a określenie techniczna recesja nie znika z mediów ekonomicznych. W takich czasach

Geywitz z Poczdamu – ma ona przyciągnąć młodych wschodniemieckich wyborców, ale wcześniej prawie nikt jej nie znał. Największym zagrożeniem dla Scholza może się okazać równie zdeterminowany Boris Pistorius – ten po zdobyciu byłej żony Gerharda Schrödera poczuł też apetyt na jego niegdyśjsze stanowisko. Szanse Scholza zwiększyła rezygnacja wspomnianego Kevina Kühnerta, która zasmuciła wszystkich wiążących z nim nadzieje na przełom pokoleniowy w SPD. Dlaczego lider młodzieżówki Jusos zrezygnował? Przecież kilka miesięcy temu to 30-letni Kühnert najgorliwiej krytykował Wielką Koalicję, stając się realnym kandydatem na nowego szefa partii. Okazuje się, że SPD nie była jeszcze gotowa na związany z nim szok kulturowy,

**Nie skacz z kwiatka
na kwiatek,
wykup subskrypcję
PRZEGLĄDU**



sklep.tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Szczerzenie zębów

Dzisiaj tak się kocha dzieci, tak się celebruje różne formy miłości do nich, że ich samopoczucie określa w dużej mierze nasze. Jesteśmy szczęśliwi ich szczęściem, rozpaczamy ich rozpaczą. Cały nasz pobyt w Grecji stał pod znakiem dzieci. Plaża dobra, bo długo płytko, więc bezpiecznie, basen odpowiednio wyprofilowany, będą miały większą frajdę. Gdy się cieszą, ja się cieszę, jak się kłócą i dochodzi do rękoczynów, jestem w depresji. Potem nagle wraca ich wzajemna miłość, więc miło mi na duszy. Chcemy dużo jeździć samochodem po wyspie, ale one nie palą się do tego. Trudne negocjacje. Walczą, by nie jechać. Od piękna krajobrazów woła ekran tabletu. Od morza basen. Zabytki to dla nich nieszczęście. Antos robi wykład, że przeszłość go nic nie obchodzi, interesuje go to, co teraz, i od biedy przyszłość, jeśli kroją się tam jakieś przyjemności. Zmienia świat, kiedy dorosną, to pewne, ale czy na lepsze?

Czas wracać. Żeby dojechać do lotniska, trzeba płynąć promem przez zatokę. Świt, woda jak atrament, który w słońcu błękitnieje. Zasypiam w samolocie, lot trwa więc chwilę. Tak nagle zmiana krajobrazów zdaje się cudem. Polska pełna jest żywej zieleni. Samochód na parkingu patrzy na nas z wyrzutem, że tak długo był sam. Trasa szybkiego ruchu z Modli na do Warszawy bardzo europejska. I tylko dręczące uczucie, że to wszystko strefa skażona obłędem politycznym.

Dzieci zmieniają świat, kiedy dorosną, to pewne, ale czy na lepsze?

Nawet awaria warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka stała się polityczna. Minister Marek Suski, słynny rządowy osioł, porównał ją do katastrofy w Czarnobylu. W podobnym tonie pisał media reżimowe. To dowodzi, jakim szambem stała się polska polityka. A Trump naszą rocznicę 1 września olał. Wierzę, że z lęku, że huragan spustoszy Florydę, a gdy prezydenta nie będzie w kraju, lud obarczy go winą za nieszczęście. Jak podała agencja Associated Press, Trump w sobotę, w dniu warszawskiej uroczystości, udał się śmigłowcem z prezydenckiej rezydencji Camp David w stanie Maryland do należącego do niego klubu golfowego w stanie Wirginia. Biały Dom nie poinformował, co prezydent zamierzał tam robić, ale można się domyślić. Przy okazji trudno nie dostrzec, jak podupadła powaga prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trump ośmieszył ten urząd i go ogłupił.

Z polskiej głupoty... W rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych znowu dwie uroczystości w Gdańsku

szczerzą na siebie zęby. Jedna, dawnej, prawdziwej Solidarności Wałęsy, Borusewicz, i ta rządowa z Morawieckim. PiS tworzy Instytut Dziedzictwa Solidarności, który ma konkurować z Europejskim Centrum Solidarności, wedle PiS będącym w rękach wroga. Obłęd. Wkrótce miejskie toalety będą znaczone, które narodowe, pisowskie, patriotyczne, a które dla liberałów, demokratów, czyli dla zdrajców ojczyzny.

Popelnilem błąd, że zgodziłem się mówić o Annie Walentynowicz w radiu publicznym. We wczesnych latach 80. napisałem książeczkę „Anna Walentynowicz” i wydałem ją w drugim obiegu (kilka lat temu było wznowienie). To jej monolog, taki szczególny, bo widziała swoje życie naiwnie, jak dziecko, jako okrutną baśń. Potem los dopisał tej baśni niezwykłą puentę, czyli śmierć w narodowej katastrofie lotniczej, która przyczyniła się do katastrofy politycznej, w której żyjemy. Teraz PiS chce, by mit Walentynowicz zastąpił mit Lecha Wałęsy. Żałosne.

Ale próbują. Moja książka, co wiem z ubeckich teczek, wzbudziła w latach 80. wielkie zainteresowanie bezpieki, bo chcieli wykończyć Lecha z pomocą pani Ani, która go nie znosiła. Teraz

więc jest jakoś podobnie. Dziennikarka z radia reżimowego – ale to program, którego na ogół się nie bojkotuje, bo kulturalny – przyznaje, że były wątpliwości w redakcji, czy można ze mną rozmawiać. Dopiero szef podjął decyzję, że można. Mam nadzieję, że za to nie polecą. Mówiąc o pani Ani, opowiadałem w puencie, jak się rozeszły nasze drogi po 1989 r., że nic nie rozumiała z tego, co się dzieje w nowej Polsce, zapiekła, zgorzkniała. To, rzecz jasna, mi wytną. Nie trzeba było więc się godzić na tę rozmowę.

Sen dojmująco realny, że mam w domu rewizję. Lata 80., kilku ubecków szuka materiałów do mojego podziemnego pisma, schowałem je w łóżku, pod materacem. Kilkogodzinna rewizja, pamiętam wszystkie szczegóły, zwroty akcji, już byli blisko odkrycia papierów, gdy się obudziłem. Na szczęście. Tak wracają do mnie tamte lata i tamte niepokoje. Na jawie miałem tylko jedną rewizję, była mniej dramatyczna niż ta we śnie. I tą senną chyba bardziej się przejąłem.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Wykluczeni od urodzenia

Co 20. człowiek na świecie jest przedstawicielem mniejszości etnicznej w swoim kraju

Mateusz Mazzini

Aubrey Terry od ponad 50 lat hoduje bydło w 70-hektarowym gospodarstwie nieopodal Halifaxu w stanie Wirginia. Choć pochodzi z rolniczej rodziny, a w prowadzeniu hodowli pomagają mu dzieci i bracia, coraz częściej zastanawia się nad sprzedażą ziemi i podziałem zysków między najbliższych. W rozmowie z reporterami angielskiego dziennika „Independent” opowiada bowiem, że choć Ameryka miała już czarnego prezydenta, to wciąż nie chce w pełni uznać praw swoich czarnych obywateli, a już na pewno nie rolników, którym odbiorcy płacą sporo niższe ceny niż białym farmerom.

Carlos Aillañir Huenchual miał 57 lat, kiedy 6 listopada 1973 r. po raz ostatni pożegnał się z siedmioro-giem dzieci, wychodząc z domu na plantację awokado, gdzie pracował. Trzy dni później został zastrzelony przez oficerów DINA, tajnej chilijskiej policji politycznej, powstałej po przewrocie gen. Pinocheta. O losie Carlosa jego bliscy dowiedzieli się wiele lat później, kiedy po transformacji

problemów z edukacją na Oksfordzie mają studenci tacy jak ona, czyli o innym niż biały kolorze skóry. W 2005 r. założyła więc Target Oxbridge, firmę doradztwa edukacyjnego pomagającą członkom mniejszości etnicznych dostać się na najlepsze uczelnie w Wielkiej Brytanii, a potem na nich przetrwać. Kellman zaznacza, że element przetrwania jest tu równie ważny, i to nie tylko z powodów naukowych. Wielu uczniów pochodzących z Afryki czy Karaibów rezygnuje bowiem ze studiów na Oksfordzie lub Cambridge także z prozaicznych powodów – nie są w stanie w tych miastach chociażby znaleźć fryzjera, który poradziłby sobie z ich włosami.

Te trzy historie dotyczą skrajnie różnych osób na odmiennych etapach życia. Ich problemy też trudno ze sobą zestawić. Jednak mają wspólny mianownik, który pokazuje, że mimo wyrównywania szans w wielu rejonach świata nadal sporo osób jest z niego w mniejszym lub większym stopniu wykluczanych. Aubrey, Carlos i Naomi są członkami mniejszości etnicznych w swoich krajach. Podobnie jak co 20. osoba na naszej planecie.

Populację Bangladeszu w 89% stanowią muzułmanie, hinduskie mniejszości pozbawione są najczęściej opieki administracyjnej władz.



dominującej pozycji”. Autorzy rocznego raportu Narodów Zjednoczonych o sytuacji mniejszości etnicznych dodają jeszcze, że członkowie tych grup muszą wykazywać wolę zachowania swojej tożsamości wobec liczniejszej grupy. Innymi słowy, muszą być inni i chcieć innymi pozostać.

Szacunki co do liczebności mniejszości etnicznych na świecie różnią się radykalnie. Bo i zmierzyć to zjawisko jest trudno. ONZ określa tę liczbę na między 300 a 400 mln osób. Bank Światowy jest nieco bardziej precyzyjny i podaje liczbę 370 mln osób jako wielkość światowych mniejszości etnicznych. Quentin Wodon i Gina Cosentino, badacze zajmujący się wykluczeniem mniejszości etnicznych w społeczeństwach globalnego Południa, dodają jednak, że w ostatnich dziesięcioleciach precyzyjne oszacowanie liczebności stało się praktycznie niemożliwe z powodu ciągłych i ogromnych migracji. Masy ludzi ruszających z centralnej Ameryki, Afryki Subsaharyjskiej i Bliskiego Wschodu na północ i zachód często nie dochodzą do docelowych miejsc. Zostają gdzieś pośrodku i stają się mniejszościami etnicznymi, choć często nie wiedzą nawet, że przekroczyli jakąkolwiek granicę.

Wreszcie liczby te, zwłaszcza tak ogromne, mają to do siebie, że są bezimienne. Dlatego w debacie o mniejszościach etnicznych przyjęta została dużo bardziej plastyczna forma opisywania tych grup.

Ponad 100 mln dzieci na świecie jest wykluczonych z edukacji, bo nie mówią w języku, w którym prowadzone są zajęcia.

ustrojowej ujawniono akta dyktatury wojskowej. Agenci nie zabili go jednak za stawianie oporu czy przynależność do partii komunistycznej. Uznano go za jednego z liderów społeczności Mapuczy, rdzennych mieszkańców środkowego Chile, których nowy reżim chciał wykluczyć z chilijskiej wspólnoty narodowej.

Naomi Kellman, chociaż nie pochodzi z rodziny zamożnej ani mającej tradycje w edukacji wyższej, została absolwentką Uniwersytetu Oksfordzkiego – szkoły naznaczonej wciąż obecną w brytyjskim społeczeństwie klasowością. Na studiach zauważyła jednak, jak wiele

Mniejszości etniczne to jedna z najbardziej pojemnych kategorii w debacie publicznej. W dodatku nie istnieje jedna, powszechnie uznana i precyzyjna definicja, kto taką mniejszość tworzy. Według oficjalnej terminologii ONZ grupę etniczną, odrębną od pozostałych mieszkańców kraju czy konkretnego terytorium, tworzą ludzie mający wspólną tożsamość zbiorową oraz przynajmniej niektóre z wyróżniających cech: inny język, narodowość, system wierzeń czy rasę. Mniejszości etniczne to zatem grupy, które powyższe kryteria spełniają, chociaż w miejscu zamieszkania nie zajmują „numerycznie



Mniejszości stanowią ok. 5% populacji naszej planety. I choć statystyki na ich temat są często trudne do wyobrażenia, to problemy, z którymi się borykają, okazują się powszechne i jak najbardziej realne.

Pierwszym jest rdzenna forma komunikowania się. Bo mniejszości etniczne nie tylko mówią często w innych językach niż większość, ale też są ostatnimi kustoszami swoich języków. Wodon i Cosentino szacują, że mniejszości mówią w ok. 7 tys. języków, spośród których aż 40% jest zagrożonych wyginięciem. Oznacza to, że nie zachowały się prawie żadne skodyfikowane, materialne źródła na temat ich konstrukcji, a mówiące nimi grupy albo wymierają, albo przyjmują języki większości. Dlatego bieżący rok w działalności Banku Światowego nazwany został Rokiem Języków Rdzennych i Pierwotnych. Bo choć część członków mniejszości chce przejmować język większości, są też tacy – i jest ich niemało – którzy kolejne pokolenia chcą edukować w języku przodków.

Nie zawsze odbywa się to z pomocą edukacji formalnej, czyli tradycyjnych szkół. W Nowej Zelandii popularny stał się pomysł gniazd językowych, w których przedstawiciele mniejszości Maorysów prowadzą żłobki i punkty dziennej opieki nad maoryskimi dziećmi, mówiąc do nich wyłącznie w rdzennym języku te reo. Podobne rozwiązania wprowadzono w Finlandii, Rosji, Australii, Kanadzie i na Hawajach.

To jednak wciąż kropla w morzu potrzeb. UNICEF szacuje bowiem, że ponad 100 mln dzieci na całym świecie jest wykluczonych z procesu edukacyjnego, bo nie mówi w języku, w którym prowadzone są jedyne dostępne zajęcia szkolne. Zjawisko to szczególnie wyraźnie widać w Afryce Subsaharyjskiej, Azji Południowo-Wschodniej i Ameryce Łacińskiej. I ma ono drastyczne konsekwencje, bo wykluczenie dzieci szybko zamienia się w wykluczenie dorosłych. Członkowie mniejszości, którzy nie nauczyli się komunikować w językach urzędowych jako dzieci, nie są w stanie funkcjonować w systemie instytucji państwowych. Trudno im zgłosić narodzenie dziecka, wyrobić dokument tożsamości czy założyć konto w banku. Co z kolei skazuje na marginalizację ich samych i kolejne pokolenia w ich rodzinach.

Jednym ze sposobów walki z wykluczeniem językowym mniejszości jest uznanie ich języków za urzędowe. Przez wiele lat za pioniera w tym zakresie uważano Evo Moralesa, prezydenta Boliwii, który w przyjętym w referendum z 2009 r. projekcie konstytucji nadał status oficjalny aż 36 językom tamtejszych mniejszości etnicznych. Zmienił przy tym nazwę kraju na Wielonarodową Republikę Boliwii. W praktyce okazało się to raczej pustym zabiegiem politycznym, bo w urzędach nie pojawiły się dokumenty w 36 językach, a tylko w najpopularniejszych, czyli ajmara, keczua i guarani.

Wykluczenie językowe nie zatrzymuje się jednak w urzędzie, najczęściej sięga portfeli mniejszości etnicznych. Bo choć stanowią one tylko 5% populacji globu, to aż 15% tej grupy stanowią najbiedniejsi, żyjący poniżej albo w okolicach granicy absolutnego ubóstwa. Autorzy poświęconego temu zagadnieniu bloga The Borgen Project wśród przyczyn wymieniają dyskryminację rasową i religijną, prześladowania, ale też brak obecności państwa na terenach zamieszkałych przez mniejszości. Jak chociażby w Bangladeszu, którego populację w 89% stanowią muzułmanie, a hinduskie mniejszości pozbawione są najczęściej jakiegokolwiek opieki administracyjnej ze strony władz.

Problem wykluczenia mniejszości nie dotyczy jednak tylko krajów biednych czy dawnych kolonii. Wspomniany efekt migracyjny powoduje, że zmieniają się proporcje w populacjach krajów Północy. Według brytyjskiego ministerstwa edukacji na Wyspach istnieje przynajmniej 80 szkół i przedszkoli, w których nie uczy się ani jedno białe dziecko. Wiele z tych dzieci trafia do placówek bez choćby elementarnej znajomości angielskiego. Włączanie ich i im podobnych do społeczeństwa może się okazać jednym z najważniejszych wyzwań dla świata. I zająć się tym musimy wszyscy, bo wszyscy w jakimś stopniu jesteśmy mniejszością.

O skandalicznej aferze w wymiarze sprawiedliwości z sędzią hejterem w tle przeczytacie w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Berling odwołany za pomoc powstańcom

Pamiętajmy o żołnierzach 1. Armii WP, którzy wyzwolili warszawską Pragę



Wyzwolenie Pragi 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki okupiła licznymi stratami.

Henryk Budzyński

Od wielu lat w czasie obchodów kolejnych rocznic powstania warszawskiego wraca temat pomocy 1. Armii Wojska Polskiego dla walczących powstańców. Za to poza nielicznymi środowiskami zupełnie nie mówi się o rocznicy wyzwolenia Pragi, do którego doszło w wyniku bitwy praskiej 10-15 września 1944 r. Bitwy, która pochłonęła wiele ofiar.

Po klęsce radzieckiej 2. Armii Pancernej pod Radzyminem i Wołominem na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. i po

decyzji Stalina zatrzymującej ofensywę pod Warszawą Niemcy utworzyli na wschód od Pragi trzy solidne linie obrony, głębokie na ok. 12-18 km. Dwie pierwsze przebiegały poza stolicą, trzecia wzdłuż zwartej zabudowy Pragi. Na tym terenie Niemcy zgromadzili jednostki IV Korpusu Pancernego SS w składzie dwóch dywizji pancernych „Wiking” i „Totenkopf”, węgierskiej dywizji kawalerii i dywizji piechoty.

W celu ich likwidacji dowództwo 1. Frontu Białoruskiego przygotowało operację (praską) siłami 70. i 47. Armii. Główne uderzenie miał przeprowadzić

125. Korpus Armijny, któremu podporządkowano 1. Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Dywizja działała (od 10 września) na głównym kierunku uderzenia, tj. od południa w kierunku: Miedzeszyna, Anina, Wygody i Dworca Wschodniego PKP. Kościuszkowcy otrzymali zadanie przełamania niemieckiej obrony na odcinku 1,7 km, pomiędzy hutą szkła a stacją kolejową Międzylesie i kontynuowania natarcia aż do Pragi i mostu Kierbedzia (zburzony 13 września 1944 r. przez Niemców, w jego miejsce po wojnie zbudowano most Śląsko-Dąbrowski).

14 września 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki stanęła na prawym brzegu Wisły w rejonie wysadzonego mostu. Wykonała postawione jej zadanie, jednak sukces ten opłaciła stratą 1792 żołnierzy i oficerów, w tym było 310 zabitych i zaginionych. Inne źródła podają większe straty (2004 żołnierzy, w tym 524 poległych i zmarłych od ran).

Prawobrzeżna Warszawa była wolna, ale po drugiej strony Wisły powstańcy toczyli nierówną walkę. Już w nocy z 14 na 15 września zwiadowcy 1. DP przeprawili się z Saskiej Kępy na lewobrzeżny Czerniaków w celu nawiązania kontaktów z powstańcami.

ZAPROSZENIE

Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców oraz Społeczna Rada Kombatancka Warszawa Praga-Północ

zapraszają na uroczystość z okazji 75. rocznicy wyzwolenia Pragi przez 1. Armię Wojska Polskiego, która obędzie się 16 września o godz. 13.00 pod pomnikiem Kościuszkowców w Warszawie przy ul. Okrzei.

W programie:

1. Odegranie hymnu państwowego
2. Okolicznościowe wystąpienia
3. Złożenie wiązanek kwiatów przy pomniku Kościuszkowców

Prezes SORK

Gen. dyw. Piotr Czerwiński

Wprawdzie dowództwo radzieckie nie przewidywało natychmiastowej operacji forsowania Wisły, ale podjęło pewne przygotowania do niej. Wieczorem 15 września zwiadowcy 1. DP powrócili na Pragę, przywoząc powstańczy patrol oficerski. Na podstawie informacji przekazanych przez patrol, a także uzyskanych z innych źródeł dowództwo 1. Armii WP zorientowało się, że w Warszawie walczą trzy odosobnione ośrodki oporu powstańców: Śródmieście, Żoliborz i Mokotów. Na Czerniakowie broni się słaba grupa powstańców (zgrupowanie „Kryśka”, zgrupowanie „Radosław” oraz oddział AL por. „Stacha”). Dowódca całości ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław” wzywał do szybkiego udzielenia pomocy. W razie jej nieotrzymania zapowiadał kapitulację. W tej sytuacji zapadła decyzja o natychmiastowym forsowaniu Wisły.

Dowódca 1. Armii WP gen. Zygmunt Berling zamierzał bronić się na wschodnim brzegu Wisły w całym pasie armii, natomiast wykorzystując powstańczy przyczółek na Czerniakowie, sforsować Wisłę od strony Saskiej Kępy, a następnie rozwijać natarcie w kierunku Śródmieścia i Mokotowa. Decyzję taką podjął wbrew radzieckiemu dowództwu. Rosjanie sądzili, że ukladny dotychczas Berling nie odważy się na samodzielną decyzję. On jednak postawił na swoim. Decyzja o forsowaniu Wisły z marszu wynikała z chęci niesienia szybkiej pomocy powstańcom i z zamiaru uchwycenia przyczółków koniecznych do rozwijania późniejszych działań na zachód od Wisły. Ujemną stroną podejmowanego działania był pośpiech uniemożliwiający szczegółowe ustalenie położenia oraz brak łączności z ośrodkami powstańczymi w mieście.

Decyzję o forsowaniu Wisły Berling podjął wbrew radzieckiemu dowództwu. I postawił na swoim.

Desant żołnierzy 1. Armii WP na Czerniaków wzmógł i tak zacięte walki z Niemcami, zaliczane do najcięższych w całym powstaniu. Niewiele walczących tam żołnierzy wyszło z nich z życiem.

Wysięk żołnierzy polskich w walce o lewobrzeżną Warszawę został okupiony dużymi stratami. Poległo, zostało rannych i zaginęło bez wieści 2276 żołnierzy. Łącznie w czasie walk o Warszawę 1. Armia WP straciła 3764 żołnierzy. Żołnierze polegli na przyczółkach spoczywają na cmentarzach powstańców na Woli, Powązkach oraz na Bródnie.

Jaki los spotkał gen. Berlinga za niesubordynację? Został odwołany ze stanowiska dowódcy 1. Armii i skierowany na studia w Wojskowej Akademii im. Woroszyłowa. Po powrocie do kraju organizował Akademię Sztabu Generalnego WP, zostając jej pierwszym komendantem.

4 sierpnia 2019 r. grupa oszołomów politycznych zburzyła jego pomnik usytuowany w miejscu, z którego żołnierze 3. DP wyruszali z wyzwolonej Pragi na pomoc powstańcom. ■

Książka
prezentuje odmienne
od przeważających
poglądy na stosunki
polsko-rosyjskie

48 zł



PRZEGLĄD poleca!

NAJLEPSZE KSIĄŻKI O ROSJI



Spojrzenie
na Rosję
bez rusofobii

67 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Kto otworzył drogę Hitlerowi?

Polska przegrała kampanię wrześniową już w 1938 r.,
dopuszczając do rozbioru Czechosłowacji

Bohdan Piętko

Pytanie, czy Polska mogła uniknąć losu, jaki ją spotkał we wrześniu 1939 r., było stawiane od czasu zakończenia kampanii wrześniowej. Epigoni obozu sanacyjnego zwykle udzielali fałszywych wyjaśnień, zrzucając odpowiedzialność wyłącznie na sygnatariuszy paktu Ribbentrop-Mołotow i mocarstwa zachodnie, na wszystko tylko nie na politykę firmowaną przez Józefa Becka. Z kolei po 1989 r. w kręgach prawicowych zyskała popularność teza, że w 1939 r. należało stanąć po stronie III Rzeszy. Argumenty zwolenników tego poglądu – będącego jednym z przejawów polskiego irracjonalizmu politycznego – zebrał Piotr Zychowicz w książce „Pakt Ribbentrop-Beck. Czyli jak Polacy mogli u boku III Rzeszy pokonać Związek Sowiecki” (Poznań 2012).

Nie „pakt Ribbentrop-Beck”, ale układ sojuszniczy między Pragą a Warszawą był szansą na zatrzymanie rozpędzającej się agresji hitlerowskiej. Polska przegrała kampanię wrześniową rok wcześniej – we wrześniu 1938 r. – dopuszczając do rozbioru Czechosłowacji. Gorzko podsumował to wówczas Wojciech Korfanty (1873-1939): „Za dwa powiaty Zaolzia, które można było w inny sposób dziesięć razy odzyskać, sprzedano bezpieczeństwo Polski”. Rozbiór, a następnie likwidacja Czechosłowacji w połowie marca 1939 r. doprowadziły do przejścia przez III Rzeszę nowoczesnego uzbrojenia armii czechosłowackiej i dobrze rozwiniętego czeskiego przemysłu zbrojeniowego. Spowodowało to wzmocnienie niemieckiego potencjału militarnego na tyle, że Niemcy hitlerowskie były gotowe do rozpoczęcia wojny z Polską już pod koniec lata 1939 r. Z dzisiejszej perspektywy zdumiewa, że sternicy nawy państwowej II RP nie rozumieli, jakie będą skutki geopolityczne i wojskowe rozbioru Czechosłowacji. Polską racją stanu było

niedopuszczenie za wszelką cenę do kapitulacji Czechosłowacji przed dyktatem monachijskim. A cena była naprawdę niewielka – trzeba było tylko wznieść się ponad uprzedzenia polityczne wobec tego kraju.

Rewizja granic

Rok 1938 był kluczowy dla późniejszego rozwoju wydarzeń. To wtedy mocarstwa zachodnie dały Hitlerowi zielone światło do rozpętania II wojny światowej. To nie pakt Ribbentrop-Mołotow, ale układ monachijski doprowadził do zniszczenia ładu wersalskiego i pozwolił III Rzeszy na politykę dyktatu i podboju. Odpowiedzialność za to spada w pierwszej kolejności na Francję i Wielką Brytanię oraz ich politykę appeasementu (zaspokajania roszczeń Hitlera). Wątpliwości co do tego nie miał Winston Churchill: „W roku 1938 walka o Czechosłowację byłaby czymś jak najbardziej rozsądnym: armia niemiecka mogła wystawić zaledwie pół tuzina wyszkolonych dywizji na froncie zachodnim, podczas gdy Francja ze swoimi niemal 60 czy 70 dywizjami bez trudu

– sternika polskiej polityki zagranicznej. Jego odpowiedzią na list Beneša były wysłane do Pragi pod koniec września 1938 r., utrzymane w tonie nieprzyjawnym noty dyplomatyczne, w których Warszawa domagała się zafatwienia równoległe z roszczeniami niemieckimi polskiej rewindykacji na Zaolziu. To wtedy II RP przegrała kampanię wrześniową z 1939 r., a więc swój byt polityczny.

Józef Beck po objęciu w listopadzie 1932 r. stanowiska ministra spraw zagranicznych zablokował proces normalizacji stosunków polsko-czechosłowackich. Wobec Czechosłowacji kierował się tezą Józefa Piłsudskiego, że istnienie tego państwa nie jest zjawiskiem trwałym. Wbrew stanowisku opozycji antysanacyjnej prowadził rozmyślną politykę pogarszania stosunków z Pragą, czego wyrazem było niepowodzenie rozmów polsko-czechosłowackich w latach 1932-1934. Południowy sąsiad przestał być wtedy dla Becka poważnym partnerem.

Politykę Józefa Becka wobec Czechosłowacji w 1938 r. bezlitośnie podsumował prof. Henryk Batowski

To nie pakt Ribbentrop-Mołotow, ale układ monachijski doprowadził do zniszczenia ładu wersalskiego i pozwolił III Rzeszy na politykę dyktatu i podboju.

mogła przekroczyć Ren i zająć Ruhrę”. A także dojść do Berlina i zakończyć istnienie brunatnej Rzeszy Hitlera, zanim ta podpaliła świat. W 1939 r. było już na to za późno.

W drugiej połowie września 1938 r. – w szczytowym momencie kryzysu sudeckiego – czechosłowacki prezydent Edvard Beneš skierował list do prezydenta Ignacego Mościckiego, w którym oferował Polsce rewizję granicy w zamian za neutralność Warszawy w kryzysie. List ten dotarł z opóźnieniem i nie wywarł pozytywnego skutku ze względu na antyczeską zawziętość Józefa Becka

(1907-1999): „Błędna polityka polska w tym okresie łączyła się (...) z faktem, że Czechosłowacja była w sojuszu ze Związkiem Radzieckim, że tolerowała u siebie działalność partii komunistycznej, że udzielała pomocy polskiej opozycji. Oficjalnie upominano się o nie w pełni takie, jakie powinno być, traktowanie ludności polskiej na Zaolziu. Ale trzeba stwierdzić, że Beckowi nie tyle chodziło o sprawę Zaolzia, ile o cel znacznie szerszy: o zniszczenie Czechosłowacji jako takiej, gdyż nie mieściła się ona w koncepcji Europy Środkowej wytworzonej w polskim MSZ, opartej



Zajęcie Zaolzia w październiku 1938 r. nawet nasi sojusznicy uznali za przejaw współpracy Polski z Hitlerem.

przede wszystkim na współpracy z Węgrami. Chciano dopomóc separatystom słowackim w zerwaniu z Pragą, a Czechów pozostawić ich własnemu losowi¹. Takie cele polityki polskiej były w tym czasie niestety bliskie celom polityki hitlerowskiej.

O ile przed 1989 r. w historiografii polskiej dominowało przekonanie, że Polska popełniła śmiertelny błąd, biorąc udział w rozbiórze Czechosłowacji, o tyle w III RP nastąpił powrót do prostanacyjnej wykładni dziejów. Nie sprowadza się to do usprawiedliwiania zgubnej dla Polski polityki Józefa Becka, jest on także gloryfikowany jako rzekomo przenikliwy mąż stanu, który w 1938 r. zapobiegł zajęciu Zaolzia przez Niemców. Zwolennicy takiego punktu widzenia (m.in. Marek K. Kamiński, Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew) uważają, że całkowitą i wyłączną winę za fiasko jakiegokolwiek porozumienia Polski i Czechosłowacji w 1938 r. ponosił Edvard Beneš, który od 1918 r. prowadził politykę antypolską.

Nierealne złudzenia

Z takim poglądem już ponad pół wieku temu polemizował gen. Tadeusz Machalski (1893-1983) – w latach 1939-1945 attaché wojskowy w Atenach i Ankarze, po wojnie emigracyjny historyk wojskowości. W wydanej

w Londynie w 1964 r. książce „Pod prąd. Światła i cienie kampanii wrześniowej 1939 roku” zauważył on, że zatargi z Pragą o Zaolzie „aczkolwiek ważne, nie powinny być zaciemniać nam obrazu rzeczywistości. Istnienie Czechosłowacji skracало naszą granicę narażoną na atak niemiecki, o całe 850 km i zapewniało bezpieczeństwo naszej południowo-zachodniej granicy na odcinku sięgającym od Karpat aż po Częstochowę włącznie. To było rzeczą najważniejszą, ważniejszą od tego, czy

Józef Beck zablokował proces normalizacji stosunków polsko-czechosłowackich.

Beneš był sympatyczny czy nie (...). Rozwiązania problemu bezpieczeństwa naszej południowo-zachodniej granicy nie należało szukać we wspólnym z Hitlerem rozbiórze Czechosłowacji, ale wręcz przeciwnie, broniąc Czechosłowację [!] przed zaborczością Hitlera. Wtedy Hitler, widząc nas przeciwko sobie, prawdopodobnie namyśliłby się dwa razy przed podjęciem ryzykownej decyzji. Gdybyśmy w czasie kryzysu sudeckiego stanęli po stronie Czechosłowacji zamiast po stronie Niemiec, to możliwe, że do wojny tak w 1938, jak i w 1939 roku w ogóle by nie doszło, a gdyby pomimo wszystko wybuchła

już w 1938 r., to rozegrałaby się tak, jak to niemiecki sztab generalny przewidywał i zakończyłaby się katastrofą Niemiec. Ale nawet gdyby Francja i Anglia zawiodły, to i bez ich udziału, razem z Czechosłowacją, byliśmy silniejsi od Hitlera i dalibyśmy sobie z nim radę, i to tym łatwiej, że pomógłby nam planowany przez generałów niemieckich zamach stanu².

Niestety, tak się nie stało. Mentalność ekipy sanacyjnej – owładniętej obsesją antyczeską, bardzo długo lekceważącej zagrożenie niemieckie

i ulegającej nierealnemu złudzeniu „polityki mocarstwowej” – doprowadziła do udziału II RP w roz-

biórze Czechosłowacji, którego bezpośrednim skutkiem stała się agresja hitlerowska na Polskę rok później. I nie jest prawdą, że po stronie czechosłowackiej nie było partnera do zawarcia układu politycznego.

Poważne rozmowy na temat politycznego i wojskowego zbliżenia obu krajów były prowadzone już w latach 1924-1925 przez szefa polskiego Sztabu Generalnego, gen. Stanisława Hallera, oraz gen. Jana Syrovego – wówczas zastępcę naczelnika Sztabu Głównego armii czechosłowackiej, a we wrześniu 1938 r. premiera rządu czechosłowackiego, który został zmuszony

► przyjąć dyktat monachijski. Jeszcze po przewrocie majowym z 1926 r. w czeskich kołach wojskowych istniała gotowość zawarcia sojuszu z Polską. Jeden z czeskich sztabowców, płk Bartoš, stwierdził wówczas, że „istnieje bezwzględna konieczność jak najściślej współpracy obu naszych armii, wobec istnienia wspólnego nieprzyjaciela – Niemiec. Ta współpraca jest *conditio sine qua non* istnienia obu państw”².

W połowie lat 20. XX w. czescy i polscy sztabowcy kreślili plany wspólnego ataku na niemiecki Śląsk („klin śląski”) w przypadku zagrożenia obu państw przez Niemcy. Zawarcie wówczas wymierzonego w Berlin sojuszu polsko-czechosłowackiego zmieniłoby układ sił w Europie Środkowej na niekorzyść Niemiec, likwidując w pierwszej kolejności niebezpieczeństwo niemieckiego okrążenia Polski od południowego zachodu. Ponadto dobrze rozwinięty czeski przemysł zbrojeniowy stałby się cennym dostawcą broni dla Wojska Polskiego. Dlatego porozumienie polityczno-wojskowe z Czechosłowacją było celem, jaki postawił sobie w polityce zagranicznej trzeci rząd Wincentego Witosa – powołany 10 maja 1926 r. i obalony cztery dni później w wyniku wojskowego zamachu stanu Józefa Piłsudskiego. Historycy ruchu ludowego są przekonani, że jedną z głównych przyczyn przewrotu majowego był zamiar pokrzyżowania planów sojuszu polsko-czechosłowackiego, który nie leżał w interesie Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Konsekwencje zamachu majowego

Zamach majowy przerwał prace nad paktem polityczno-wojskowym z Pragą, jedną z jego konsekwencji było zaś osłabienie, a następnie zerwanie w 1934 r. kontaktów wojskowych między Polską a Czechosłowacją. Był to wielki błąd. Kierownictwo armii czechosłowackiej – złożone z byłych legionistów walczących



z bolszewikami w Rosji w latach 1918-1919 – stanowiło najbardziej propolską część establishmentu czechosłowackiego. Opierając się na generalicji czechosłowackiej, można było zbudować polskie lobby polityczne w tym kraju, które mogło wpłynąć na niechętną Polsce politykę prezydentów Tomaša Masaryka i Edvarda Beneša. Tacy generałowie jak Ludvík Krejčí, Alois Eliáš, Lev Prchala, Jan Syrový czy Siergiej Wojciechowski (z pochodzenia Polak) – przeciwnicy kapitu-

Politykę Becka wobec Czechosłowacji w 1938 r. bezlitośnie podsumował prof. Henryk Batowski.

lacji wobec dyktatu monachijskiego – mając polskie wsparcie podczas kryzysu sudeckiego, mogli się pokusić o obalenie ekipy prezydenta Beneša na drodze zamachu stanu i stworzenie rządu, który razem z Polską byłby gotów podjąć walkę z Niemcami. Racją stanu Polski było utrzymanie z tymi propolskimi generałami kontaktów za wszelką cenę. Tymczasem ekipa sanacyjna zerwała z nimi wszelkie kontakty w połowie

Polacy zrywają czeskie flagi i witają oddziały WP wkraczające do Czeskiego Cieszyńska.

lat 30. – w sytuacji gdy Niemcy hitlerowskie przystąpiły do demontażu ładu wersalskiego w Europie.

Armia czechosłowacka zmobilizowała w 1938 r. 45 dywizji wobec 47 niemieckich. Gdyby po stronie Czechosłowacji stanęła Polska, nie mówiąc o Francji, III Rzesza nie miałaby przewagi militarnej już na początku starcia zbrojnego.

Przedstawiciele czeskich kół wojskowych w latach 1937-1938, a nawet jeszcze jesienią 1938 r., szukali kontaktu z Polską, jednakże ekipa sanacyjna nie miała zamiaru dogadać się z Czechosłowacją. Z inicjatywą rozmów wystąpił pod adresem polskiego attaché wojskowego w Bukareszcie, ppłk. Tadeusza Zakrzewskiego, już na początku grudnia 1937 r. jego czeski odpowiednik, ppłk Otokar Buda. Proponował on w imieniu gen.

Ludvíka Krejčího – szefa czechosłowackiego Sztabu Głównego – odbicie zakonspirowanego spotkania przedstawicieli sztabów polskiego i czechosłowackiego w sprawie współdziałania obu państw przeciw Niemcom.

Jedyną reakcją na raport ppłk. Zakrzewskiego w tej sprawie była surowa reprymenda udzielona mu przez gen. Wacława Stachiewicza – szefa polskiego Sztabu Głównego – oraz płk. Tadeusza Pełczyńskiego – szefa Oddziału II, późniejszego generała

i jednego ze sprawców tragedii powstania warszawskiego. Propozycję współpracy ponowił w lutym 1938 r. czeski attaché wojskowy w Moskwie, ppłk Dastych. Sugerował on, że jeśli Polska stanie po stronie Czechosłowacji i zaproponuje układ sojuszniczy, generalicja czechosłowacka odsunie od władzy ekipę Beneša³. Propozycja ta była jednak dla ekipy sanacyjnej niepożądana i kłopotliwa, więc ją zignorowano. To samo stało

się z oficjalną propozycją czeską z czerwca 1938 r. dostaw surowców i sprzętu wojennego do Polski w zamian za zawarcie sojuszu wojskowego między oboma państwami.

Henryk Batowski ocenił takie działania strony polskiej następująco: „Błądność tej polityki wiązała się z całą ówczesną polityką obozu sanacji, jak i z określonymi cechami osobowości samego Becka, tj. jego arbitralnością, przekonaniem o własnej nieomyślności, a także – *last but not least* – silną emocjonalną

„Nieależną” Słowację proklamował jednak nie Beck, ale Hitler w marcu 1939 r. i z jej właśnie terytorium wyszło we wrześniu 1939 r. oskrzydlaające Polskę od południa uderzenie niemiecko-słowackie.

Z analizy wypowiedzi czołowych polityków sanacyjnych – nie tylko Becka – wynika, że nie wierzyli oni w trwałość państwa czechosłowackiego, czuli pogardę do Czechów jako narodu i uważali, że rozbiór Czechosłowacji byłby dla Polski sprawą pożądaną, korzystną politycznie.

państw. Każdy, kto podkopywał system wersalski w Europie Środkowej, przyczyniał się do likwidacji niepodległego państwa polskiego.

Niestety, prawda jest taka, że zanim 23 sierpnia 1939 r. Ribbentrop i Mołotow ostatecznie złożyli do grobu system wersalski, niszę grobową wykopał mu m.in. minister Józef Beck we wrześniu i październiku 1938 r. Postępowanie ekipy sanacyjnej w dobie Monachium sprawiło, że na salonach politycznych ówczesnej Europy podejrzewano nawet Polskę o jakąś tajemniczą zмовę z Niemcami. Wytrawnym politykom wydawało się bowiem dziwne, że ambitny minister dyplomacji nie rozumie dających się przewidzieć konsekwencji swoich działań.

Bohdan Piętko

Mentalność ekipy sanacyjnej, owładniętej obsesją antyczeską i lekceważącej zagrożenie niemieckie, doprowadziła do udziału II RP w rozbiórce Czechosłowacji.

niechęcią do Czechów w ogóle i do Beneša w szczególności. Te wszystkie cechy, a zwłaszcza wszelkie emocjonalne uprzedzenia, są całkowicie niedopuszczalnymi motywami we wszystkich działaniach publicznych, tym bardziej wtedy, gdy chodzi o losy własnego kraju i narodu (...). Beck dążył do całkowitego rozbitcia Czechosłowacji. Zamiast niej widział przede wszystkim wspólną granicę polsko-węgierską w Karpatach wschodnich (...) oraz niezależną bądź autonomiczną Słowację, związaną bądź z Polską, bądź z zaprzyjaźnionymi z Polską Węgrami, w każdym razie rozszerzającą – jak rozumowano wtedy w Warszawie – bezpieczeństwo Polski od południa na cały łańcuch Karpat⁴.

Takie wypowiedzi były formułowane jeszcze długo przed kryzysem sudeckim. Bez względu na uwarunkowania geopolityczne Polski i Czechosłowacji w roku 1938 – na co powołują się obrońcy polityki Becka – los Czechosłowacji w myśleniu ekipy sanacyjnej był przesądzony na długo przedtem. Polityka polska wobec południowego sąsiada w 1938 r. nie była zdeterminowana kwestią Zaolzia i mieszkającej tam ludności polskiej, lecz stanowiła realizację znacznie wcześniejszych planów ekipy sanacyjnej rozbitcia Czechosłowacji. Trudno doprawdy pojąć to zaślepienie, ponieważ Czechosłowacja była obok Polski zwornikiem ładu wersalskiego w Europie, który przyniósł prawo-międzynarodowe uznanie obu

¹ H. Batowski, *Miedzy dwiema wojnami 1919-1939. Zarys historii dyplomatycznej*, Kraków 2001, s. 323.

² J. Engelgard, *Sojusz z Czechosłowacją – niewykorzystana szansa*, w: *Pilsudski i sanacja – błędy i zbrodnie. Konferencja historyczna*, Warszawa, 15 września 2018, s. 48.

³ Tamże, s. 52-54. Por. H. Buthak, *Z dziejów stosunków wojskowych polsko-czechosłowackich w latach 1927-1936*, „Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, t. XI, Warszawa 1975, s. 98-150; tenże, *Czechosłowackie próby wznowienia rozmów na temat sojuszu wojskowego z Polską (1937-1938)*, „Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, t. XII, Warszawa 1976, s. 203-210; M. Jarecki, *Dylematy i rozdroża czechosłowackiej polityki zagranicznej*, „Sbornik prac Pedagogické fakulty Masarykovy univerzity, řada společenských věd”, Brno 2017, s. 33-40.

⁴ H. Batowski, *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie*, Poznań 1985, s. 434-444.

GENERAŁ STANISŁAW MACZEK I JEGO ŻOŁNIERZE



Gośćmi honorowymi wystawy byli syn i wnuczka gen. Maczka – prof. Andrzej Maczek i Karolina Maczek-Skillen.

Stanisław Maczek zawsze stawiał na nowoczesność dowodzonych przez siebie jednostek: 10. Brygady Kawalerii, 10. Brygady Kawalerii Pancernej i 1. Dywizji Pancernej. Taką też nowoczesną, pełną multimediów formę ma wystawa „General Stanisław Maczek i jego żołnierze”, przygotowana przez Muzeum Historii Polski. To pierwsza tak kompleksowa prezentacja poświęcona legendarnemu dowódcy, który nie przegrał żadnej bitwy, walcząc w 1939 r. w obronie Polski, w czerwcu 1940 r. w obronie Francji i wreszcie w latach 1944-1945 wyzwalając Francję, Belgię i Holandię spod niemieckiej okupacji.

Ponieważ z Warszawy wystawa pojedzie do holenderskiej Bredy, zwolonej przez 1. Dywizję Pancerną, wszystkie opisy przygotowano w językach polskim, niderlandzkim, a także angielskim, dzięki czemu historię generała i jego żołnierzy mogą poznać również zagraniczni turyści odwiedzający stolicę.

Wystawa jest czynna do 28 września, 24 godziny na dobę, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w pobliżu placu Zamkowego. J/W

Bardziej autor niż pisarz

Nawet jeśli się pisze piosenki albo książki nie o sobie, tylko o kimś innym, to człowiek się rozbiera



PAWEŁ SOŁTYS
– PABLOPAVO
– muzyk, wokalista, pisarz

Rozmawia Jan Bińczycki

Jedno z opowiadań z twojego najnowszego tomu „Nieradość” nosi tytuł „Co się robi, gdy się zostało pisarzem”? No właśnie, jak to jest?

– Pisarz to bardzo duże słowo. Można się w nim zgubić jak w ogromnej hali. Nadal w nim się nie mieszczę. Napisałem to nieco ironicznie, bo do prawdziwych pisarzy mam stosunek nabożny i nie potrafię postawić siebie w jednym rzędzie z nimi. Słyszysz pisarz, myślę Izaak Babel, Zygmunt Haupt, Danilo Kiš. W normalnych rozmowach używam zamienników, takich jak autor.

To opowiadanie wzięło się stąd, że ostatnio sporo jeździłem po festiwalach literackich. Traktowano mnie tam jak takiego prawdziwego, już dojrzałego pisarza. Chyba czas z tym się oswoić. Pocieszam się, że jeśli nie stoję w szeregu wybitnych pisarzy, to może choć wśród tych średnich.

A co się robi, gdy się jest muzykiem?

– Jest trochę podobieństw do losu pisarza. W jednym i drugim przypadku trzeba się „rozbierać”, pozbywać wstydu. Nawet jeśli się pisze piosenki albo książki nie o sobie, tylko o kimś innym, to człowiek się rozbiera. A ponadto trzeba z siebie pozdejmować różne warstwy doświadczeń i kultury, żeby dotrzeć do tego, z czego można zrobić piosenkę lub opowiadanie. Natomiast różnica pojawia się w momencie, kiedy do tekstu, nad którym pracuje się samotnie, trzeba zrobić muzykę. Jestem muzykiem zespołowym i pracuję nad nią w grupie.

Chyba różne są też oczekiwania publiczności. Na spotkaniu autorskim w małomiasteczkowej bibliotece ludzie pewnie oczekują, że przyjedzie dystyngowany „pan pisarz”

w fularze, natomiast ci, którzy stoją pod sceną, chcą ekscesów.

– Wszyscy żyjemy wśród stereotypów. Być może trochę im się wymykam, ale nie dlatego, że jestem taki fantastyczny, po prostu idę gdzieś obok. Nie jestem tak rockandrollowy, jak chciałaby część publiczności, ani tak pisarski, jak być może chcieliby inni. Jestem człowiekiem z pogranicza tych światów. Staram się z tego uczynić oręż. Nie muszę być częścią jakichś establishmentów, mainstreamów. Wśród pisarzy i pisarzy mogą być muzykiem, a między gwiazdami muzyki na jakimś festiwalu uchodzić za pisarza. To wygodna pozycja.

Za to masz roboty za dwóch.

W ostatnich miesiącach odbyłeś dużą trasę koncertową, zagrałeś

Paweł Sołtys – ur. w 1978 r., jeden z najpopularniejszych i najbardziej oryginalnych polskich tekściarzy. Laureat Paszportu „Polityki”. Nagrał 13 płyt, solo i wspólnie z zespołami Vavamuffin, Ludziki i Praczas. 18 września ukaże się jego druga książka „Nieradość”.

na kilku festiwalach i jeszcze wydać książkę.

– Pracuję dużo, ale nie muszę chodzić do biura. Byłem zdziwiony, kiedy nagle się okazało, że jestem *quasi*-zawodowcem i utrzymuję się z muzyki. Odbyłem długą rozmowę z samym sobą. Widząc, ilu koleżankom i kolegom, często bardziej utalentowanym, los poskąpił możliwości życia z pasji, obiecałem sobie, że nie będę się lenił. Skoro są ludzie zainteresowani moją działalnością, to mówiąc językiem judeochrześcijańskim, byłoby grzechem odpuścić. W światku literackim lub muzycznym wiele zależy od przypadku, od tego, że książka lub płyta wyszła w odpowiednim momencie.

Opowiadania z tomu „Nieradość” różnią się od debiutanckich „Mikrotyków”.

– Trudno oceniać własną książkę. Tym bardziej że niedawno ją skończyłem. Nie chciałem napisać drugiej części „Mikrotyków”. Nużyłoby mnie to i czułbym, że poszedłem na łatwiznę. A lubię sprawdzać, co jeszcze mogę zrobić, ryzykować. W muzyce też. Dziś wystąpimy jako Pablopavo i Ludziki z Naprawdę Dużym Zespołem. Podejrzewam, że oczekiwano od nas zestawu przebojów w nowych aranżacjach. Zrobiliśmy zupełnie nowy materiał. Nie ma sensu przerabiać starych piosenek, choć z merkantylnego punktu widzenia tak byłoby łatwiej.

Tak samo mam z opowiadaniem. Chciałem się zająć nowymi bohaterami. W „Nieradości” są nowe zamysły. Ciekawe, czy będą czytelne. Mam wrażenie, że słuchacze przyzwyczaili się do zmian. Zobaczymy, jak będzie z czytelnikami.

Wkroczyłeś na poziom metaliteracki. Jest opowiadanie – monolog bohatera, surrealistyczna anegdota o ramionach tak szerokich, że obejmują całą ulicę. Twoi bohaterowie „wychodzą z książki”, są nadświadomi.

– Rzeczywiście, w nowej książce trochę więcej jest ucieczek od linearnej opowieści. Jednym z pierwszych czytelników był mój przyjaciel Marceli Szpak, tłumacz i redaktor. Powiedział, że w tych opowiadaniach jest mniej natury, a więcej kultury niż w debiucie. Lubie być blisko życia, ale tym razem starałem się sięgać dalej, jak ten facet z opowiadania.

Mam wrażenie, że te nowe teksty odsyłają w nieco inne rejony kultury. A najbardziej bym chciał, żeby ta książka pozwalała na lekturę na dwóch poziomach. Żeby można było śledzić fabuły, ale też szukać w innych rejestrach. Taki miałem zamysł. Czytelnicy oceniają, czy mi się udało.

Często twoje opowieści zaczynają się od detalu, przedmiotu lub adresu.

– To dla mnie zaczyna, taki jak do chleba. Opowiadania i piosenki zaczynam od jednej linijki albo zdania.

Jeśli nie stoję w szeregu wybitnych pisarzy, to może choć wśród tych średnich.

Taki mam sposób patrzenia. Są ludzie, którzy potrafią jednym rzutem oka objąć całą szerokość ulicy, budynki, przechodniów i barwy. Mnie kusi kawałek ciekawie odrapanej cegły gdzieś przy ziemi. Tak działa pamięć, co mnie zawsze ciekawiło.

Widzisz przedmiot. Na przykład okładkę książki, którą czytałeś w domu dziadków 30 lat temu. I nagle jesteś u znajomych, widzisz ją na półce i przypominają się wakacje w 1984 r., otwiera się jakaś historia albo cały ich wachlarz.

Mam wrażenie, że detale budują poczucie realizmu albo wręcz prawdziwości w odbiorze czytelniczym lub słuchacza. Jeśli w tekście pojawia się konkretna ulica, skrzyżowanie lub dom, to znaczy, że historia mogła się wydarzyć. Dotąd trzymałem się detali warszawskich i trochę się bałem, że będą nieczytelne. Czytelnicy przekonali mnie, że to nie ma znaczenia, że podobne detale są w Katowicach, Krakowie, Bytomiu i Olsztynie. Zachęcenie w rzeczywistości pomaga tekstom.

W opowiadaniach często oddajesz głos ludziom starym, obarczonym trudnymi doświadczeniami.

– Nieprzypadkowo wybrałem tytuł „Nieradość”. To książka o starości. Niekoniecznie z powodu metryk bohaterów i bohaterów. Chciałem zająć się samotnością, czasem zdziwaczem. Wcześniej pisałem o ludziach niezamożnych. Mam wrażenie, że są słabo reprezentowani w naszej kulturze, a jeśli już, to bardzo stereotypowo. Tym razem zająłem się bo-

haterkami i bohaterami, którzy znaleźli się poza głównym nurtem życia, niekoniecznie z powodu zasobności, ale dlatego, że nasz świat przykrojo no dla 20-, 30-, góra 40-latków. Starszym ma mało do zaproponowania. Nie okazuje się im zainteresowania, więc postanowiłem, że ja to zrobię.

Mam wrażenie, że jest wręcz przeciwnie i mamy gerontokrację. Popatrz na polityków i gwiazdy rocka.

– Być może. Ale ja się nie zajmuję gwiazdami rocka i politykami. Owszem, kapitalizm lekceważy młodych. W dzisiejszej Polsce brakuje im możliwości rozwoju. Ale „Nieradość” nie jest książką polityczną.

Wracając do wątku, interesuje mnie to, ile można mieć lat. Kiedy się opowiada, to dużo, choćby 150. Sięgam po historię, którą mojemu dziadkowi opowiedział jego ojciec. To sprawy z 1880 r. A wtedy opowiadano z detalami, więc mogę to ze szczegółami przekazać dalej. Zawsze mnie interesowało, jak ludzie „wgrywali” sobie pamięć do głów. Są też pytania o granice opowieści. One istnieją i trudno za nie wychynąć. Narratorzy moich opowiadań próbują to zrobić. Czasem im się udaje, ale częściej nie i płacą za to jakąś cenę.

W światku literackim lub muzycznym wiele zależy od przypadku, od tego, że książka lub płyta wyszła w odpowiednim momencie.

A jak rodowity warszawiak, mocno zżyty z lokalnymi realiami, odnajduje się w innych regionach? Na przykład w Małopolsce? Odniosłem wrażenie, że zrobiłeś solidną historyczną kwerendę, choć nie znalazłem tam miejscowości Niedynek. Wraz ze zmianą miejsca akcji pojawia się podróż w czasie tuż po wojnie.

– Bo takiego miasta nie ma, lub istnieje jak wiele innych małopolskich miasteczek. Mam wrażenie, że czasy tużpowojenne do niedawna umykały naszej uwadze. Skurczyły się do rozmiarów memów. Najpierw stalinizm, potem Gomułka. A to przecież lata ogromnej zmiany społecznej po straszliwej wojnie. Zwłaszcza na prowincji, gdzie po reformie rolnej

► w 1947 r. dotychczasowe stosunki wyrzuciły się do góry nogami. Gdy byłem mały, wojna wydawała mi się bardzo odległa. Niedawno uświadomiłem sobie, że żyję dłużej niż suma lat od zakończenia wojny do moich urodzin. Z perspektywy dziecka to odległa epoka, ale w pamięci dorosłych była nadal żywa. Zresztą w opowiadaniach jest podobnie. Nie ma wojny, ale jej echa ciągle rezonują wśród ludzi.

Jak było przed wojną, kto jak się zachował w jej trakcie...

– I kto był w jakiej partyzantce, bo było ich parę, kto przechowywał Żydów, a kto ich denuncjował. Spora część moich narratorów i bohaterów fascynuje się historią. Nie tylko tą, o którą otarli się za życia. Potrafią przepłynąć w myślach dwa tysiąclecia i wynurzyć się gdzieś w epoce rzymskiej.

Dużo inspiracji wzięłem z rozmów z tatą, rocznik 1947. On wprawdzie pochodzi z mazowieckiej wsi, ale mieszkał też w małym miasteczku. Sprawdziłem wiele detali, czasem

takich drobiazgów, o których na co dzień się nie myśli. Bałem się, że Paweł Dunin-Wąsowicz (dziennikarz, krytyk, wydawca i tropiciel literackich nieścisłości – przyp. JB) przyłapie mnie na jakimś anachronizmie typu zbyt wczesna obecność jarzeniówek w klasach szkolnych. Albo gdzie w latach 60. wyrabiano paszport,

Nasz świat przykrojono dla 20-, 30-, góra 40-latków. Starszym ma mało do zaproponowania.

kiedy było o niego trudno. W przypadku Warszawy odpowiedź jest dość prosta, ale gdzie składał wniosek obywatel małego miasteczka? Niekiedy posiłkowałem się też Facebookiem. Mam sporo różnych znajomych, którzy potrafią odpowiedzieć na najdziwniejsze nawet pytania.

Czasami korzystasz z Facebooka także do dokumentowania tras koncertowych. Niedawno raportowałeś,

że w czasie Pol'and'Rock Festivalu pogowano do utworu „W przytułku”.

– Nie sądziłem, że do wiersza Wisławy Szymborskiej można pogować. Okazuje się, że można, więc zaskoczenie było pozytywne. To był rekordowy weekend. W piątek Pol'and'Rock, w sobotę OFF Festival, w niedzielę Męskie Granie. Każdy z tych festiwali to zupełnie inny świat. Mieliśmy w związku z tym trochę obaw. Bo kiedy występowałem na Pol'and'Rock Festivalu z Vavamuffin, grupą, która zaangażowała teksty przemysła w konwencji tanecznej muzyki jamajskiej, to co innego. Tymczasem publiczność już od samego początku bawiła się i śpiewała razem z nami. Wzruszyło mnie to. Może to trochę narcystyczne, ale wielką radość sprawia mi, kiedy widzę, jak ludzie reagują na to, co robię. Pisarz nie wejdzie do głowy swojego czytelnika, a reżyser może najwyżej pójść do kina *incognito*. Pod tym względem muzyk ma lepiej niż pisarz, malarz i poeta.

Jan Bińczyski



**do usłyszenia
w nowym sezonie!**

Andrzej Boreyko
Dyrektor Artystyczny

2019 / 2020

**Filharmonia
Narodowa**



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Upokorzenie

Widz (kinowy i serialowy), ale też czytelnik woli bohatera wzorowanego na Syzyfie niż na Hiobie. Odbiorca chętnie obserwuje zmagania postaci z przeciwnościami losu, upadki i niepowodzenia, które bohater przezwycięża. Upór i determinację w dążeniu do celu – po drodze zaś rozwiązywanie zadań – z różnym skutkiem, jak w życiu. Szybciej utożsamiamy się z bohaterem, który pogrąża się w kryzysie, ulega wypadkom, ale ostatecznie coś wygrywa. Sukces także chętniej wybaczymy tym, którzy opłacili go wcześniej upokorzeniem – jak to się mówi, sięgnęli dna, niczym Kopciuszek. Za to ktoś, komu fortuna sprzyja z czystej sympatii, budzi nasz niepokój. Spadkobierca musi być potencjalnie zepsuty, bogacz – leniwy, o ile nie jest złodziejem. Ostatecznie nie lubimy bezwzględного szczęściarza głównie dlatego, że nijak nas nie przypomina, to wystarczy.

Z Hiobem rzecz ma się nieco inaczej – ten przypomina nas aż za bardzo. Nie chcemy oglądać jego seryjnych porażek, nie podoba nam się taki wzór. Ponury obraz wolimy trzymać z daleka od siebie. Hiob wydaje się dekadentckim studium pesymizmu, egzystencjalną wtopą, *memento mori*, które odbiera witalność i chęć, żeby jeszcze zawalczyć.

Wszystko to stare filmowe, dramaturgiczne i literackie triki. Jak się mają teraz, kiedy upokarzamy się nawzajem tak chętnie na portalach społecznościowych i w ogóle masowo – w internecie? Otóż wygląda na to, że w ogóle nam się nie znudziło. Odwrotnie – dowcip nam się wyostriżył, asertywność zwiększyła, a fantazja sięgnęła znacznie dalej niż do dark roomów w klubach sado-maso. Teraz niemal każdy użytkownik może się stać strażnikiem z doświadczenia Zimbarda (nawet jeśli słynne badanie było tylko metaforą). Wystarczy dać mu do ręki narzędzie (anonimowy *nick* z możliwością wypowiedzi) i impuls. A potem już spektakl sam się zaostriża. Powiedzą Państwo: nic nowego na planecie. Taki chociażby Szekspir, który najlepiej znał się na rzeczy i jak mało kto przejrzał ludzką naturę, a także potrafił trzymać widzów (i czytelników) w napięciu – pokazał w „Makbecie”, co myśli o naszych namiętnościach i rządach. Najlepiej wiedział, jak wywołać w odbiorcy pełną skupienia satysfakcję: poniżenie musi być publiczne i powinno spotkać kogoś, kto wcześniej okazywał dumę.

Wiedzą to również najlepsi współcześni scenarzyści, którzy upokarzają dla nas najsilniejszych bohaterów,

najmocniejszych przywódców, najdumniejsze królowe. W szekspirowskiej z ducha „Grze o tron” była to ich (i nasza) ulubiona rozrywka i serwowano ją ostentacyjnie, podobnie jak przemoc czy wysoką śmiertelność na metr kwadratowy planu filmowego. W sensacyjnym (na styku prokuratury i świata biznesu) *political fiction* „Billions”, gdzie główny bohater osiągał satysfakcję seksualną jako uległy – tzw. sub albo piesek – gra z upokorzeniem była wpisana w konwencję. Po prostu cały serial został rozpięty między tymi dwoma wektorami: upokarzania i bycia upokorzonym. Życiowa zgęstka rzadko bywa aż tak spektakularna – grany przez Paula Giamattiego filmowy Chuck Rhoades po każdej wygranej zalicza barwny kolaps. Publiczność patrzy na bohatera nagiego, w błocie, z kneblem w ustach, i nie bardzo wiadomo, czy mu współczuje (ty i ja znów sobie poradzimy, *don't give up the fight*, jak śpiewał Bob Marley), czy raczej już się cieszy (dobrze mu tam na dnie, pewnie już go wp... węgorze).

Platforma HBO odpaliła właśnie kolejny sezon innego serialu o władzy, pieniądzu i wpływach: realizatorzy „Sukcesji” pomysłowe formy upokorzenia doprowadzili do perfekcji. A ojcem dyrektorem szalenięcej rodziny (film jest rodzajem przewrotnej sagi) uczynili tyrana, furiata i manipulantą, który rozgrywa i upokarza dosłownie wszystkich, zwłaszcza własne dzieci. Scenarzyści najpierw prowa-

dzą bohaterów blisko nas, budują ich intymność, obdarzają uwagą i czułością, żeby w stosownym momen-

cie odebrać im nie tylko pieniądze, władzę i rodzinę, ale także wolność, godność, a w końcu nawet jakikolwiek wpływ na własne życie. Scena, kiedy ojciec potwór podczas przyjęcia szuka zdrajcy i spontanicznie wymyśla okrutną grę o znanych tylko sobie zasadach, wygrałaby na pewno ranking najmocniejszych filmowych upokorzeń. Wskazani przez niego pracownicy (niektórzy to członkowie rodziny) muszą wyrywać sobie kielbaskę, klękać, chrumkać jak świnię. I robią to, ponieważ tyran to również łaskawca, jest królem, dzieli i rządzi jak król. Bo rację miał angielski myśliciel John Acton: „Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie”. Świetnie to wiedzą niektórzy politycy w Polsce. Ci, którzy upokarzają, i ci, którzy wolą zostać w szeregach partii i wykonywać rozkazy, nawet jeśli mieliby czasem zamienić słowa na rytualne chrum, chrum.

**John Acton: „Władza deprawuje,
a władza absolutna deprawuje absolutnie”.**

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

ACH, TE HARLEQUINY

Spektakl „Manat. Romans podwodny” Klaudii Hartung-Wójciak to, jak objaśnia autorka, „harlequin o Harlequinie, czyli transformacyjny romans performatywny dystrybutorów, pracowników, czytelników, czytelniczek i innych osób związanych z przemysłem harlequinowym lat 90.”, a więc powrót do czasów neokapitalizmu.

Sam pomysł, aby spojrzeć na lata przemiany ustrojowej w Polsce przez pryzmat kiczowatego romansu aplikowanego sfrustrowanym ofiarom transformacji, wart jest uwagi. Romans ów proponuje autorka w 70. rocznicę ukazania się w Kanadzie pierwszej pozycji z tej serii książkowej o niebywałej sile rażenia, „The Manatee”, i niemal 30 lat po debiucie serii na polskim rynku (1991).

Zastępując reporterską narrację wyostrozonymi sytuacjami, performance prowadzi nas przez ostępy fikcyjnych Bieszczadów do czeluści

pewnej przerębli, w której rozkwita uczucie wiążące manata afrykańskiego i czytelniczkę harlequinów z rodziny dotkniętej klęskami okresu transformacji ustrojowej. Oboje są więc po klęsce – on po klimatycznej, ona po transformacyjnej. W spektaklu



mnóstwo jest pełnych humoru pomysłów, które nie przesłaniają istoty działania „fabryki marzeń”, oferującej czytelnikom osłonę psychiczną w trudnych czasach.

Najwyraźniej w spektaklu daje się odczuć pewną fascynację reżyserki sukcesem wydawnictwa (przez pierwsze trzy lata istnienia na pol-

skim rynku sprzedano 41 mln egzemplarzy!), której nawet nie towarzyszy zdumienie, że literatura tak licha artystycznie podbijała rzesze czytelników. Pytanie, jaki wpływ na te rzesze wywarły (wywierają) harlequiny, zawisło w powietrzu, bo to raczej zadanie dla socjologów, a nie artystów.

Zasługą autorki pozostaje więc nie tyle ocena tej harlequinowej ingerencji w tkankę społeczną, ile wskazanie, że taki wpływ w momencie przemiany ustrojowej zaistniał. Wykorzystanie w spektaklu poetyki harlequinów, ich szczególnego języka, przyniosło efekty wyśmienite – przed naszymi oczyma pojawił się plastikowy, zmyślony świat (mający przesłonić ten rzeczywisty), bezbłędnie odtwarzany przez aktorów z pokolenia, które tego czasu nie pamięta.

Tomasz Miłkowski

„Manat. Romans podwodny”, tekst i reżyseria Klaudia Hartung-Wójciak, spektakl zrealizowany w ramach projektu rezydencji artystycznych w Komunie Warszawa, pokaz 2 września 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

Victoria Helen Stone

DZIEWCZYNA ZWANA JANE DOE

tłum. Emilia Skowrońska

Czwarta Strona, Poznań 2019

Jane Doe, czyli pani ktokolwiek, N.N., przyznaje, że jest socjopatką. Rodzina też nie dawała jej odpowiednich wzorców, więc powinna była wyrosnąć na potwora. Autorka wyposaża ją jednak w swoistą moralność, wybiórczą, ale zawsze. W sumie Jane okazuje się znacznie przyzwoitsza niż wielu ludzi żyjących w błogim przekonaniu, że są dobrzy, a doszukujących się winy i grzechu u innych, zwłaszcza u kobiet. To historia o złych facetach, którzy zasługują na nauczkę, bo traktują kobiety według najgłupszych, podbudowanych religią stereotypów, z których Jane z lubością się naigrawa. Ci manipulatorzy albo świętoszki potrafią nieźle się kryć – tak by zapewnić sobie dostęp do seksu i w jak najprostszym sposób nadać swoje *ego*. Że również oni mogą pochodzić z toksycznych rodzin? Victoria Helen Stone (jako Victoria Dahl pisująca romanse, co trochę daje się odczuć) stara się wykazać, że to, kim jesteśmy i jak traktujemy ludzi, głównie zależy od nas samych.



Aleksandra Pańko

BYLIŚMY

NOWY DYREKTOR

Bardzo dobrze zaznaczył swoją obecność w Warszawie nowy dyrektor artystyczny Filharmonii Narodowej Andrzej Boreyko. Podczas koncertu kończącego 15. Festiwal Chopin i jego Europa wykonał z orkiestrą i niezwykle solistką Aleną Baewą trzy utwory, z których każdy świadczył o muzycznym mistrzostwie – kompozytora, dyrygenta, skrzypaczki i całego zespołu. Wariacje symfoniczne Witolda Lutosławskiego, choć powstały jeszcze przed wojną, do dziś nie straciły świeżości i dynamizmu. Koncert skrzypcowy Mieczysława Wajnbęrga wywołał entuzjazm dla wirtuozostwa solistki. Wreszcie największy hit – V symfonia Ludwiga van Beethovena ze słynnym „stukaniem losu” – sprawił, że rozentanglowana publiczność długo nie chciała się rozstać z artystami. To znakomita zapowiedź nadchodzącego sezonu koncertowego, który dostarczy melomanom wielu wrażeń, a będą też transmisje internetowe, więc każdy będzie mógł je podziwiać.

Bronisław Tumitowicz



NA EKRANACH

BÓL I BLASK

reż. Pedro Almodóvar, prod. Hiszpania, już w kinach

Pedro Almodóvar na starość albo pokorniej, albo tchórz. Znany z rozpasanej wyobraźni i skłonności do kiczu reżyser tym razem rezygnuje z hiperboli, feerii kolorów i krzyku jako najślusniejszego środka ekspresji aktorskiej. Dziwne o tyle, że w „Bólu i blasku” mierzy się z własnym życiorysem. Film jednak opowiedziany jest grzecznie i po bożemu, jakby Almodóvar patrzył na siebie oczami kogoś innego, kto chce mu wyciąć numer i wybija na pierwszy plan zamiast spektakularnych



sukcesów porażki, potknięcia, utraconą miłość i reumatyzm. Na ekranie w jego *alter ego* – Salvadora Malla, reżysera geja zabijającego ból egzystencji, krzyża i kolana heroiną – wciela się sam Antonio Banderas, którego Almodóvar pod koniec lat 80. wypromował. Aktor zrzuca kokon macho i tworzy najlepszą od lat kreację, nagrodzoną w Cannes. Kiedy oglądamy, jak męczą go zwykłe, codzienne czynności, ze

wstaniem z fotela na czele, staje się jasne, dlaczego Almodóvar coraz chętniej patrzy w przeszłość niż w przyszłość.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

Sebastian Krok
MENTALNE PEARL HARBOUR

„Mentalne Pearl Harbour wydarza się w naszym kraju. Jesteśmy szybcy i wściekli – bo chcielibyśmy być jeszcze szybsi. Jesteśmy zmotoryzowani. W amerykańskim śnie samochód był symbolem wolności. W Polsce wolimy jednak samochody niemieckiej produkcji – i nie śpimy. Kto ma samochód, ten może udać się, dokąd zapagnie, tyle że nigdzie się nie wybieramy. Nasz sen się spełnił i nie ma właściwie dokąd jechać; wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”, napisał Stach Szabłowski, kurator wystawy. Sebastian Krok (rocznik 1985) jest laureatem Grand Prix 43. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2017.

GALERIA BIELSKA BWA, DO 6 PAŹDZIERNIKA

**PROTOTYPY 03.**
Carolina Caycedo i Zofia Rydet
Raport troski

Wystawa to trzecia część cyklicznego projektu „Prototypy”, w ramach którego artyści pracują z kolekcją Muzeum Sztuki w Łodzi. Carolina Caycedo zaprezentuje swoje prace w kontekście zdjęć Zofii Rydet, zainspirowana cyklem „Zapis socjologiczny” (1978-1990), w którym fotografka doku-

mentuje tradycyjne sposoby życia, znikające podczas modernizacji kraju. W obrazach tych Carolina widzi podobieństwo do rodzimej Kolumbii i miejsc, które są poświęcane w imię rozwoju.

ŁÓDŹ, MS', DO 12 STYCZNIA

WYDARZENIE

TRŁ PRINT!

Prawie setka znakomitych polskich plakacistów i ilustratorów z całej Polski, tysiące grafik, serigrafii i sitodruków, wydawnictwa i wszystko, co związane z papierem, a także wystawa plakatów „Polska Ryszarda Kai” – to pierwsza edycja TRŁ PRINT! plakat / ilustracja / druk, nowego wydarzenia organizowanego przez Targi Rzeczy Ładnych. Swoje stoiska będą mieli m.in. Dawid Ryski, znany z plakatów koncertowych i ilustracji dla dzieci, Bartosz Kosowski – jeden z najlepszych twórców plakatów filmowych czy Katarzyna Bogucka – autorka murali. Równolegle w weekend 14-15 września w tym samym miejscu odbędzie się TRŁ FRESH! – nowy polski design, podczas którego zaprezentuje się ponad 150 marek i projektantów z kategorii meble, ceramika, *vintage*, lampy, *wellness*, rośliny, akcesoria i dzieci.

WARSZAWA, CENTRUM KONESER, 14-15 WRZEŚNIA



SERIAL

**KRONIKI TIMES SQUARE**

Serial George'a Pelecanosa i Davida Simona powraca z trzecim, finałowym sezonem. To kronika ostatnich dni Times Square jako serca amerykańskiego biznesu porno. Akcja rozpoczyna się w przededniu 1985 r., 42. ulica zamienia się w miejsce brutalnych przestępstw, panoszy się epidemia AIDS, miasto przejmuje nieruchomości, w których funkcjonowała branża erotyczna. To koniec pewnej epoki. Zmiany stają się nieuniknione. Śledząc losy barmanów, bywalców i pracujących na Times Square, będziemy świadkami dramatycznych rozstrzygnięć.

HBO I HBO GO, PREMIERA 10 WRZEŚNIA, GODZ. 21.00

Piosenki Gawędy śpiewa czwarte pokolenie

Gawęda istnieje, choć nie ma siedziby,
a pamiątki, rekwizyty i kostiumy leżą
w piwnicy

Ewa Smolińska-Borecka

Ostatnia sierpniowa niedziela. Upał. Na plaży setki ludzi, w wodzie dziesiątki. Na brzegu podwarszawskiego zalewu grupa dzieci. Trochę egzotyczna – od drobnej blondyneczki do wyrośniętych dziewczyn, a z nimi rudy pies na smyczy. Obserwuję gromadę i w głowie pojawia się piosenka: „A ja mam psa, a ja mam psa, przyniosłam go z podwórza, a ja mam psa, małego psa, dla niego jestem duża”. Skąd ja ją znam? Kobieta o kasztanowych włosach trzyma drugi koniec smyczy. Uśmiecha się. – Czy pani się orientuje, skąd są te dzieci? – pytam. – Z Gawędy, to nasze nowe dzieci – odpowiada. – To Gawęda jeszcze istnieje – jestem zdziwiona?

Gawęda. Legenda. Tradycja. Perfekcjonizm. Praca. Zabawa. Występy. Wyjazdy. Sława... Zespół działa 67 lat. W najlepszym okresie miał pod opieką 600 członków. Przez 65 lat był prowadzony przez Andrzeja Kieruzalskiego, aż do jego śmierci. Barbara Wąsik, kobieta o kasztanowych włosach, jest zaskoczona, kiedy mówię o reportażu. – A gdzie były media, kiedy Gawędę wyrzucano z Pałacu Młodzieży? – pyta. Bo ma żal, że 12 lat temu nikt nie pomógł twórcy zespołu. Ale potem przychodzi refleksja. – Może nasze spotkanie to nie przypadek? Może przyprowadził panią Andrzej Kieruzalski? – zastanawia się. Może.

Od teatrzyku okupacyjnego

Gawęda powstała 13 października 1952 r. Andrzej Kieruzalski stworzył

ją w Domu Harcerza na warszawskim Targówku. Początkowo była teatrem lalek, a potem rozszerzała repertuar o piosenki i taniec. To pierwszy polski zespół dziecięcy, który miał choreografię do każdej piosenki. Sam Kieruzalski był osobą niezwykłą. Bo trzeba być kimś takim, aby w wieku 14 lat organizować w czasie okupacji przedstawienia lalkowe dla dzieci. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, Andrzej Kieruzalski brał w nim udział jako członek Szarych Szeregów. Było więc oczywiste, że po wojnie nie pozostanie bezczynny. Że będzie się starał prowadzić działalność służącą dzieciom, by mogły powiedzieć, że miały szczęśliwe dzieciństwo.

Gawęda wychowała ponad 16 tys. dzieci.

W 1955 r. Kieruzalski z Gawędą został zaproszony do otwierającego się w tym czasie Pałacu Młodzieży w gmachu PKiN, a od 1957 r. Gawęda to 170. Warszawska Drużyna Harcerska, która po pewnym czasie otrzymała tytuł Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego ZHP. Gawęda wychowała ponad 16 tys. dzieci, a swoimi piosenkami zaraziła cztery pokolenia. Ma na koncie liczne widowiska, płyty, koncerty w kraju i za granicą. Zespół był niemal we wszystkich stolicach w Europie, a także w USA, w Kanadzie, na Kubie, w Australii, na Tajwanie i w Japonii. Stał się ambasadorem Polski.



– Te dzieci naprawdę chcą tańczyć – podkreśla Weronika, absolwentka Uniwersytetu Muzycznego na kierunku choreografia i teoria tańca.

Nowych traktuje się ulgowo

Kogut ma kilkadziesiąt lat, może nawet około sześćdziesiątki. Był od zawsze na obozach Gawędy. Pieję przeraźliwie o godzinie siódmej, a jego głos roznosi się po hotelowym korytarzu. I za chwil kilka na korytarz wybiega z pokojów zaspana gromadka. 15 dziewczyn, trójka chłopaków. Ustawiają się według wzrostu. Mówią instruktorkom dzień dobry i przy piosence rozgrzewkowej, tak jak kogut niemłodej, biegiem ruszają na gimnastykę, na ławkę obok hotelu. Instruktorka Weronika na ramieniu ma głośnik, z którego płyną najnowsze przeboje.

Większość zamiast strojów do gimnastyki ma pidżamy. Szefowa Gawędy Barbara Wąsik, zwykle bardzo rygorystyczna, uznaje, że nowicjuszom można trochę odpuścić. W strojach gimnastycznych są jedynie najstarsze: 14-letnia Blanka i 13-letnia Zofia, wiadomo, już prawie kobiety. Ćwiczenia to nie udawanie, Weronika komenderuje i pilnuje, by nikt się nie objął.

Przed laty do Gawędy można było wstąpić od dziewiątego roku życia.



Teraz – jak mówi Barbara – dzieci szybciej się rozwijają i już pięciolatki są w stanie opanować proste choreografie. Dlatego wiek obniżono do pięciu lat. Najmłodsza na sierpniowych warsztatach Cheyenne-Blue ma właśnie tyle. Jej imię oznacza Niebieskie Dziecko Słońca, ale wszyscy mówią do niej po prostu Blue. Niebieska dziewczynka wcale nie jest debutantką – pierwszy kontakt z zespołem miała w wieku trzech lat. Troszkę po znajomości, bo jej mama jest wychowanką Gawędy.

Magia Gawędy: wymaga ciężkiej pracy, wprowadza rygory, a dzieciom to się bardzo podoba.

Blue jest już gotowa na śniadanie. Tuli gawędowego misia, którego dostaje się, kiedy przychodzi się do zespołu. Ale jest to miś mamy, w koszulce z logo z 1997 r. Swojego Blue oddała na tegoroczną aukcję WOŚP. Te misie są trochę dzieciinne, ale tu nikt, nawet Barbara, nie wstydzi się, że w duszy jest trochę dzieckiem. 12-latką Ola brunetka i 11-latką Ola blondynka mieszkają w jednym pokoju, bo są przyjaciółkami. Nawet ubierają się podobnie. Teraz ścielą łóżka i układają na nich swoje misie.

Obie, jak pozostałe dzieci, mają nadzieję, że wkrótce dostaną T-shirty z logo Gawędy, ich miśki też – to znak, że są członkami zespołu.

Michał – siedem lat i Dawid – dziesięć lat są braćmi. Mieszkają w pokoju z dziesięcioletnim Cyprianem. Są jak ogień i woda. Cyprian wydaje się stateczny i wyciszony, za to bracia są jak isierki: buzie im się nie zamykają, bez przerwy opowiadają niestworzone historie. Dziewczynki mają zasady surowsze niż chłopcy. Po pierwsze, na posiłki muszą zakładać spódniczki albo sukienki. Po drugie, każda musi rozczesać długie włosy i zawiązać je w koński ogon na wysokości ucha. A w tym ogonie muszą się znaleźć wszystkie włosy, gładko zaczesane, bez grzywki. Blanka ma dwa pasma z przodu puszczone luzem. Żle. Ola blondynka ma grzywkę. Żle. Ida wprawdzie ma ogonek, ale nieduży, z włosów rosnących na czubku głowy, bo te poniżej są mocno przystryżone. Może zanim odrosną, będzie sobie radzić tak jak przed laty Marietta, której babcia na egzamin do Gawędy przypięta treskę, uważając, że ma za krótki koński ogon.

To dopiero trzeci dzień pobytu w ośrodku Rewita Rynia nad Zalewem Zegrzyńskim, a jaka zmiana w dzieciach. Barbara mówi, że pierwszego dnia były jak huragan, próbowały się przekrzykiwać i ścigać na korytarzach. Przed wyjazdem dowiedziały się: jemy wszystko i na dodatek w ciszy. Ale to nie było proste do wyegzekwowania. Podczas posiłków, serwowanych w postaci szwedzkiego stołu, muszą nakładać tyle, ile zjedzą (zawsze można wrócić

po dokładkę). Teraz to już inne dzieci – na posiłek idą razem, spokojnie; mijając recepcję, mówią dzień dobry i uśmiechają się. Kiedy dziewczęta z kimś się witają, dygają jak za dawnych czasów, chłopcy kłaniają się w pas. Cała osiemnastka spokojnie nakłada sobie śniadanie. Nikt nie zaczyna jeść, dopóki najstarsza osoba nie powie smacznego – to też gawędowy rytuał. Dziś to przywilej Barbary.

Szykuje się dzień wypełniony pracą. Na początek trening układów

choreograficznych z Weroniką na tarasie. Dziewczynki zmieniają spódnice na legginsy. Dziś układ do piosenki „Gramy w kolory”: „Czarne przegrywa! Kolor wygrywa! W kolory grajmy dziś!”. Słowa napisała Wanda Chotomska, która stworzyła dla Gawędy ponad sto tekstów. Barbara uważa, że są mądre i aktualne, bo mówią o zjawiskach, rzeczach i wartościach ponadczasowych.

– Pająk, motylek, syrenka – padają z ust Weroniki nazwy figur, a dzieci do współczesnej muzyki wykonują układy, które zdążyły poznać poprzedniego dnia. Ida wstydzi się występować publicznie. Denerwuje się też, że popełnia błędy w choreografii. Dlatego podchodzi do fotoreportera i prosi, by nie było jej na zdjęciach. Pozostałe dzieci nie przejmują się pomyłkami. Nie spodziewały się, że zanim zaczną karierę w Gawędzie, już przeżyją pierwszy kontakt z prasą. I widać, że bardzo je to cieszy.

Mama z ręką na pulsie

Jak trafiły do Gawędy? Zwykle pomysłu podsuwała mama. Ale niemałe znaczenie miało pierwsze zetknięcie z gawędowymi dziećmi i z instruktorami w czasie 13. już Warszawskich Dni Rodzinnych w kwietniu tego roku. Tak było w przypadku Hermiony. – W internecie była informacja, że są Warszawskie Dni Rodzinne i że będzie Gawęda, więc poszłam tam z mamą – mówi siedmiolatka. – Była z nami też Zosia, moja koleżanka z zerówki, ze swoją mamą. Na tym spotkaniu z zespołem najpierw robiliśmy bransoletki z napisem Gawęda, a potem tańczyliśmy i uczyliśmy się piosenki. Mnie i Zosi bardzo się to spodobało. Chodziłyśmy na zajęcia do wakacji. I namówiliśmy rodziców, żebyśmy mogły przyjechać z Gawędą nad zalew. Jest fajnie. Cieszę się, że jestem solistką w piosence „Nie deptać stokrotek”.

14-letniej Blance również mama podpowiedziała Gawędę – i tak jak Hermiona pierwszy kontakt z zespołem Blanka miała w czasie Warszawskich Dni Rodzinnych. A 13-letnia Zofia, jej koleżanka z pokoju, przyszła do Gawędy dzięki tej samej imprezie i... młodszej siostrze. Bo to Łucja, która trenuje gimnastykę artystyczną, od kwietnia zaczęła uczęszczać na zajęcia Gawędy. Zofia kilka razy jej

► towarzyszyła i złapała bakcyła. – Moja siostra ma predyspozycje gimnastyczne, ja raczej wokalne – mówi.

Instruktorzy są zadowolone z nowych dzieci. – One naprawdę chcą tańczyć – podkreśla Weronika, absolwentka Uniwersytetu Muzycznego na kierunku choreografia i teoria tańca. – Widać, że są pracowite i wytrwałe. Mają dużo energii i chęć do nauki.

– To bardzo ważne, że dzieci są pracowite – potwierdza druga instruktorka, Marietta. – Kiedy ja byłam w Gawędzie pod koniec lat 90., do zespołu należało 300 osób, konkurencja ogromna. Trzeba było ciężko pracować, żeby znaleźć się w tej grupie, która brała udział w występach i wyjazdach. Przychodziłam do Gawędy prawie codziennie.

Koniec zajęć z Weroniką. Dzieci rozpoczynają kurs pierwszej pomocy z ratownikiem medycznym Karolem. Każde ma szansę przećwiczyć reanimację pod okiem specjalisty na trzech różnych fantomach. Ta umiejętność może się przydać – ostatnio dziesięciolatek z Poznania uratował życie wujkowi.

Pojawiają się Iza, nauczycielka śpiewu i emisji głosu, oraz Łukasz, znany z telewizji tancerz i choreograf, który prowadzi z gawędowymi dziećmi zajęcia z tańca, ucząc układów z repertuaru Gawędy – stworzonych kiedyś głównie przez Zofię Rudnicką i Witolda Grucę – ale przede wszystkim proponując nowe chore-



Zajęcia z udzielania pierwszej pomocy z ratownikiem medycznym.

ografie. Siedem najwyższych dziewczynek pod okiem Łukasza ćwiczy układ do piosenki „Nie deptać stokrotek”. Nauczyciel nie jest zadowolony, więc trzeba powtarzać. Ale żadna z dziewcząt nie narzeka – wiadomo, że w Gawędzie wszystko musi być perfekcyjne. Pozostałe dzieci zaczynają lekcję śpiewu. – Zdmuchujemy świeczki na torcie – komenderuje Iza. – Pięć świeczek. Sześć. Siedem. Osiem...

Przerwa. Obiad. Cisza poobiednia. Znowu lekcje tańca i śpiewu. I spotkanie z 18-letnią Dominiką, która przyjechała specjalnie, by pokazać pamiątki

z Gawędy i opowiedzieć o zespole, w którym występowała do 2018 r. A potem jeszcze przejażdżki motorówką z Mariettą i kąpiele w zalewie. Na zakończenie dnia, jak zawsze na takich wyjazdach, wspólnie zaśpiewane „Słoneczko” i jednym głosem powiedziane dobranoc.

Murzyn zrobił swoje

Jeżeli zespół nie pojawia się w telewizji, to jakby go nie było. Gawęda w telewizji jest rzadko. W październiku obchodzi 67. urodziny. Czy będzie kamera którejs z stacji?

Barbara ma nadzieję, że wreszcie skończą się kłopoty, które zaczęły się w 2005 r. Ówczesna dyrektor Pałacu Młodzieży Urszula Wacowska, pełniąc tę funkcję do dziś, na początku grudnia odwołała koncert bożonarodzeniowy. Uznała, że gawędowe śpiewanie jest już niemodne. Podobnie jak oberki i mazury, które zespół ma w repertuarze – tak powiedziała w wywiadzie. Andrzej Kieruzalski był zasmucony. Barbara, wtedy jego zastępczyni i instruktorka zajęć pozaszcenicznych, także wypowiadała się w prasie: że dzieci były rozczarowane, bo do Gawędy przychodzą nie tylko po to, by uczyć się śpiewać i tańczyć, ale także, żeby występować na scenie. Dyrektor Pałacu Młodzieży stwierdziła, że Gawęda zamknie się sama, bo chętnych jest coraz mniej, a założyciel zespołu od 12 lat powinien być na emeryturze. Ona zaś już teraz szuka nowego

WITOLD FRIEMANN
WORKS FOR CLARINET & PIANO

BARBARA BOROWICZ
CLARINET

MAREK SZLEZER
PIANO

DUX

WITOLD FRIEMANN
(1889-1977)

DZIEŁA NA KLARNET I FORTEPIAN

BARBARA BOROWICZ
KLARNET

MAREK SZLEZER
FORTEPIAN

DUX

szefa zespołu i instruktora tańca nowoczesnego.

Jak to jest, że człowiek, który stworzył Gawędę i koncepcję „Wychowanie przez sztukę i w kontakcie z nią”, z powodu wieku stał się *persona non grata*? Dlaczego na siłę chciano zmieniać zespół? Plan się nie powiódł. Również dlatego, że Andrzej Kieruzalski był przewidywany i liczył się z tym, że któregoś dnia ktoś będzie chciał jego Gawędę przejąć. Miał na to swoją odpowiedź – Barbarę Wąsik, związaną z Gawędą od końca lat 60. Namówił Barbarę, by zrezygnowała z pracy nauczycielki matematyki i zatrudniła się jako instruktorka w zespole. Zaplanował, że przygotowuje ją do przejścia

bardzo się odbył na jego zdrowiu. Zmarł w maju 2017 r. Z końcem roku szkolnego pracownia, w ramach której funkcjonowała Gawęda w Służewskim Domu Kultury, zakończyła działalność. W lipcu czworo przyjaciół i współpracowników twórcy zespołu, w tym Barbara Wąsik, powołało do życia Fundację Zespół Artystyczny Gawęda im. Andrzeja Kieruzalskiego. Barbara została wiceprezesem zarządu fundacji i dyrektorem Zespołu Artystycznego Gawęda. Sale do prób fundacja wynajmowała na zasadach komercyjnych w jednym z biurów w Śródmieściu.

– Zrobię wszystko, aby nie zawieść zaufania Andrzeja Kieruzalskiego i, zgodnie z jego wolą,

na ramionach Blanki i robi wygibasy. Rodzice mają oczy okrągłe ze zdziwienia.

Po pokazie gromkie brawa, a na stołach pojawiają się domowe ciasta. Spotkanie pożegnalne trwa do zmroku. Rodzice są zadowoleni i już chcą ustalić termin przyszłorocznych warsztatów, proszą o wyjazdy w czasie ferii i wakacji. Nawet nie wiedzą, że Gawęda ma zaproszenie na wyjazd w daleki świat. Nazajutrz wysyłają do Barbary SMS-y albo dzwonią, żeby jeszcze raz podziękować, powiedzieć, że dziecko jest szczęśliwe. I to jest magia Gawędy: wymaga ciężkiej pracy, wprowadza rygor, a dzieciom to się bardzo podoba.

Jeszcze w połowie sierpnia zaczęły się telefony rodziców w sprawie rekrutacji do Gawędy. Barbara odbiera codziennie co najmniej kilka. Najbardziej zdziwił ją, ale i ucieszył, telefon od jednego z ojców. Właśnie po kilku latach wrócili całą rodziną z Hiszpanii i chciałby dwie córki zapisać do Gawędy. Dlaczego? Bo dzieci w zespole są miłe, dobrze wychowane, mówią pięknym językiem. Widzieli je w ubiegłym roku w Barcelonie.

– Aby Gawęda mogła żyć gawędowym życiem, potrzebuje miejsca, swojej siedziby – przypomina Barbara. – Mamy nadzieję, że po 12 latach zespół znów będzie miał mały dom, o którym tak marzył Andrzej Kieruzalski. Dom, którego drzwi będą otwarte zawsze, nie tylko w czasie zajęć taneczno-wokalnych. Że będzie tam „gawędowy dziwny świat” – jak śpiewamy w jednej z piosenek – pełen koloru, piosenki, poezji, przyjaźni i bez troski, a młodzi ludzie poznają w tym świecie, co znaczy miłość, honor, przyjaźń, odpowiedzialność, tradycja. A także, że uwierzą w siebie, nauczą się wrażliwości na barwę, lalkę, śpiew, taniec, piękne słowo. Nauczą się odkrywać rzeczy niezwykłe w barwach codzienności, uwrażliwią na los ludzi ubogich i ciężko przez życie doświadczonych, zrozumieją konieczność szacunku dla starszych i opieki nad najmłodszymi. Mam nadzieję, że pomożemy młodym ludziom w zrozumieniu naszej historii i rozbudzimy w nich miłość do kraju i języka oraz umiłowanie prawdy w życiu publicznym i osobistym.

Ewa Smolińska-Borecka



Lekcję śpiewu prowadzi pani Iza, która uczy emisji głosu.

kierownictwa, żeby kiedy go zabraknie, zespół funkcjonował zgodnie z jego koncepcją. Mówił Barbarze, że „gdy przyjdzie taka pora”, ona będzie kierować zespołem.

W 2007 r. pani dyrektor pozbyła się Gawędy z Pałacu Młodzieży. Zespół został przeniesiony do Służewskiego Domu Kultury. Tam miał do dyspozycji jedynie salę do treningów, dostępną w określonych godzinach. Stroje i pamiątki zostały złożone w magazynach w piwnicy pod pobliskim centrum handlowym. Andrzej Kieruzalski ubolewał, że Gawęda nie ma własnej siedziby. Barbara, która po śmierci żony Kieruzalskiego była nie tylko jego współpracowniczką, ale i towarzyszką życia, twierdzi, że te wymuszone przenosiny Gawędy

poprowadzić Gawędę drogą wytyczoną przez niego – mówi Barbara. – Przygotował mnie, żebym kontynuowała jego pracę.

Siedziba

Trzy dni do początku roku szkolnego. Warsztaty dobiegają końca. O godz. 16 przyjeżdżają rodzice, żeby zobaczyć prezentację. W pakiecie jest pięć piosenek z choreografiami: „Gramy w kolory”, „Tańcz, tańcz”, „Nie deptać stokrotek”, „Duże buty” i „Czarownice”. Hermiona, która tak cieszyła się, że jest solistką w „Nie deptać stokrotek”, świetnie sobie radzi z zadaniem. W piosence „Tańcz, tańcz” jest wejście z akrobacjami. Tu nie może być inaczej – Blue stoi

Festiwale na peryferiach

Wiejskie festiwale, które propagują dialog kultur, istnieją tylko dzięki zaangażowaniu ich twórców i życzliwości ludzi

Helena Leman

Zjeżdżając z szosy z Suwałk do Sejnu w krętą drogę na Gremzdy Polskie i Budę Ruską, nagle wpada się w ciszę. Wokół zapachy i dźwięki późnego lata. Po kilku kilometrach, przy kapliczce, asfalt przechodzi w szutrówkę, która prowadzi do domu fotografa przyrody i podróżnika Piotra Malczewskiego nad Czarną Hańczą, gdzie w sierpniu odbywa się piąta już edycja wiejskiego Festiwalu Literackiego Patrząc na Wschód. Budę Ruską założyli ok. 1778 r. staroobrzędowcy, uciekając przed prześladowaniami w Rosji po reformach patriarchy Nikona. Festiwal odbywa się na terenie przeszło stoletniego gospodarstwa po nich. Na podwórzu rozstawiono drewniane ławy, a gdy brakuje miejsca, ludzie siadają gdziekolwiek: na kamieniach pod drewnianą werandą, przy starej studni, pod ścianami dawnego chlewu, w którym obecnie mieści się galeria Piotra Malczewskiego. W galerii można obejrzeć wystawę „Staroobrzędowcy – odchodzące światy”. Niektóre zdjęcia są współczesne, inne pochodzą



Festiwal Patrząc na Wschód odbywa się na terenie przeszło stoletniego gospodarstwa po staroobrzędowcach.

Studiów Wschodnich, „Buran. Kirgiz wraca na koń” zaczyna się od takiego opisu: „Buran to zamieć o rozmiarach kataklizmu, zimowe przekleństwo euroazjatyckich stepów – choć zdarzają się i burany letnie, piaskowe, nazywane czarnymi.

polisa ubezpieczeniowa – podkreśla. Sama granica, gdzie zaczyna się Wschód, jest płynna. – Dla ludów centralnej Azji Rosja to już Zachód, a na Ukrainie granicą jest Dniepr – dodaje.

Rozmowa z Wojciechem Góreckim to niejedyny spotkanie z podróżnikami i reporterami. Z Pawłem Smoleńskim rozmawiano o raporcie „Syrop z piołunu” dotyczącym wysiedleń ukraińskiej mniejszości podczas akcji „Wisła”, z Marcinem Sawickim o książce „Ludzkie klepisko. Historie z Pogranicza: Białorusi, Litwy i Polski”, a z Małgorzatą Rejmer o jej książce „Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii”.

Przestrzeń nieujarzmiona

W zbiorze wywiadów z podróżnikami „Patrząc na Wschód” Piotra Brysacza, jednego z twórców festiwalu, Andrzej Stasiuk powiedział: „Podlaski krajobraz to się ciągnie aż po Ułan-Ude i dalej. Z okien Transsibu widać domki naszych

Każde miejsce na ziemi zasługuje na swój festiwal.

z drugiej połowy XX w., np. ze zbiorów Eugeniusza Iwańca, autora książki „Z dziejów staroobrzędowców na ziemiach polskich XVII-XX w”. Staroobrzędowcy, doskonali cieśle i ogrodnicy, styli z pracowitości. Starsi mieszkańcy Suwałk pamiętają, że najlepsze na targu jabłka można było kupić od Moskalów. W drugim dniu festiwalu Krzysztof Snarski i Piotr Malczewski zapraszają zainteresowanych na spacer etnograficzny ich śladami.

Gdzie zaczyna się Wschód

Książka Wojciecha Góreckiego, reportera i analityka z Ośrodka

Ci, których dopadnie w drodze, nie mają większych szans na przeżycie (...). Ci, którym się udało, żyją z piętnem buranu niczym ocalańcy z »Titanica« albo odratowani po uderzeniu pioruna. (...) Ludy Azji Środkowej przeżyły buran władzy radzieckiej, uciekając w rodzinę, tradycję, religię”.

Na festiwalowym spotkaniu autor opowiada, jak Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan przebudowują swoją tożsamość, i wyjaśnia, że model demokracji zachodniej nie do końca jest tam możliwy, gdyż dużą rolę odgrywają inna mentalność i powiązania klanowe. – Rodzina to tam

babę i dziadków. Jak wieczorem wyszedłem na spacer po Irkucku, to to jednak były Siedlce. Dość oddalone, ale Siedlce. (...) Przestrzeń jest ontologiczną podstawą »wschodniego światopoglądu«. Siedzi się w takiej Czystej i wszędzie jest tysiąc kilometrów. A i tak niewiele po drodze się zmienia. To jest niehumanitarne, okrutne, ale zarazem przejmujące».

W tej samej książce Maciej Jastrzębski zapytany, co myśli o Wschodzie, odpowiadał: »Przed wszystkim przestrzeń. Pustka ciągnąca się po horyzont. Pola przecięte wstęgami rzek i strumieni, lasy, góry. Niezależnie od tego, czy to Białoruś, Ukraina, czy Rosja, człowiekowi nie udało się ograniczyć, ujarzmić tej bezkresnej przestrzeni». Na festiwalu jest zresztą wiele o przestrzeni i o przyrodzie – tej bliższej i dalszej. Opowiadają o niej mgliste krajobrazy z Gruzji i wykonane z lotu ptaka slajdy krainy Czarnej Hańczy Piotra Malczewskiego. W programie jest też nocne podsłuchiwanie przyrody z Markiem Piórą oraz spacer ornitologiczny o świcie z Michałem Książkiem, twórcą

reportażu o Nadbużance, czyli drodze 816, którą przemierzył pieszo.

– Prawdziwa wspólnota nie może zaistnieć, jeśli nie ma pustego miejsca. U Łemków była »czysta izba«, jak przychodził »Inny«, podobnie jest w wielu kulturach, np. w Butanie – mówi Krzysztof Czyżewski, współtwórca Fundacji

Na festiwal Patrząc na Wschód zbierano pieniądze przez internet, z pomocą przyszli też sponsorzy.

Pogranicze w Sejnach i Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie, autor poetyckiej książki »Żegaryszki«. Zapytany, jak wyglądała Suwalszczyzna, gdy przyjechał tu 30 lat temu, ucina: – Było więcej czajek, bardzo tęsknię za czajkami.

Podczas spotkania zastanawia się, czego się nauczył na pograniczu i co to znaczy być tutejszym. – Tutejszy to ktoś dający, a nie dążący do zawłaszczenia wszystkiego, ktoś umiejący zostawić miejsce – rozważa. – Trzeba iść »ku«. W tej drodze musimy się ciągle odnajdywać. Najważniejsze, żeby wytrwać na progu,

w sytuacji niepewności, otwartości, w spotkaniu. Nie zacierać różnic, lecz je ocalać. Musimy zagęścić przestrzeń, gdyż mozaika pogranicza się rozpadła w nowoczesności i przez historię, jest pełna dziur. Odyskiwanie tych kawałków, zbieranie, wypytywanie dziadków to nasza praca.

Przejmujący reportaż radiowy Joanny Sikory »Rzeka odchodzi i trwa« jest opowieścią właśnie o takim zbieraniu kawałków świata, który znika, relacją o ludziach i dźwiękach Biebrzy, o rzece, która karmiła, dawała schronienie podczas wojny, łączyła i dzieliła jednocześnie, gdyż po jednej jej stronie mieszkali katolicy, a po drugiej prawosławni. W ciszy letniego wieczoru słychać chlupot wody uderzanej wiosłem i krzyki ptaków. Z dźwiękami natury mieszają się odgłosy wiejskiego życia. Wizja przeplatana śpiewami i gawędami mieszkańców ▶

Na wodzie i na lądzie

Gmina Ryn leży w środku Krainy Wielkich Jezior Mazurskich, między bardziej znanymi Giżyckiem a Mikołajkami. To właśnie tu, w leżącym nad dwoma jeziorami (Ryńskim i Ołwów) Rynie, warto zaczynać i kończyć swoje rejsy po Mazurach, płynąc albo na północ, w kierunku jeziora Mamry, albo na południe, w kierunku jeziora Śniardwy i jeziora Nidzkiego. Wyjątkowy dzięki swojemu położeniu potencjał turystyczny miasta i gminy Ryn, wciąż czeka na godne wykorzystanie.

O szansach i planach rozwoju, możliwościach dla przedsiębiorców i wyzwaniach stojących przed gminą, rozmawiamy z Jarosławem Filipkiem, burmistrzem Rynu i Juliuszem Leczyckim, zarządzającym Ekomarina Ryn od początku jej powstania.

Niektórzy mówią, że Ryn leży na uboczu szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, ale patrząc na to z innej strony, to dobre miejsce na krótsze lub dłuższe rejsy po całym szlaku. Czym przyciąga turystów miasto i gmina Ryn?

J. Filipiek: Ryn leży na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich. Jesteśmy pośrodku szlaku. Różni się od innych miejscowości przede wszystkim panującym tu spokojem i ciszą, można u nas wypocząć i zrelaksować się zarówno na wodzie jak i lądzie. Należymy do sieci miast CITTASLOW, czyli miast spokojnego życia i tak tutaj właśnie jest. Ryn jest również miastem zabawkowym, zwiedzimy tu między innymi Zamek Krzyżacki z XIV wieku czy Wiatrak Holender-

ski. Jest również Ekomarina, która wpływa na rozwój turystyki.

J. Leczycki: Położenie na uboczu głównego szlaku żeglownego było problemem na początku funkcjonowania Ekomariny Ryn. Obecnie, nie zważając na to, żeglarze i motorowodniacy z chęcią przybijają do naszego portu. Stało się tak dzięki szerokim akcjom promocyjnym, ale najważniejszym czynnikiem przyciągającym turystów jest wysoka jakość usług. Kto był tu raz będzie już naszym stałym gościem.

Działająca już szósty rok ryńska Ekomarina zyskuje same pozytywne oceny, także wśród żeglarzy, którzy wcześniej mniej chętnie odwiedzali ten zakątek Mazur. Jaki jej powstanie miało wpływ na atrakcyjność Rynu jako ośrodka turystycznego i żeglarskiego?

J. L: W roku 2013, gdy zaczynaliśmy działalność odwiedziło nas około 10 tys. żeglarzy. W roku 2018 było ich już blisko 25 tys. Należy doliczyć turystów odwiedzających nasz port z łądu, którzy decydują się wypłynąć w rejs statkiem, motorówkami lub skorzystać ze strefy gastronomicznej itd. Wokół Ekomariny powstają inne usługi np. park linowy, stoiska gastronomiczne i z pamiątkami. Nasz port jest coraz bardziej znany wśród żeglarzy dzięki dobremu wyposażeniu w sanitariaty, prysznice, umywalki, pralki, zawsze działające zrzuty ścieków. Najważniejsza jest czystość, bezpieczeństwo i ceny dostępne na każdą kieszeń. Atutem także jest duża dawka spokoju, o której wspominał Burmistrz.

Jakie branże gospodarki sprawdzają się najlepiej

w gminie i mieście Ryn? Co władze samorządowe mają do zaoferowania potencjalnym inwestorom?

J. F: W Mieście i Gminie Ryn ze względu na położenie wśród wielu jezior, najlepiej rozwija się szeroko pojęta baza turystyczna. Mamy wiele atrakcji związanych z jeziorami, ale również położeniem geograficznym całej gminy. Dobrze rozwija się tu przemysł drzewny i usługi, które oferuje. Na inwestorów czeka przyjazny urząd, ulgi inwestycyjne oraz dobrze rozwinięta infrastruktura.

Czy są również jakieś bezpośrednie korzyści finansowe z inwestowania właśnie na terenie Krainy Wielkich Jezior Mazurskich?

J. F: Na terenie woj. warmińsko-mazurskiego łatwiej i sprawniej można pozyskać dofinansowanie, niż w innych regionach Polski, są one na najwyższym możliwym poziomie. Można liczyć na pomoc i wsparcie Mazurskiego Systemu Obsługi Inwestora i Eksportera. Biznesmeni mogą liczyć na uzyskanie ulgi podatkowej w naszym mieście. Mazury są wyjątkowym miejscem na ziemi, a Ryn moim zdaniem jest najpiękniejszym miastem na Mazurach. Dbamy tu o środowisko stale w nie inwestując. Życie tu jest wygodne i spokojne.

Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej na temat możliwości inwestycji i prowadzenia biznesu na Mazurach, wejdź na stronę: www.mazurytobiznes.pl

Mazury to Biznes

Mazury.
Biznes z Natury
www.mazurytobiznes.pl

Projekt realizuje Stowarzyszenie WJM 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.

Fundusze Europejskie
Program Regionalny

Rzeczpospolita Polska

Rzeczpospolita Polska

WARMIA MAZURY

Unia Europejska
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

Unia Europejska

o wiejskich weselach, tkaniu płótna czy ludowych strachach. Jeden z mężczyzn opowiada, jak świtem, towarzysząc matce przy praniu nad rzeką, zobaczył w wodzie „diabluki”, w tych mgłach i oparach wydawały się rzeczywiste. W rozmowach przebija też nuta goryczki. „Wiesz dziś nie jest ani wiejska, ani miejska”, mówi ktoś. Bohaterem reportażu jest

Tutejszy to ktoś, kto daje, a nie dąży do zawłaszczenia wszystkiego.

także Marcin Lićwinko z Rogożynka nad Biebrzą, poszukujący miejsca dla tradycji we współczesnym świecie, teatrolog, śpiewak i animator kultury, dzięki któremu powstał w 2013 r. projekt „Pieśni rzeki”.

Po umarłych chodzę i śpiewam

Oglądamy film „Koniec pieśni” Piotra Borowskiego – to subtelna

nagle ożyło”. Zaczynają nucić, wydobywając z zakamarków pamięci zapomniane słowa, inni wzruszeni tylko się uśmiechają lub dziękują za przypomnienie pieśni, wielu płacze. „Pierwszy raz od pogrzebu słyszę głos matki”, mówi mężczyzna w średnim wieku, ukradkiem ocierając łzy. „Gdy matka odeszła, były momenty, że nie chciało się

do domu wchodzić, nie było kogo szukać w tym domu. Nikt tam na mnie nie czekał”, zwierza się inny. Melodie z czasów

młodości, gdy wieś była ludna i pełna życia, przypominają o opuszczeniu. „Wstałem wieczorem i przeszedłem przez wioskę, nikogo nie spotkałem. Tylko w dwóch chatach ogień się pali, było 62 ludzi, a teraz jest tylko sześciu”, stwierdza ktoś, a jedna z nagranych przed laty kobiet mówi: „Tylko po umarłych chodzę i śpiewam, więcej płaczę, niż śpiewam”.

osobistego. „Można zęby zjeść, osiwieć i jeszcze się wszystkiego nie poznać”, podsumowuje.

Spółeczność zaangażowana

Festiwal Patrząc na Wschód nie korzysta z ministerialnych ani samorządowych dotacji. Na drugim końcu kraju, na polsko-niemieckim pograniczu na Dolnym Śląsku, tydzień później odbywa się podobny w klimacie wiejski Miedzianka Fest, przywołujący pamięć o miasteczku, które znikło. Impreza już kolejny raz nie otrzymała dofinansowania z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

– Organizujemy festiwal na wsi, angażując w to lokalną społeczność i zbierając razem z radą parafialną pieniądze na kościół, który tam stoi, a odmawia się nam dofinansowania ze względu na małe zaangażowanie lokalne? To tylko pokazuje arogancję przy rozdzielaniu tych środków – mówił mediom twórca imprezy Filip Springer, dodając, że w tym roku nie dostał żadnego wyjaśnienia z ministerstwa. Zapytany o powody nieprzyznawania środków ocenił, że Miedzianka Fest „ideologicznie i programowo nie odpowiada ministerstwu”, a spojrzenie na listę, na której nie zostały uwzględnione największe festiwale propagujące kulturę rozumianą jako dialog, a nie monokulturę, uświadamia, że jest pewien klucz w ministerstwie.

Wiejskie festiwale, które ratują odchodzące światy, istnieją dzięki zaangażowaniu ich twórców i życzliwości ludzkiej. Organizatorom Miedzianki udało się przez dobę zebrać 15 tys. zł w internecie, pozostałe środki dołożyli Instytut Reportażu, wydawnictwa literackie i sponsorzy. Na festiwal Patrząc na Wschód zbierano pieniądze na platformie Polakpotrafi, z pomocą przyszli też sponsorzy. „Wierzmy, że każde miejsce na ziemi zasługuje na swój festiwal”, piszą w sieci jego organizatorzy.

Gdy wyjeżdżam z Budy Ruskiej, na polnej drodze zatrzymują mnie starsi mężczyźni, pytają, czy wśród festiwalowych gości na pewno jest dziś Andrzej Strumiłło. Wybrali się specjalnie, żeby z nim porozmawiać.

Helena Leman



W galerii można obejrzeć wystawę „Staroobrzędowcy – odchodzące światy”.

rzecz o przemijaniu. Zimą na przełomie lat 1980 i 1981 reżyser z dwójką kolegów, wówczas studentów, chodził pieszo od wsi do wsi na Białostocczyźnie i nagrywał stare pieśni. Po 27 latach postanowił odnaleźć wykonawców. Część już nie żyła, więc archiwalne materiały odebrały dzieci i rodziny. Ponowne ich odsłuchanie wyzwała gamę uczuć wypisaną na twarzach słuchaczy. Ludzie się dziwią, że „coś nieżywego

A skoro jesteśmy przy filmie, gościem honorowym imprezy jest prof. Andrzej Strumiłło, malarz, grafik, rzeźbiarz, pisarz i poeta, który od ponad 30 lat mieszka i tworzy w Maćkowej Rudzie nad Czarną Hańczą. Na festiwalu zaprezentowano dwa poświęcone mu obrazy. W jednym z nich mówi, że fotografował to, czego nie zdążył narysować, a co było ciekawe, bo fotografia to dla niego rodzaj szkicownika

A Führer jak pachniał?

Edward Mikołajczyk

Żeby nie było to tamto, oświadczam na początku, że nie mam wspólnego zdjęcia z *Herr H.*, nie znam odpowiedzi na pytanie, czym pachniał, i w ogóle mnie to nie interesuje, a samo wspomnienie o nim znalazło się w tytule wyłącznie ze względów poradniczych i z przyzwyczajenia zawodowego.

Po napisaniu tego akapitu pomyślałem sobie: a co mi szkodzi?! Zadzwońm do pana Karola, który ma wojnę i Niemcy w małym palcu, i dowiedziałem się, że musiała to być prawdziwa Kölnische Wasser 4711 z przydziału oficerskiego. Czyli wódz pachniał jak wszyscy? „A wyobrażasz sobie – odpowiedział mi na to sąsiad – że on jeden pośród kamratów pachnie po francusku?”. Po cichu liczyłem, że w tym, co buchało od H., znajdzie się choć jedna, korzystna dla wizerunku nutka zapachu wojskowej onucy.

Jak pachnie mężczyzna, kobieta zresztą też, zależy od sytuacji na wojnie ich gruczołów potowych z tojowymi, no i od mydła. A jak chce pachnieć, to jest już kwestia wyboru z tysiąca albo przynajmniej z 800 wyczuwanych przez człowieka zapachów. Wybór pachnidła nie jest równoznaczny z zapachowym postrzeganiem pachnącej jednostki przez otoczenie. Czasem kowboj, który chce pachnieć tytoniem i końską sierścią, załatuje niestety, jakby całe życie dosiadał byczka w rodeo. Warto pamiętać, że w praktyce nieograniczona, a przez to niebezpieczna, jest liczba metafor i porównań, jakich się używa do opisywania doznań węchowych w spotkaniu z drugim człowiekiem w rozmaitych okolicznościach.

Pewien szkocki znajomy T.S. Eliota, wielkiego poety i eseisty, został dość bezceremonialnie zapytany w towarzystwie, jak Eliot pachniał. Odparł bez namysłu: „Jak zapleśniała ambona”. Trzeba wiedzieć, że noblista, który urodził się w Stanach Zjednoczonych, przeszedł na anglikanizm i został obywatelem Zjednoczonego Królestwa, nie wszystkim się spodobał na Wyspach jako projektant zasad chrześcijańskiego społeczeństwa.

Czytam o tym w „Pamiętniku księgarza” szkockiego antykwariusza Shauna Bythella z Wigtown. Zapiski polecam wszystkim, którzy się oparli presji i nie mają do tej pory globusa z samą Polską na całej kuli ziemskiej. Książka jest zabawna po szkocku, czyli cudowniej niż po angielsku, uczy zaradności, pogody, tolerancji oraz miłości do kota Kapitana, niewykluczającej aktywnej i przyjaznej obecności właściciela wśród ludzi.

Znajomym, który zadał odjazdowe pytanie o zapach Eliota, okazał się Stewart Henderson, prezenter BBC 4. Usprawiedliwiając się trochę, opowiedział antykwariuszowi inną historijkę, która może spełnić funkcję pożądanego patentu dziennikarskiego.

Zaprosił kiedyś na rozmowę ostatnią żyjącą członkinię orkiestry, która tuż przed wybuchem II wojny światowej zagrała prywatny koncert dla Adolfa Hitlera. Starsza pani nie była nadmiernie wylewna. Na pytania prezentera odpowiadała głównie „tak” lub „nie”, co jest koszmarem dla dziennikarza, który wiele sobie obiecuje po rozmowie ze świadkiem niecodziennego wydarzenia. Kiedy widmo klęski zawodowej już zajrzało Hendersonowi w oczy, zapytał małomówną artystkę: „A jak Hitler pachniał?”. I wtedy stał się cud. Kobieta przemówiła i BBC 4 znowu wyemitowała ciekawy materiał w „Pick of the Week”.



Pytanie o zapach może uratować każdą rozmowę przed mikrofonem, choć niekoniecznie całą audycję.

Pytanie o zapach może uratować każdą rozmowę przed mikrofonem, choć niekoniecznie całą audycję. Niewielki też może być pożytek z tej porady dla Polskiego Radia lub pisowskiej telewizji. Pod rządami na-

miestników partyjnych obaj ci dawni nadawcy publiczni są na dnie, a warsztatowe wskazania czerpią wyłącznie z obserwacji kciuka Kaczyńskiego. Nie pytają „dobrej zmiany” o zapach, bo pachną tak samo.

Na nasze szczęście wydaje im się, że wynaleźli pachnidło, które wywołuje permanentną erupcję entuzjazmu dla prezesa. Podobnie jak to się udało bohaterowi powieści „Pachnidło”, niejakiemu Janowi Baptystcie Grenouille, który sporządził dla siebie coś równie odłotowego, używając ekstraktu z uduszonych własnoręcznie 25 dziewic. Rozkoszny ów zapach raz uratował Jana Baptystę przed egzekucją, ale za drugim razem nie uchronił przed rozszarpaniem z miłości, a następnie spożyciem strzępów z powodu nadmiaru tego samego uczucia tłum do jego osoby.

■

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja
ze Stanów Zjednoczonych

Nacja bez wakacji

Dla rosnącej rzeszy Amerykanów urlop to dobro luksusowe, na które nie mogą sobie pozwolić

W wademekum lekarza w Ameryce od niedawna można znaleźć nowy termin: *Vacation Deficit Disorder* (VDD), czyli zespół deficytu urlopowego. To schorzenie występujące u osób, które czują, że potrzebują urlopu, lecz nie mogą go wziąć. Rozpoznanie choroby jest o tyle ważne, że ma ona związek z depresją i może pomóc lekarzowi w jej zdiagnozowaniu. Umiarkowana depresja rozwija się aż u co trzeciej, a ostra u co piątej osoby cierpiącej na VDD.

Badania, które wykazały związek między depresją a VDD, przeprowadził w zeszłym roku tandem sondażowy Ipsos Public Affairs i Allianz Global Assistance. Pierwszy jego człon to ośrodek badania opinii publicznej, drugi – specjalista od ubezpieczeń dla podróżnych, a obie instytucje już od 2010 r. łączą siły, by rokrocznie publikować *Vacation Confidence Index*, czyli wskaźnik oczekiwań Amerykanów odnośnie do urlopu. Raporty nie wywoływały do tej pory większych emocji, bo doniesienia, że statystyczny pracownik znów nie wykorzystał całego urlopu lub że choć urlop miał

prawda, że bezurlopowy styl życia jest atrybutem amerykańskiej współczesności, jak stwierdził Daniel Durazo? Wydaje się, że za wszystkim stoi fakt, że Ameryka od początku istnienia miała do konceptu odpoczynku odmienne podejście niż reszta świata. Jedną z cech definiujących urlop jest przecież bezczynność, nawet lenistwo, a to godzi w samo serce amerykańskiego kanonu przekonań o sensie i wartości życia. To przecież apoteoza pracy pchnęła przedsiębiorczych purytanów na statki do Ameryki i legła u podstaw amerykańskiej państwowości – w tym kraju każdy ciężko i uczciwie pracujący człowiek może się wzbogacić. Rdzeniem amerykańskiej tożsamości po dziś dzień pozostaje przeświadczenie, że człowiek wart jest tyle, ile potrafi wypracować. Określenie *no vacation nation* (nacja bez wakacji) nie jest nacechowane wyłącznie negatywnie. To fakt, Amerykanie są najbardziej zarobionym narodem na świecie. Przpracowują już

praco- rantują pracownikowi prawa do płatnego urlopu i dni wolnych. Wszystko przez uchwaloną jeszcze w 1938 r., lecz niezmienną do dziś ustawę The Fair Labor Standards Act (o sprawiedliwych standardach pracy), która orzeka: „Pracodawca nie ma obowiązku płacić za czas nieprzepracowany, taki jak urlop, choroba czy święta narodowe. Wszelkie świadczenia pozostają sprawą wyłącznie między pracodawcą a pracownikiem”. Płatny urlop całkowicie więc zależy od widzimisię pracodawcy.

Jednak nie jest tak źle, jak mogłoby być. Jak podało w zeszłym roku Federalne Biuro Pracy, płatny urlop oferuje aż trzy czwarte pracodawców prywatnych i cała budżetówka. Sęk w tym, że amerykańskiemu urlopowi daleko do norm praktykowanych przez resztę świata. Po pierwsze, dotyczy on w głównej mierze pracowników na pełny etat. Wśród półetatowców i pracujących w krótszym wymiarze dostęp do niego ma mniej niż co trzeci zatrudniony. Po drugie zaś, urlop jest dużo krótszy. Na 7-10 dni wolnego można liczyć dopiero po pięciu latach pracy, na 17-20 po 10 latach i dopiero po 20 na trzy tygodnie lub więcej. Dla przypomnienia i porównania: kraje uważane za „urlopowych skąpców”, a więc Kanada i Japonia, gwarantują pracownikom 10 dni urlopu już w pierwszym roku pracy. W Unii Europejskiej jest to 20 dni urlopu, w Australii i Nowej Zelandii z miejsca cały miesiąc.

Wreszcie potęgujące się zjawisko bezurlopia wiąże się w Ameryce ze zmianą relacji między pracodawcą a pracownikiem w realiach tzw. nowej ekonomii (nazywanej również *gig economy*, gdzie pracę etatową zastępuje umowa o dzieło lub zlecenie). Już nie tylko małe, ale i większe firmy kierują się oszczędnościami, jakie można poczynić, odcinając pracownika od jakiegokolwiek pakietu socjalnego, i tworzą wyłącznie miejsca pracy w niepełnym wymiarze godzin, przyczyniając się do powiększenia

Rdzeniem amerykańskiej tożsamości pozostaje przeświadczenie, że człowiek wart jest tyle, ile potrafi wypracować.

krótszy, to wydał na niego więcej, nie są żadną sensacją. Taki stan rzeczy trwa od lat. Ubiegłoroczny raport szumu jednak narobił, bo autorzy poszerzyli badania o test kliniczny na depresję. – Wiedzieliśmy, że dla rosnącej rzeszy Amerykanów urlop zmienia się w dobro luksusowe, na które nie mogą sobie pozwolić. Chcieliśmy więc sprawdzić, czy życie bez urlopu przekłada się na stan zdrowia – objaśnił Daniel Durazo, dyrektor komunikacji w Allianz Global Assistance. – Wyniki zaskoczyły nas. Mam nadzieję, że pojawią się kolejne badania, byśmy poznali pełen obraz długoterminowych szkód, jakie wyrządza nasz bezurlopowy styl życia.

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, co sprawia, że urlop jest dla Ameryki takim rarytasem, zastanówmy się nad czymś innym. Czy to

o 260 godzin rocznie więcej niż Brytyjczycy, o 300 więcej niż uchodzący za bardzo pracowity Niemcy i nawet o 137 godzin więcej niż powszechnie uznawani za chorych na pracoholizm Japończycy (Gallup, lipiec 2019)! Ale przecież coś za to mają. Czy to się komuś podoba, czy nie, są najbogatsi na świecie. Przy tym USA pozostają – mimo rosnących statystyk biedy i malejącej mobilności społecznej – krainą większych szans i możliwości dla ambitnych i pracowitych niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi.

Sprawiedliwe standardy pracy

Co więc napędza kulturę bezurlopia w Ameryce? Przede wszystkim ustawodawstwo. Stany Zjednoczone jako jedyne wśród najbogatszych państw świata (grupa OECD) nie gwa-



grupy osób, które przepracowują 40 i więcej godzin tygodniowo, ale w kilku różnych firmach. W efekcie co czwarty pracownik w USA nie ma dostępu do płatnego urlopu i mówi tu o trendzie wzrostowym.

Urlop – twój wróg?

Prawo służy ludziom, Amerykanie pracują zatem i odpoczywają tak, jak to sobie wymyślili. Drakońskie regulacje nie wyjaśniają jednak innego kuriozum, mianowicie tego, że choć tak ubodzy urlopowo, Amerykanie są chyba jedyną nacją na świecie, którą stać na to, by w ogóle z urlopu masowo zrezygnować! W zeszłym roku, jak doniosła firma Glassdoor, jedna z największych na świecie agencji pośrednictwa pracy, urlopu nie wykorzystano w całości aż 54% pracowników. Przy czym co piąty nie wykorzystał tygodnia lub więcej i też co piąty w ogóle obył się bez urlopu. Tutaj również wskaźniki pną się w górę. Pięć lat temu częściowych urlopowiczów było w Ameryce 40%. W latach 90. – tylko nieco ponad 20%. Ten rok może przynieść kolejny rekord, bo zanoszą się na to, że na żaden urlop nie wyjedzie prawie co trzeci Amerykanin.

Ambicja? Gen pracoholizmu? A może Amerykanie dają nam przykład i tak wyglądają przygotowania do ery współzawodnictwa? Przyczyna jest o wiele prostsza, ale i bardziej

ponura. – Kieruje nami po prostu strach – wyjaśnia Scott Dobroski, analityk z Glassdoora. – On stoi dziś za większością decyzji dotyczących miejsca pracy i zmienia nas w urlopofobów.

Co ważne, wcale nie chodzi o strach ambicjonalny, że biorąc urlop, pozbawiamy się szansy na awans bądź premię, bo nagradzane są nimi osoby z najmniejszą liczbą opuszczonych dni w pracy. – Co trzeci Amerykanin boi się, że po powrocie z urlopu nie poradzi sobie z zaległościami, bo wie, że nikt go podczas nieobecności nie zastąpi. Co piąty boi się, że i tak będzie musiał kontaktować się z firmą, więc po co zwracać sobie głowę wypoczynkiem? Wreszcie strach to także spadek po ostatniej recesji. Firmy odpowiedziały na nią wielkimi redukcjami kadrowymi kosztem dodatkowego obciążenia pracowników, których nie zwolniły. Recesja minęła, ale oczekiwania większej produktywności i surowsze deadline'y stały się nową normą. Aż 90% Amerykanów skarży się na przeciążenie obowiązkami zawodowymi i w związku z tym chroniczny stres – konkluduje Dobroski.

Karta zdrowia pracoholika

Autorzy Vacation Confidence Index zwracają uwagę właśnie na związek braku urlopu ze stanem zdrowia

Amerykanów. A Jeffrey Pfeffer, jeden z najwybitniejszych teoretyków biznesu pracujący na Uniwersytecie Stanforda, twierdzi, że współczesny model pracy w Ameryce zabija ludzi. „Mówimy o 120 tys. zgonów rocznie, do których przyczyniają się okoliczności pracy, co czyni z nich piątą najważniejszą przyczynę śmierci w USA!”, napisał w najnowszej książce pod wymownym tytułem „Dying for a Paycheck: How Modern Management Harms Employee Health and Company Performance – and What We Can Do About It” („Umierając dla wypłaty. Jak współczesna kadra kierownicza niszczy zdrowie pracownika oraz kondycję firmy – i jak możemy temu zaradzić”).

Jest o czym myśleć, bo statystyki zdrowia faktycznie nie przedstawiają się różowo. Sądząc po ilościach zażywanych przez Amerykanów psychotropów, depresja oraz zaburzenia lękowe zbierają alarmujące żniwo. Leczy się już co szósty dorosły, a więc najwięcej na świecie. Tymczasem organizacja Mental Health in America promująca inicjatywy na rzecz zdrowia psychicznego i tak bije na alarm, że ponad połowa potrzebujących nie otrzymuje w danym roku pomocy albo z powodu braku ubezpieczenia, albo na skutek niedoboru specjalistów w okolicy.

To fakt, Amerykanie są najbardziej zarobionym narodem na świecie.

Ameryka plasuje się też na szczycie listy państw najbardziej zestresowanych (Gallup 2018). Wskazując kłopoty finansowe jako źródło stresu, w jego permanentnym uścisku żyje 55% społeczeństwa. Średnia dla świata wynosi 35%, Amerykanów wyprzedzają tylko Grecy, Filipińczycy i Taniańczycy, gdzie poziom stresu to 56-58%.

O tym, że coś bardzo niszczy Amerykę od środka, mówią sposoby kanalizowania złych emocji. Wspomnijmy choćby masowe strzelaniny, które stały się zjawiskiem codziennym. W minionym roku odnotowano ich 340! Ponadto już prawie 80 tys. Amerykanów umiera co roku z przedawkowania opioidów. Epidemii ich nadużywania lekarze przypisują innej epidemii – bólu i chorób napędzanych stresem. Wreszcie ▶

► dramatycznie wyglądają statystyki samobójstw. W ciągu ostatniego 20-lecia podskoczyły o 30%, są obecnie najwyższe od 70 lat i blisko im do poziomu z czasów wielkiego kryzysu, który historia opisuje jako „erę bezprecedensowo wielkiej psychicznej traumy i załamania społecznego”. Czy to przypadek, że plagą samobójstw najmocniej dotknięci są najmłodsi dorośli, generacja milenialsów, która najgorzej radzi sobie finansowo (najwyższy dług studencki i najniższy odsetek osób zatrudnionych na pełny etat) i z której rekrutuje się najliczniejsza grupa pracowników całkowicie rezygnujących z urlopu?

Idzie nowe?

Urlop, jak nie od dziś dowodzą badacze, regeneruje nie tylko organizm pracownika, ale i całą gospodarkę. Człowiek wypoczęty jest bardziej kreatywny i – paradoksalnie – zdolny wyprodukować w krótszym czasie więcej niż osoba, która na urlopie nie była. W erze ekonomii ta-

lentu wszelkie działania pomagające pracownikowi zachować optymalny stan umysłu są na wagę złota. Jeśli zdrowie pojedynczego obywatela nie jest dla Ameryki priorytetem, to stan ekonomii już nim jest i być może dlatego w końcu mamy ja-skółki zmiany. Już siedem lat temu ekonomista Robert Reich nawoływał obu ówczesnych kandydatów na prezydenta, Baracka Obamę i jego

Przepracowują 260 godzin rocznie więcej niż Brytyjczycy, 300 więcej niż Niemcy i 137 godzin więcej niż Japończycy.

rywala Mitta Romneya, by w imię uzdrawiania gospodarki wprowadzili w USA trzytygodniowy płatny urlop dla każdego. Żaden z panów do tego postulatu wówczas się nie odniósł, za to dzisiaj obietnice walki z kryzysem bezurlopia składa Amerykanom aż połowa demokratycznych kandydatów na prezydenta w przyszłorocznych wyborach, w tym Bernie Sanders i Elizabeth Warren.

Zmiany w amerykańskim myśleniu o urlopie i odpoczynku sygnalizuje

również kultura masowa – niezawodny probierz gustów, ale i potrzeb masowego odbiorcy. Wystarczy przyrzeć się półkom księgarskim i pooglądać telewizję śniadaniową. Do lamusa odchodzi poradnictwo typu „Jak się zregenerować w jeden wieczór” czy „Zmaksymalizuj aktywny wypoczynek” na rzecz idei „mentalnej czystki i pełnego oderwania”, zwłaszcza wedle modelu skandy-

nawskiej szkoły relaksu spod znaku *hygge* i *lykke*.

Sama prawna gwarancja urlopu to oczywiście za mało, by z dnia na dzień zmienić wypoczynkowe nawyki Amerykanów. Nie ma też co liczyć na to, że całkowicie uleczy ich z praco-holizmu. Na pewno jednak jest to krok, na który powinni się zdecydować, i to jak najszybciej, bo rośnie góra dowodów, że co za dużo, to jednak bardzo niezdrowo.

Eliza Sarnacka-Mahoney

THE **ARTEMIS** TOUR

LINDSEY STIRLING



18.09 TAURON ARENA KRAKÓW 19.09 COS TORWAR WARSZAWA

LIVE NATION BILETY NA: LIVENATION.PL @LINDSEYSTIRLING
LINDSEYSTIRLING.COM

Afrykańskie płuca Ziemi

Lech Miodek

Co roku płonie 3-4% powierzchni Ziemi, jak oblicza Peter Moore, specjalista FAO. W Afryce panuje tendencja spadkowa – 300 mln ha spalonych lasów w 2016 r. wobec 340 mln w 2003 r. – ale to na tym kontynencie straty są największe. Szacuje się, że 10% niekontrolowanych pożarów jest przyczyną 90% wypaleń, ofiar ludzkich, strat materialnych i środowiskowych. Problemem jest bagatelizowanie efektów pożaru przez miejscową ludność.

Gdy uwaga świata jest skierowana na pożary w Amazonii, NASA opublikowała zdjęcia, z których wynika, że w środkowej Afryce jest więcej pożarów niż w Brazylii. Tylko w Angoli i w południowej części Demokratycznej Republiki Konga doszło do ponad 10 tys. pożarów. Te w Afryce należą do tradycji rolników i pasterzy. Są zazwyczaj kontrolowane i obejmują małe powierzchnie. Peter Moore twierdzi, że ludność afrykańska wypala lasy, aby polepszać wydajność swoich pól, otwierać trakty leśne i zwalczać pojawiające się plagi. Popioły sprzyjają podnoszeniu jakości gleby, ale tylko krótkoterminowemu, w wymiarze długoterminowym przyspieszają jej erozję. To samo zjawisko, jak pokazuje obraz satelitarny, występuje w Zambii, Mozambiku, a nawet na Madagaskarze. Uważa się, że dziewięć na dziesięć pożarów w Afryce nie przynosi szkód, raczej jest korzystne dla zamieszkujących lasy wspólnot.

Jednak główną przyczyną deforestacji środkowej Afryki są nie pożary, ale wycinki lasów. Miliony hektarów lasów afrykańskich pozostają zagadką dla naukowców. W odróżnieniu od Amazonii i lasów tropikalnych Indonezji obszar ten jeszcze nie trafił do katalogów ofert turystycznych i nie jest priorytetem dla agropromysłu. Położony na terytorium sześciu krajów stanowi jeden z najmniej znanych obszarów świata. Jednak rosnące za-



Główną przyczyną deforestacji środkowej Afryki są wycinki lasów.

potrzebowanie na żywność, węgiel drzewny i szlachetne drewno, przy wzrastającym bezrobociu w tej części Afryki, daje o sobie znać. W basenie rzeki Kongo znajduje wyżywienie ok. 60 mln osób. Występuje tu jedna piąta wszystkich gatunków zwierząt znanych na świecie, rośnie ok. 10 tys. gatunków drzew.

W ramach XI Europejskiego Funduszu Rozwoju na północy DRK realizowany jest projekt Rezerwat Biosfery Yangambi, koordynowany przez Międzynarodowe Centrum Badań Leśnych (CIFOR). Według ekspertów zaangażowanych w badania podstawowymi przyczynami degradacji dżungli kongijskiej są: produkcja węgla drzewnego, wycinka najcenniejszych gatunków oraz wydobycie minerałów. „Najpierw drwale dokonują selektywnej wycinki drzew, na które jest popyt w stolarce i budownictwie – twierdzi jedna z badaczek Silvia Ferrari. – Potem miejscowi kontynuują wycinkę na węgiel drzewny. Na koniec podpalają resztki dżungli, by tworzyć miejsce pod uprawę. Wydajność tej ziemi jest minimalna, szybko tworzą się ugory. Podobny proces powtarza się na nowych obszarach”.

To błędne koło jest wyzwaniem dla naukowców, zwłaszcza że w ostatnich 20 latach liczba ludności na tym obszarze podwoiła się i rośnie. Ponadto brakuje substytutu dla drewna, które dostarcza 80% energii Afryce Subsaharyjskiej. Ciągłe wzrasta też w Afryce i w świecie, szczególnie w Chinach, zapotrzebowanie na szlachetne gatunki drzew. Problemem zainteresowała się Unia Europejska. Nie jest jednak łatwo prowadzić badania na

miejsu, kiedy trzeba wycinać maczetą drogi i walczyć z naturalnymi przeciwnościami. Postawiono więc na kształcenie specjalistów lokalnych. W ostatniej dekadzie pod auspicjami CIFOR, UE i Uniwersytetu w Kisan-gani udało się wykształcić 220 specjalistów. Prowadzą oni badania nad reakcją drzew na zmiany klimatyczne i zajmują się ratowaniem afrormosii (*Pericopsis elata*), drzewa szlachetnego wykorzystywanego do budowy statków, mebli i trumien. Naukowcy pracują też nad ewentualnym rozszerzeniem oferty eksportu drzewa szlachetnego, aby nie koncentrował się on tylko na 10 gatunkach (70% eksportu drzewa szlachetnego), co zagraża ich istnieniu.

Jeszcze niedawno ci arboryści byli zmuszani do transportowania próbek drzew do Europy, aby tam je przebadac. Wielu zrezygnowało z dalszej pracy, bo brakowało sprzętu. Czasy na tyle się zmieniły, że w Yangambi powstało pierwsze w Afryce Subsaharyjskiej laboratorium biologii drzewa.

Lasy basenu rzeki Kongo stanowią 70% ogólnego zalesienia kontynentu i działają jako naturalny termostat dla regionu i świata. Pojęcie zrównoważonego rozwoju, które stało się tak powszechne w ostatnich dekadach, było używane w Niemczech już w XVIII w., w zakresie racjonalnego gospodarowania zasobami leśnymi. Pomysł na wykorzystywanie zasobów leśnych bez wyrządzania dżungli szkód nie jest więc nowy. Trzeba zrozumieć wielką rolę obszarów leśnych w życiu planety, co dla przeciętnego człowieka i polityków kierujących się celami krótkoterminowymi nie zawsze jest jasne. ■

Tomasz Skowronek

Kozy strażaczki

Portugalski rząd zapoczątkował hodowlę kóz, które mają zapobiegać rozprzestrzenianiu się ognia

Fernando Moura i jego stado nie wyglądają może jak bohaterowie, ale ten rolnik i stado jego 370 kóz to nowi rekruci w krajowej batalii przeciwko pożarom lasów, które każdego lata wybuchają w Portugalii. Rząd postanowił wynająć kozy, aby przeszły przez zarośla i stworzyły naturalne bariery ogniowe. Czworonożna brygada Moury jest częścią pilotażowego projektu rozpoczętego już rok temu i ma usunąć palne zarośla z niektórych głównych pasm górskich w kraju. Władze liczą na to, że „przeciwpożarowe kozy” pomogą ograniczyć rozprzestrzenianie się ognia z jednego lasu do drugiego o skutecznie powstrzymując pożary.

„Nigdy nie mieliśmy tak potężnych pożarów jak dzisiaj – tłumaczy Fernando Moura. – Kiedyś rolników było zdecydowanie więcej. Były nas setki, mieliśmy tysiące zwierząt. Teraz jestem jednym z ostatnich pasterzy w okolicy”. Moura ma 50 lat i przez całe życie pasł stado kóz w pobliżu Lorigi, w łańcuchu górskim Serra da Estrela. Codziennie o świcie wyrusza na wzgórze i wraca późną nocą, ponieważ, jak sam mówi, opieka nad

Portugalska policja niejednokrotnie znajdowała dowody na to, że kilkaset pożarów, które pustoszą Półwysep Iberyjski, wybuchło w następstwie celowego podłożenia ognia. Prawdopodobnie stoją za tym zorganizowane grupy przestępcze. Wśród zainteresowanych masowymi pożarami są też nieuczciwe firmy z branży papierniczej oraz meblarskiej. Drewno z pożarów nadaje się do wykorzystania w przemyśle, a przy tym jest bardzo tanie.

„Nieuporządkowana gospodarka leśna, opuszczone obszary wiejskie i skutki zmian klimatu tworzą mieszkankę wybuchową”, tłumaczy Adélia Nunes, ekspertka w dziedzinie geografii, i zwraca uwagę na to, że rozległe tereny zalesiono opłocalnymi, ale łatwopalnymi gatunkami roślin. Drzewa eukaliptusowe, pinie i krzewy, których liście nasyczone są olejkami eterycznymi, płoną szybciej

twierdzi portugalski minister spraw wewnętrznych Eduardo Cabrita.

Duże pożary wybuchły w lipcu tego roku na wschodzie kraju, w okolicach Vila de Rei w dystrykcie Castelo Branco. Od 20 do 24 lipca strażacy, wojsko i wolontariusze gasili ogromny pożar, który zajął ok. 8,5 tys. ha lasu. Ogień pojawił się w kilku miejscach, po czym błyskawicznie się rozprzestrzenił i zajął sąsiednie gminy. Rannych zostało łącznie 41 osób, w tym kilkanaście biorących udział w gaszeniu ognia.

Na szczęście pożar nie miał tak tragicznych skutków jak ten z 2017 r. – wówczas ogień wybuchł w połowie czerwca i spustoszył szczególnie dystrykt Leiria, 160 km na północ od Lizbony. Zginęły wtedy 64 osoby, a 204 zostały ranne. Silny wiatr szybko rozprzestrzenił płomień, które przecięły drogi i autostrady. Kierowcy znaleźli się w pułapce. Ludzie, którzy nie zdążyli uciec przed żywiołem albo znaleźli się przypadkiem w jego zasięgu, płonęli w samochodach. Jak twierdzą świadkowie tych tragicznych wydarzeń,

ogień przenosił się lekko jak motyl. „Zdaliśmy sobie sprawę, że musimy szukać nowych rozwiązań, aby zapobiec takim tragediom w przyszłości. Zapobieganie jest najpilniejszym wymogiem. Należy to zrobić jak najszybciej”, powiedział rok temu Miguel João de Freitas, wiceminister ds. lasów i rozwoju obszarów wiejskich.

Od tamtego tragicznego wydarzenia pomnożono liczbę strażaków. W sezonie pożarów w gotowości jest ich ponad 10,7 tys. – o tysiąc więcej niż w 2017 r. Znacznie zwiększono budżet przeznaczony na walkę z ogniem. W wioskach powstało więcej schronień i dróg ewakuacyjnych, a dzwony kościelne alarmują ludzi, gdy zbliża się niebezpieczeństwo. W ramach zapobiegania żywiołowi zdecydowano się zaangażować także „strażackie kozy”. Program pilotażowy został opracowany przez służbę leśną i kosztuje zaledwie kilka tysięcy

Kozy są w stanie dotrzeć do odległych, skalistych terenów. Na zboczach gór mogą być skuteczniejsze niż ludzie w spychaczach.

zwierzętami to praca 24 godziny na dobę. Wraz z żoną wytwarza także kozie sery dla pobliskich sklepów.

Przez następne pięć lat Moura i jego kozy będą mieć kolejne zadanie, a wręcz misję: mają wędrować po zboczach centralnego pasma Serra da Estrela i oczyścić 50 ha zarośli, aby stworzyć naturalne zapory ogniowe. Za swoją pracę rolnik otrzymuje 125 euro za każdy hektar rozliczony w pierwszym roku. Nie dość, że stał się pierwszą linią obrony Portugalii przed pożarami, to jeszcze uzyskał dodatkowy dochód.

Zmiany klimatyczne i społeczne przyczyniają się do coraz częstszych i poważniejszych pożarów w Portugalii. Z jednej strony, mamy do czynienia z ogromnymi upałami i suszami, które sprzyjają powstawaniu płomieni. Z drugiej – pożary wybuchają z powodu bezmyślności ludzi, a czasem w efekcie podpałów.

niż zapalka. Ekolodzy niejednokrotnie apelowali do władz o ograniczenie plantacji eukaliptusów, ale zbiory tej rośliny stanowią ważne źródło dochodu mieszkańców.

Tymczasem sytuacja w Portugalii pogarsza się z każdym rokiem. W XX w. sezon pożarów w tym kraju trwał od lipca do września, teraz zaczyna się w czerwcu i trwa do października. W latach 50. i 60. w Portugalii paliło się średnio 5 tys. ha rocznie – czyli w przybliżeniu około połowy powierzchni Lizbony, tymczasem w 2017 r. pożary strawiły ok. 550 tys. ha.

Według Komisji Europejskiej w ciągu ostatniej dekady Portugalia w wyniku pożarów straciła więcej lasów niż jakiegokolwiek inny kraj południowej Europy, wliczając Hiszpanię, Włochy i Grecję. „Warunki pogodowe i cechy naszych lasów powodują, że pożary na dużą skalę są nieuniknione”,

Fernando Moura i jego stado kóz to nowi rekruci w walce przeciwko letnim pożarom lasów w Portugalii.



euro. Do tej pory zarejestrowano ok. 50 pasterzy, którzy dysponują niemal 11 tys. kóz. To wystarczy na postawienie „koziej straży” na ok. 15 tys. ha, ale potrzeba dużo więcej.

Według portugalskich urzędników powrót kóz na wieś ma pomóc zminimalizować pożary, szczególnie w daleko położonych wioskach. Kozy są w stanie dotrzeć do odległych, skalistych terenów. Na zboczach gór nogą być skuteczniejsze niż ludzie w spychaczach. Poza tym żywią się lokalnymi, łatwopalnymi roślinami. „To najbardziej naturalna i opłacalna metoda”, twierdzi António Borges, dyrektor portugalskiego Instytutu Ochrony Przyrody i Lasów (ICNF). Pomysł, aby wykorzystywać zwierzęta do wal-

leśne zarosły, co sprzyja zaproszaniu i rozprzestrzenianiu się ognia. Na strome zbocza ciągnik nie wjedzie, ich ręczna pielęgnacja jest bardzo kosztowna, a na pewno trudna dla starzejących się mieszkańców. Porzucone pola łatwo padają pastwą płomieni.

Portugalskie prowincje od lat się wyludniają. Szkoły, przychodnie, instytucje i firmy w mniejszych miejscowościach są masowo zamykane. To m.in. dlatego Portugalczycy są otwarci na imigrantów i chętnie przyjmują uchodźców z Bliskiego Wschodu bądź z Wenezueli, licząc, że ci wspomogą regiony wiejskie. Natomiast rząd Portugalii zachęca do powrotu obywateli, którzy przebywają za granicą. Uruchomił nawet program zachęt do

pasterzy i leśników, którzy ożywiliby regiony wiejskie, gdzie jest za mało rąk do pracy.

Problem w tym, że nawet jeśli Portugalczycy zechcieliby wrócić, wielu z nich może wybrać życie w mieście, a nie na prowincji. „Bardzo trudno znaleźć ludzi chętnych do wykonywania tej ciężkiej pracy i zamieszkania na wsi”, mówi Nuno Sequeira, członek zarządu Instytutu Ochrony Przyrody i Lasów, odpowiedzialny za projekt „Kozy strażaczki”. Według niego trzeba próbować zmienić cały system: na różne sposoby zapobiegać powstawaniu pożarów oraz inwestować w gospodarkę leśną.

Nuno Sequeira nie ma wątpliwości, że pożary będą się powtarzać co roku i że będzie ich coraz więcej. Cieplesze europejskie lata oraz częstsze fale upałów będą powodować rozprzestrzenianie się ognia nie tylko w Portugalii, ale również w całej Europie. Jak podają raporty Komisji Europejskiej, tylko w 2017 r. na Starym Kontynencie, w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie pożary zniszczyły ponad 1,2 mln ha lasów i innych obszarów – to więcej, niż wynosi powierzchnia Cypru. Czas pokaże, czy kozy strażaczki zmniejszą te ponure statystyki. ■

Zwierzęta te żywią się lokalnymi, łatwopalnymi roślinami.

ki z ogniem, powstał już za rządów socjalisty José Sócratesa (premiera w latach 2005-2011), jednak z powodu braku środków i dymisji ówczesnego rządu zarzucono go. Obecnie rząd ma pieniądze, ale jest inny problem – brak rąk do pracy. Góryste regiony Portugalii są opustoszałe. Wielu ludzi wyjechało, w niektórych wioskach żyją tylko osoby starsze. Brak pasterzy, rolników i kóz spowodował, że ziemie

powrotu emigrantów, w ramach którego oferuje jednorazowo do 6,5 tys. euro oraz okresowe ulgi podatkowe. Objęci nim zostaną nie tylko obywatele Portugalii, ale też osoby, których przodkowie wywodzą się z tego kraju. Aby uzyskać te środki i przywileje, muszą oni m.in. podjąć stałą pracę. Władze najchętniej zatrudniłyby nowo przybyłych w branży turystycznej, usługowej oraz właśnie jako rolników,

Vitus B. Dröscher

Kot pod wulkanem

Czy zwierzęta potrafią przewidywać
klęski żywiołowe?

Jest 12 lutego 1976 r., dochodzi godz. 2. We wsi Nicolosi na południowych stokach sycylijskiego wulkanu Etna rodzina Leonforte śpi mocno w łóżkach. W nieoczekiwany sposób zostaje nagle obudzona ze snu. Siedem mieszkających w domu kotów zaczyna przenikliwie miauczeć. Drapią w drzwi i próbują wyskoczyć przez zamknięte okna, uderzając o szyby.

„Szybko! Uciekajmy z domu!” krzyczy ojciec Leonforte. Kilka sekund później zaczyna się trzęsienie ziemi. Wulkan obudził się znowu, domy drżą w posadach.

Wielu mieszkających na stokach Etny Sycylijczyków hoduje w domach całe kocie rodziny. Są przekonani, że zachowanie kotów może ich wystarczająco wcześniej ostrzec o zbliżającym się trzęsieniu ziemi. Czyżby koty rzeczywiście potrafiły przewidywać te klęski żywiołowe?

Jeszcze dziwniejsza rzecz zdarzyła się 27 listopada 1944 r. we Fryburgu Bryzgowijskim. Aż do tego dnia miasto zostało szczęśliwie oszczędzone przez alianckie ataki bombowe. Około godz. 20 mieszkańców pewnego domu starców ogarnęło poruszenie.

„Czy słyszycie kaczki pływające po naszym stawie?“, niepokoili się pewna dama. „Dziwne, zwykle dawno już śpią o tej porze!“, potwierdził obserwację starszy pan. „Kwaczą tak, jakby goniło je całe stado psów“, próbował tłumaczyć zachowanie kaczek inny pan. „Ależ przecież nie słysząc szczekania!“, irytowała się starsza pani. „Mam złe przeczucie. Może



Czy zwierzęta rzeczywiście są w stanie przewidywać nadejście katastrof? Istnieje na to dowód, pochodzący już z 1835 r., w postaci raportu brytyjskiego admirała sir Roberta Fitzroya: „Około godz. 10 niebo nad położonym na chilijskim wybrzeżu Oceanu Spokojnego miastem Concepción pociemniało od stad głośno

wersytetu Austral de Chile w Valdivii, niemiecki zoolog dr Ernst Kilian.

Jednym z problemów utrudniających jego badania jest fakt, że ich opis pochodzi od ludzi, którzy sami z powodu wstrząsów skorupy ziemskiej znajdowali się pod wpływem panicznego strachu, uniemożliwiającego obserwację. Sam dr Kilian, po przeżyciu głównego trzęsienia ziemi, które nawiedziło 22 maja 1960 r. miasto Valdivia, nie potrafił określić, czy był wówczas w stanie utrzymać się na nogach. W czasie kolejnego, słabszego trzęsienia ziemi mógł dokonać dokładniejszych pomiarów.

Pięć minut przed każdym wstrząsem hodowane w uniwersyteckiej stajni konie zaczynały rzeć i drżały na całym ciele. Bażant sygnalizował kolejne wstrząsy głośnym gdakaniem 10 sekund wcześniej, zanim ich wystąpienie byli w stanie odczuć ludzie. Najlżejsze drgania, niewyczuwalne dla naszego badacza, psy odbierały tak silnie, że całe miasto rozbrzmie-

We wrażliwości na wstrząsy tektoniczne prym wiodą ryby.

się stać coś strasznego. Zejdźmy na wszelki wypadek do schronu”.

Tuż po wejściu mieszkańców domu starców do schronu przeciwniejszego zawył syreny alarmowe. Ich ryk przerwał wkrótce odgłos pierwszych bomb nalotu dywanowego. Zginęło ponad 3 tys. osób. Jedna z pierwszych bomb burzących całkowicie zniszczyła dom starców. Zginęły też wszystkie pływające po stawie kaczki, ale mieszkańcy domu przeżyli.

krzyczących ptaków morskich. Około 11.30 z domów uciekły psy. Dziesięć minut później trzęsienie ziemi zniszczyło miasto”.

Od tego czasu po każdym trzęsieniu ziemi donoszono (niestety – częściej po nim niż przed), że przed wystąpieniem tego kataklizmu konie drżały, psy w dziwny sposób zaczynały szczekać, a kury biegały w panice tam i z powrotem.

Od niedawna śledzeniem tych zjawisk zajmuje się wykładowca uni-

wało ich trwającym wiele minut skomleniem i skowytem. Natomiast owce, kury i trzy pумы w klatkach okazały się wyjątkowo niewrażliwe na to, co się działo.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że niektóre kraby poruszające się po odstoniętym przez wodę w czasie odpływu łądzie są w stanie odbierać odnóżami drgania wywołane spadającym w odległości 3 m na ziemię zeschniętym liściem, że mrówki potrafią z odległości 20 cm odbierać „hałas” spowodowany krokami swoich współtowarzyszek z mrowiska, to nie powinniśmy się dziwić, że i inne zwierzęta mogą postrzegać ledwie dostrzegalne drgania poprzedzające każde trzęsienie ziemi, całkowicie nieodczuwalne dla ludzi.

W przypadku mrówek zdolność do odbierania tego typu bodźców może mieć istotne znaczenie ratujące ich życie. Radzieccy naukowcy zaobserwowali w czasie trzęsienia ziemi w Taszkencie w 1966 r., że już godzinę przed pierwszym wstrząsem miliardy mrówek opuściły podziemne schronienia. Gdyby trzęsienie ziemi zaskoczyło je pod ziemią, nie miałyby szansy na przeżycie.

We wrażliwości na wstrząsy tektoniczne prym wiodą ryby. W 1976 r. w czasie trzęsienia ziemi w północno-włoskiej prowincji Friuli w oddalonym o 170 km na północ austriackim jeziorze Achensee zginęły niezliczone ilości siei, pstrągów i strzebli. Przyczyną ich śmierci były wywołane odległym trzęsieniem ziemi fale rozchodzące się w głębi wód jeziora i powodujące pękanie ich pęcherzy pławnych.

W związku z tym ryby żyjące w okolicach, w których często występują trzęsienia ziemi, są wyposażone w delikatne błony pozwalające na wyczuwanie wstrząsów o natężeniu dziesięciokrotnie mniejszym niż najsłabsze drgania skorupy ziemskiej rejestrowane za pomocą sejsmografów i w ten sposób uchwytnie dla człowieka. Są to przede wszystkim sumiki karłowate i tzw. sumiki kocie, żyjące w Chinach i Japonii. Gdy te ryby odczuwają pierwsze, niezwykle słabe wstrząsy, natychmiast wypływają z dna na powierzchnię wody, gdzie powstałe wskutek trzęsienia ziemi fale nie są im w stanie tak bardzo zaszkodzić jak w głębinach.

W 1975 r. chińskim naukowcom udało się na podstawie zachowania trzymany w specjalnym akwarium sumików po raz pierwszy w porę przepowiedzieć wystąpienie trzęsienia ziemi na położonym w północno-wschodniej części kraju półwyspie Liaotung. Pozwoliło to uratować wiele istnień ludzkich.

W podobny sposób możemy spróbować wytłumaczyć zdolność sygnalizowania trzęsień ziemi, jaką mają żyjące na stokach Etny koty. Oczywiście jest, że zwierzęta te nie dysponują zdolnością jasnowidzenia. Ich opuszki łap są za to w stanie odbierać najłżejsze, ledwie wyczuwalne drgania. Zdolność ta służyła głównie do rejestrowania drgań powodowanych przez biegające nocą w ciemności myszy. Nic więc dziwnego,

Konie pięć minut przed każdym wstrząsem zaczynały rzeć i drząły na całym ciele.

że mogą one także odbierać ledwo wyczuwalne wstrząsy poprzedzające zwykle właściwe trzęsienie ziemi. Jeśli dodać do tego doświadczenia, nabyte w czasie zamieszkiwania w okolicy nawiedzanej przez wstrząsy tektoniczne, które mówią zwierzętom, co te drgania zwiastują, nikogo nie będzie dziwić, że próbują one w panice uciekać z domów, dając tym samym także ludziom sygnał o zbliżającej się katastrofie.

Tym, czym dla mieszkających na stokach Etny są koty, były niegdyś dla pracujących pod ziemią górników szczury. Mieszkający w Herne w Zagłębiu Ruhry sztygar Werner Katschinsky opowiada: „Już jakiś czas przedtem, zanim my, górnicy, zauważyliśmy, że chodnik może ulec zasypaniu, szczury wybiegały ze swych nor i głośno piszczały, biegały jak oszalałe tam i z powrotem. Dla nas wszystkich był to sygnał, że należy jak najszybciej opuścić chodnik. Ponieważ szczury kopalniane w ten sposób ratowały nam niejednokrotnie życie, lubiliśmy je i zawsze karmiliśmy”.

Graniczące z legendą są opowieści o „wrożeńbnych” zdolnościach szczurów opuszczających okręt, któremu grozi zatonięcie. Fakty wskazują, że do tej pory szczury opuszczały w ostatnim porcie tylko te statki, które były tak stare i zniszczone, że w czasie najbliższego sztormu za-

czynały przeciekać i tonęły. Nigdy nie zdarzyło się, by szczury uciekły ze statku w pełni sprawnego, który wkrótce potem rozbił się na rafach, wpadł na mieliznę albo zatonął w wyniku zderzenia z inną jednostką pływającą. W tych ostatnich przypadkach „wrożeńbne” zdolności szczurów jakoś zawsze zawodziły.

Gryzonie, zgodnie z naturą swego gatunku zamieszkujące podziemne nory, przebywają zwykle w najniższej położonych pomieszczeniach statku, w niedostępnej z reguły dla ludzi części. Zbierają się tutaj: pochodząca z kondensacji pary pod pokładem woda, resztki oleju, odpadki i nieczystości. Dzieje się tak w każdym razie na statkach zaniedbanych, w złym stanie technicznym. Tu właśnie szczury zakładają gniazda.

Z tego samego powodu szczury wcześniej niż ludzie zauważają, że do wnętrza statku przez szczeliny zaczyna się przedostawać słona woda morska. Woda zalewa gniazda, sól zaczyna drażnić im stopy i wyżerać futro, a zwierzęta, które piją słoną wodę, zaczynają szaleć z pragnienia. (...) Kiedy w takiej sytuacji zwiadowcy doniosą o wynikającej z zawinięcia do portu możliwości opuszczenia tego istnego piekła, nic już nie może powstrzymać szczurów przed zbiorową ucieczką ze statku. Następuje exodus, a statek najczęściej tonie w czasie najbliższego rejsu.

Zupełnie inna sytuacja zaistniała w przypadku kaczek z Fryburga. Czy usłyszały one już z daleka warkot nadlatujących bombowców? Czy może znajdowały się wśród nich osobniki przybyłe z innych miast, które przeżyły już bombardowania i zostały nauczone, co oznacza warkot silników? Tego nie wiemy.

A może odegrały tu rolę „rzeczy na niebie i na ziemi, o których się naszym filozofom nie śniło”?

Fragment książki
Vitusa B. Dröschera
Ludzkie oblicze zwierząt,
przekład Andrzej Guzek,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2019



Względność zabiegu chirurgicznego: Albert Einstein

Arnold van de Laar

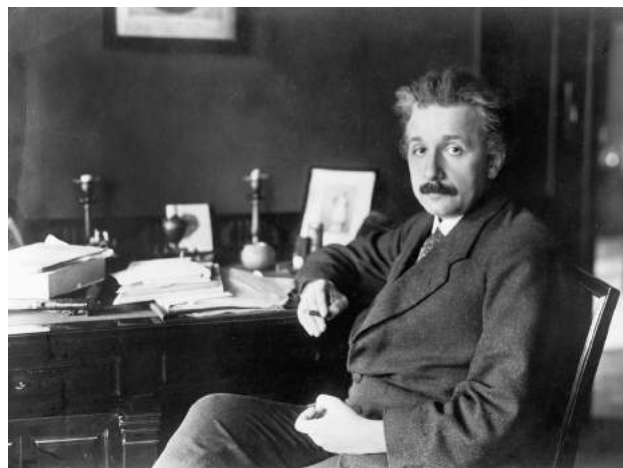
Einstein miał 26 lat, kiedy w 1905 r. przedstawił teorię względności. (...) Najślawniejsza formuła wszech czasów, $E = mc^2$, była tylko wnioskiem wynikającym z tej teorii. Albert był Żydem. Wkrótce potem w Europie zaczął się szerzyć faszyzm i otwartość antysemityzm. W 1933 r., kiedy w Niemczech doszło do władzy NSDAP i naziści zaczęli panować nad wszystkim, dwóch wspaniałych żydowskich uczonych opuściło ojczyznę. Albert Einstein na dobre rozstał się z Niemcami. Otrzymał dobrą propozycję pracy na Uniwersytecie Princeton w New Jersey i prędko tam się przeniósł. W tym samym roku wyjechał z Niemiec znakomity chirurg Rudolf Nissen. Do Stambułu.

Nissen nie był tak sławny jak Einstein, ale wśród chirurgów cieszył się dużym poważaniem. W chirurgii jest przede wszystkim znany z operacji, którą opracowywał przez lata, a która nosi jego nazwę: fundoplikacja Nissena. Jest to elegancki zabieg chirurgiczny refluksu żołądkowo-przełykowego, czyli przedostawania się zawartości żołądka do przełyku (...). Nissen jest nierozłącznie kojarzony z „operacją Nissena”, ale jako chirurg znaczył o wiele więcej. (...) Po wybuchu II wojny światowej on również emigrował do Ameryki (...). Tam w 1948 r. spotkał swojego najślawniejszego pacjenta, profesora z Princeton, Alberta Einsteina, który miał wtedy 69 lat. Einstein nigdy nie miał kłopotów ze zdrowiem, choć przez całe życie palił fajkę, a przez kilka ostatnich lat przybrał na wadze. Nigdy nie uprawiał żadnego sportu i był znany z zamyślenia do niezdrowej diety. Poprosił Nissena o konsultację, ponieważ kilka razy do roku odczuwał w górnej części brzucha po prawej stronie silny ból, który trwał kilka dni i najczęściej łączył się z wymiotami. Takie objawy pasowały do kamieni w pęcherzyku żółciowym. Do triady kolek pęcherzyka żółciowego należał ból w górnej części brzucha,

skłonność do wymiotów i pobudzenie ruchowe. W ostatnim czasie jednak, kiedy znowu złapał go taki napad bólu, Einstein zemdlął w łazience swojego domu w Princeton. To już nie był objaw typowy dla kamicy pęcherzyka żółciowego. Ponadto na zdjęciach rentgenowskich nie znaleziono żadnych kamieni w pęcherzyku. W badaniu fizycznym Nissen stwierdził ból uciskowy w górnej części brzucha, ale wyczuł także pulsującą masę pośrodku brzucha. Obawiał się, że może to być tętniak aorty brzusznej, więc zasugerował Einsteinowi operację. Jego wypadek w łazience, nagły ból i omdlenie, pasował do objawów tego tętniaka. Bez operacji pacjentowi groziła szybka śmierć.

W obecnych czasach jest to standardowa operacja, przynosząca dobre rezultaty i z akceptowalnym ryzykiem, szczególnie u stosunkowo młodego pacjenta w wieku 69 lat. Wymaga wszakże spełnienia dwóch warunków, które w 1948 r. były niewykonalne. Po pierwsze, operację trzeba przygotować na podstawie zdjęć rentgenowskich, żeby ustalić rozmiar (średnicę), zakres (długość) oraz położenie tętniaka względem innych tętnic, a także nerek. Teraz odbywa się to za pomocą tomografii komputerowej z kontrastem oraz ultrasonografii, ale te techniki były jeszcze wówczas nieznane. Nissen musiałby więc opracować plan operacji w trakcie zabiegu, otworzyć brzuch i obejrzeć tętniaka. Po drugie, chirurg miał właściwie niewiele do zaoferowania. Pierwsza udana operacja wymiany aorty została wykonana dopiero w 1951 r. przez chirurga Dubosta w Paryżu. Wykorzystano w niej do przeszczepu fragment aorty z ciała zmarłego dawcy.

W 1948 r. te techniki nie były jeszcze znane. Przy pęknięciu tętniaka można było podwiązać aortę, żeby uratować życie pacjenta, ale w ten sposób odcinano całkowicie

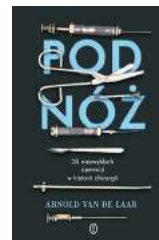


dopływ krwi do nóg, które obumierały. Einstein nie mógł zaakceptować tak strasznych efektów ubocznych, ponieważ wydawało się, że życiu profesora nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

W grudniu tego roku Nissen wykonał operację brzucha Einsteina. Natrafił w nim na całkowicie normalny pęcherzyk żółciowy, bez kamieni. Poza tym rzeczywiście znalazł tętniaka, wielkiego jak grapefruit, ale bez pęknięć. Nissen zastosował eksperymentalną technikę. Owinął go w celofan, tę samą przezroczystą plastikową folię, jaką owijają się cukierki, chleb i cygara. Spodziewano się, że jest to ciało obce, ale całkowicie rozpuszczalne, więc może wywołać reakcję ciała i wokół celofanu zaczną się tworzyć tkanki bliznowe, które wzmocnią nadwerżoną ściankę aorty. W ten sposób nagłe pęknięcie tętniaka można było odsunąć w czasie.

Einstein szybko wyzdrowiał po operacji i opuścił szpital po trzech tygodniach. Nissen wrócił do Europy w 1952 r. i został profesorem chirurgii w Bazylei.

Fragment książki Arnolda van de Laara *Pod nóż. 28 niezwykłych operacji w historii chirurgii*, przekład Małgorzata Diederer-Woźniak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019



Nowa tuba

Będziemy mieli niedługo jeszcze jedną instytucję do głoszenia w świecie pisowskich prawd. Ma nią być PISM, czyli Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, a konkretnie jego oddziały zagraniczne.

Do tej pory PISM był związanym z MSZ ośrodkiem prac naukowych i analiz, który miał dostarczać ministerstwu ekspertyzy i opinie. Okazało się, że to za mało, że PiS potrzebuje propagandowego wsparcia.

Wyjaśniał to w Sejmie w sposób zupełnie otwarty dyrektor PISM Sławomir Dębski, tłumacząc, dlaczego instytut chce otwierać ośrodki za granicą, na początku w Brukseli i w Waszyngtonie, i jakie będą one pełniły funkcje:

„Funkcja dwóch ośrodków zagranicznych instytutu ma być dwójaka. Po pierwsze, szybsze reagowanie polskich ekspertów na przebieg debaty eksperckiej w środowiskach zagranicznych. Po drugie, nasycenie polską kompetencją ekspercką debat w Brukseli i Waszyngtonie. Chodzi o to, żeby polski głos też miał prawo i mógł wybrzmieć, a polskie argumenty i polski punkt widzenia były dostrzegane. Dwa przykłady z ostatnich kilkunastu miesięcy, które myślę, że były jednym z głównych czynników, które sprawiły, iż podjęto decyzję o zwiększeniu budżetu PISM na 2019 r. Pierwsza to kwestia Nord Stream 2 – gazociągu północnego, która była bardzo silnie debatowana w debacie eksperckiej zarówno w Brukseli, jak i w Waszyngtonie. Proszę państwa, niemieckie instytucje eksperckie różnego rodzaju są bardzo obecne zarówno w Brukseli, jak i w Waszyngtonie. To są instytucje często powiązane z partiami politycznymi. Jak wiadomo, system niemiecki funkcjonuje w specyficzny sposób. Podobnie jeśli chodzi o system stypendiów fundowanych w różnych instytucjach ame-

rykańskich. Głosy i argumentacja strony niemieckiej uzyskiwały dodatkowe wsparcie ze strony ośrodków eksperckich, analitycznych. Brakowało polskiego głosu w tych gremiach. Staraliśmy się reagować z doskoku, ale potrzebujemy silniejszego instrumentu. Druga rzecz to stała obecność wojsk amerykańskich w Polsce. To kolejny element, który był silnie obecny w debacie amerykańskiej. Próbowaliśmy coś z tym zrobić. Moim zdaniem skutecznie, ale na dłuższą metę takie prowizorki nie mają przyszłości”.

Wiemy już więc, że PISM będzie wysyłać swoich analityków do Waszyngtonu i do Brukseli nie po to, by się rozwijali, by doskonalili umiejętności, tylko po to, by wspierali dyplomatów w ich działaniach. Do propagandy. Pracując w kręgu instytucji naukowych, think tanków itd.

To dość naiwna wiara. Bierze się ona głównie z konstatacji, że obecne MSZ i instytucje propagandowe państwa, takie jak Polska Fundacja Narodowa, nie dają rady, nie potrafią przekonać Zachodu do polityki PiS. Owszem, tak właśnie jest. Pisowscy dyplomaci są w zachodnich instytucjach ignorowani. Ale wynika to przede wszystkim z tego, że polityka PiS jest niezachodnia. Jednak ludzie PiS tego nie rozumieją, ich zdaniem to skutek tego, że za mało świat przekonujemy.

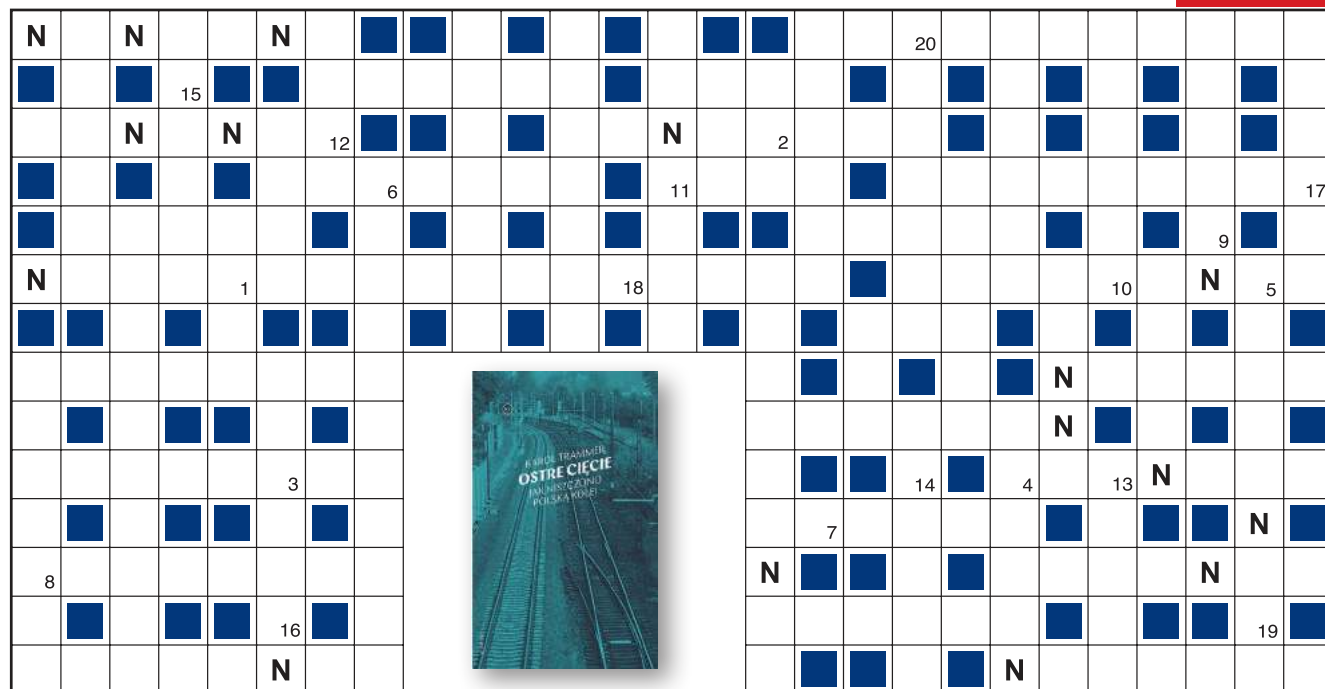
Dlatego ma być kolejne narzędzie – ekspert z placówki PISM w Brukseli lub w Waszyngtonie. Taki człowiek będzie na miejscu, natychmiast zabierze głos i zostanie wysłuchany.

Tak oto rodzą się nam kolejne synekury, tym razem okołonaukowe. Państwo polskie jest bogate. Za propagandę zapłaci.

Attaché

Pomnik Niszczenia Przyrody – podczas happeningu zwracającego uwagę na wyrąb Puszczy Karpackiej przed Teatrem Powszechnym w Warszawie został ustawiony pień jodły z terenów objętych wycinką.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- tkanina ze stolicą Syrii w nazwie
- ulotka propagandowa
- przedstawicielka firmy zbierająca zamówienia
- koszyki w Siczy Zaporoskiej
- powszechne uznanie, cześć, chluba
- opowiadany, by rozba-
wić towarzystwo
- Złota... – lekkoatletka Krzesińska
- były pod pieczęć Mariana Banasia
- bieg w wyścigach konnych lub pogoń
- jego ojciec zbudował labirynt
- wynik działania z mnożną
- chroni most przed krą
- lodowcowy lub wywie-
szony u zmęczonego
- gorzkie żale po gorzale (według fraszkopisarza)
- zawód Jana Serce
- żurawina dla Kaszuba i Rosjanina, też *razwie-
sistają* ironicznie
- rodaczka Kim Dzong Una
- płynąca tafla lodu
- piękno, uroda
- sówka, która może zabo-
leć
- pasza dla bydła z zakiszonych roślin
- ryba na skumbrię
- smarowanie lub bazgranie
- zamęt, galimatias
- z drobnych, koloro-
wych kawałków szkła,
kamieni
- lękowa albo natrętna
- sąsiadka zza Odry
- ...społeczna zwalczana
przez rewolucjonistów
- niedorzeczność,
absurd
- bezmiar słonej wody
- wieloskrzydłowy – to
polityk
- powstają przy obróbce
metal
- zwisty wśród roślin
ruderalnych
- u nas w „Shreku”
z głosem Jerzego
Stuhra
- w nim fotka żony
i nieco mamony
- bywa formy nad treścią
- ...dźwięku – pracuje
w studiu nagraniowym
- poprawia fotografie
- sieć na ryby
w kształcie worka
- Pan... u Nienackiego
- jazda jak w „Elegii
śnieżnej”
- trwale łączy
kawałki metalu
- rodak jelcza
- rzecz sprzed wielu lat
- dzierżyć go to rządzić
- tymczasowe schronie-
nie z gałęzi
- rozbijany o burtę
podczas chrztu statku
- w dołku lub dłoni
- funkcjonariusz
incognito
- może uprawiać *zapping*
- i krzeska, i tomahawk
- pojazd i gruba,
gumowa podeszwa
- jak ona, to do Boga
- surowe ciasto z po-
średniego wypieku
dodawane do chleba

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-925”. Do rozlosowania książki „Ostre cięcie” ufun-
dowane przez Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Rozwiązanie można wy-
słać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓW-
KI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko
litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające
rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych
osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN
+ VAT) do 15 września 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-922” z 25 sierpnia: Konformizm trudno leczyć.
Nagrody otrzymują: Ewa Klimczak z Warszawy, Zdzisław Pietruk
z Międzyrzecza Podlaskiego, Justyna Zwolińska z Warszawy.

PENETRACJE

INDEKS PROF. STANISŁAW NICIEJA, HISTORYK

Dla pragmatyków ceniących u polityków kompromis, nierozdzielających włosa na czworo, i tych, którzy uważają, że w polityce liczy się tylko efekt końcowy i aby osiągnąć cel, każdy chwyt jest dozwolony, chłodno kalkulujących i zwalczających programowo hasło „Ja z synowcem na czele i – jakoś to będzie!”, Berling zawsze będzie miał miejsce w pantheonie bohaterów narodowych. Dotychczas najbardziej wszechstronną i umiarkowaną w ocenach biografię gen. Zygmunta Berlinga napisał u schyłku XX w. Stanisław Jaczyński, który nadał swojej książce podtytuł „Między sławą a potępieniem”.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA PROF. STEPHEN SESTANOVICH, UNIwersytet COLUMBIA

USA od lat ograniczają swoją obecność wojskową w Europie. Jedyńm sposobem na to, żeby odwrócić obecną sytuację, nie jest jednak tworzenie Fortu Trumpa. Czy on powstanie, czy nie, problem bezpieczeństwa Europy pozostanie. Stała baza nie jest żadnym rozwiązaniem. Od dłuższego czasu przeżywamy w Ameryce coś na kształt narodowego załamania nerwowego. Przypuszczam, że jeśli w przyszłym roku wygra demokracja, będzie on się starał odwrócić wszystkie „dokonania”

Trumpa. Sądzę, że jego następca przyjmie zasadę „rób wszystko odwrotnie niż Trump”. I myślę, że cały świat odcznie wtedy z ulgą. Oczywiście państwa, które należały do największych entuzjastów Trumpa, będą musiały na nowo przemyśleć swoją politykę.

PANI XAWERY ŻUŁAWSKI, SYN MAŁGORZATY BRAUNEK I ANDRZEJA ŻUŁAWSKIEGO, REŻYSER

Myślę, że ojciec musiał odczuwać wielki lęk. Buntował się przeciw temu, że śmierć jest poza jego kontrolą. Bo jeśli był w stanie panować nad całym swoim życiem i robić filmy, co też jest formą kontroli, to potem trudno odpuścić. Ojciec zawsze uważał się za człowieka wolnego, więc nie mógł z tym się pogodzić. Ale i tak umarł po swojemu, na własnych zasadach. Nie poddał się leczeniu, nie walczył. Pozostał sobie wierny, bo zawsze uważał, że lekarze nie znają się na niczym poza tym, jak uśmierzyć ból. I że wyrok „rak” nikt nie przeżywa. Więc stwierdził: „To koniec? No dobra, no to cześć”. Zadzwoił do mnie i powiedział: „Słuchaj, wygląda na to, że za cztery miesiące umrę. Ale spokojnie, to sporo czasu, zdążymy jeszcze się nagadać”. Więc rozmawialiśmy o różnych rzeczach: głupich, strasznych, śmiesznych. On wziął swoją śmierć na klatę.

Aby język giętki...

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O OBSZARZE EURO

Polska przystąpi do strefy euro w drugiej połowie dekady 2020.

JAROSŁAW FLIS O DONALDZIE TUSKU

Schetyna sam się władzy nie pozabawi, bo Tusk stworzył partię, w której nikt szefowi nie podskoczy.

JERZY URBAN O KAMPANII WYBORCZEJ

Wolę Kukiza, gdy przemawia, niż gdy śpiewa. Z Dudą mam odwrotnie.

LUDWIK DORN O SĘDZIACH HEJTERACH

To jest banda głupawych meneli z mentalnością nastolatków. Ot, amatorzy, rozhisteryzowane polityczne półgłówki.

AGATA BUZEK O NIEZGODZIE

Jest czasami ostatnią bronią, która nam pozostaje. Ostatnią ludzką reakcją.

PROF. RAFAŁ PANKOWSKI O BANALIZACJI PAMIĘCI

Czas skończyć z banalizacją pamięci o powstaniu i bezrefleksyjnym wykorzystywaniem go w popkulturze.

JULIA WIENIAWA O SPONSORINGU

Nie mówi się o tym głośno, ale dużo młodych dziewczyn ma swoich sponsorów. Niektóre z pobudek czysto finansowych, bo to są łatwe pieniądze. Inne z powodu trudnej sytuacji życiowej.

KUBA WOJEWÓDZKI O WIZERUNKU MAŁGORZATY ROZENEK

Są trzy rzeczy, które nigdy nie kłamią: dziecko, pijak i legginsy.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O PLANACH

Cały czas planuję, że zacznę gotować. To dobry plan, nie mogę się doczekać jego realizacji.

PASCAL BRODICKI O PRÓBOWANYCH SMAKACH

Jadłem stuletnie jajko, części bawołu fermentowane w ziemi, zieloną kiełbasę zrobioną z bawolego jelita, jądra barana, owoc duriana i rybę espada.

BEATA KOZIDRAK O PIEGACH

Jako mała dziewczynka byłem potwornie piegowata. Gdy mój przyszły mąż pokochał piegi, przestałem o tym myśleć.



Mobilna kwiatarnia – na ulicach Hanoi rowerami nadal transportuje się prawie wszystko.

FOT. AFP/EAST NEWS

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Palenie jak przemoc domowa

W Tajlandii wprowadzono nowe przepisy mające chronić obywateli, zwłaszcza najmłodszych, przed skutkami biernego wdychania dymu papierosowego. Choć palenie we własnym mieszkaniu nie zostało zakazane, współdomownicy mogą odtąd składać w lokalnych ośrodkach ochrony rodzin skargi na „napaść za pośrednictwem dymu”. W odpowiedzi sąd karny lub rodzinny ma możliwość wydania zakazu palenia w domu lub nawet skierowania palacza na odwyk. Czekamy, aż w Polsce ktoś zgłosi podobny pomysł. Ale będzie dym!

Nowe oblicze przestępczości

Policja z Sugar Land w Teksasie poszukuje kobiety, która przy użyciu ciężkiego sprzętu włamała się do kliniki medycyny estetycznej i ukradła sporą ilość produktów odmładzających. Za pomoc w ujęciu przestępczyni, której walkę z drzwiami Botox RN MD Spa zarejestrowały kamery przemysłowe, wyznaczono nagrodę. Jest tylko jeden problem: zapewne już nie wygląda tak jak na nagraniu.

Powąchaj, zanim się zatrudnisz

Helsiński oddział międzynarodowej agencji reklamowej Mirum przygotował limitowaną edycję perfum, w skład których wchodzi m.in. pot jego pracowników. Stworzenie zapachu Creative Essence jest częścią kampanii rekrutacyjnej firmy: będzie ona wysyłać flakonik do wybranych osób, które złożą CV, wraz z zaproszeniem na rozmowę. Jak przekonuje przedstawicielka agencji Lili Ermezei, zapach oddaje pasję jej kadry. – To podekscytowanie, gęsia

MEMY BEZ ŚCIEMY



skórka. Chwile, w których serce przyśpiesza w trakcie procesu kreatywnego wymagającego poświęcenia i pracy zespołowej – wyjaśnia.

Amory dla natury

Portal erotyczny Pornhub, który wcześniej podejmował działania m.in. na rzecz ochrony pszczoł, nie pozostaje obojętny także na problem zanieczyszczenia oceanów plastikiem. Serwis nakręcił i udostępnił film pornograficzny, którego akcja rozgrywa się na zaśmieconej plaży. Za każde wyświetlenie wspomnianego wideo przekaze darowiznę na rzecz organizacji Ocean Polymers, zajmującej się oczyszczaniem wód z tworzyw sztucznych.

Kibic nie zawsze znaczy to samo

Firma Selectivv, specjalizująca się w analizie danych ze smartfonów i tabletów, przyjrzała się aż 128 342 osobom, które odwiedziły stadiony Ekstraklasy. Okazało się, że wśród fanów i ferek polskiego futbolu korzystających z aplikacji randkowych aż 7,44% używało tych przeznaczonych dla osób LGBT. Liderami są tu kibicki i kibice dwóch wielkomiejskich klubów – Wisły Kraków (16,75%) i Legii Warszawa (16,45%), na drugim biegunie zaś znajdują się zwolennicy i zwolenniczki Wisły Płock, Miedzi Legnica oraz Zagłębia Lubin i Zagłębia Sosnowiec (4,75%).





Pieskie życie? Niekoniecznie. Ekskluzywny kombinezon suszarka działa szybciej niż tradycyjne wycieranie ręcznikiem.

Make Pluto Great Again

Szef NASA Jim Bridenstine, niedawno powołany na stanowisko przez Donalda Trumpa, w interesujący sposób uzasadnił, dlaczego Pluton powinien ponownie otrzymać status planety. Przypomnijmy, że został mu on odebrany przez Międzynarodową Unię Astronomiczną w 2006 r. w związku ze zmianą obowiązujących definicji. – Moim zdaniem Pluton jest planetą. Tak, możecie mnie cytować. Administrator NASA ogłosił, że Pluton jest planetą. Trzymam się tego, czego mnie nauczono i jestem w to w pełni zaangażowany – zadeklarował Bridenstine w rozmowie z dziennikarzami. Warto przypomnieć, że Pluton był jedyną planetą odkrytą przez obywatela USA.

Nauka poszła w las

16-letni wideoblogger z północnej Rosji zamierzał nauczyć widzów, jak się nie zgubić w tajdze. Pojechał rowerem do pobliskiego lasu, zaparkował pod bramą lokalnego cmentarza i ruszył w ostępy. Kręcenie filmu szło znakomicie aż do momentu, w którym nastolatek zdał sobie sprawę, że nie umie określić swojego położenia. Pretendent do roli wykładowcy survivalu wcielił wówczas w życie plan B, czyli zadzwonił po rodziców, którzy wezwali na pomoc straż pożarną. Podobno trik z telefonem do mamy działa także w tundrze i w dużych centrach handlowych.



FOT. AFP/EAST NEWS (2), SEKCJAGIMINASTYCZNA, MEMYTUTAJ (2)



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

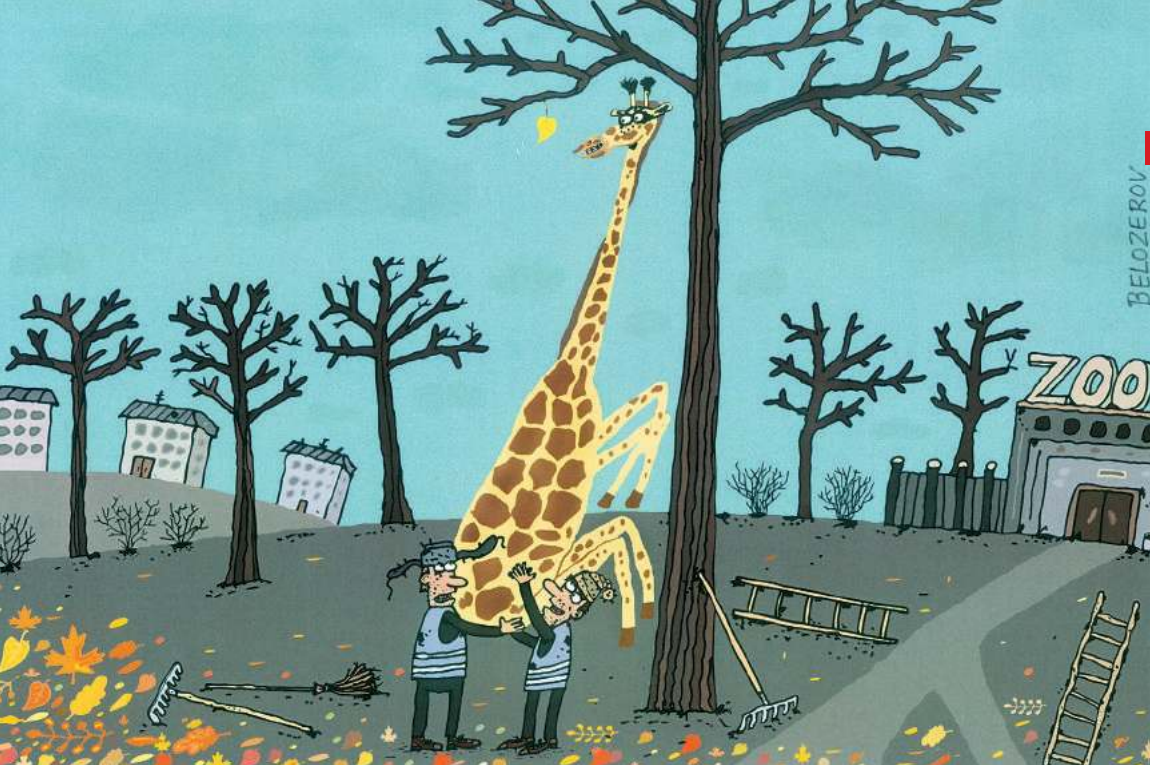


PATRONAT PRZEGLĄDU



SATYRYKON

– LEGNICA 2019



III nagroda, brązowy medal SATYRA i ŻART – SERGEI BELOZEROV „Ostatni liść”



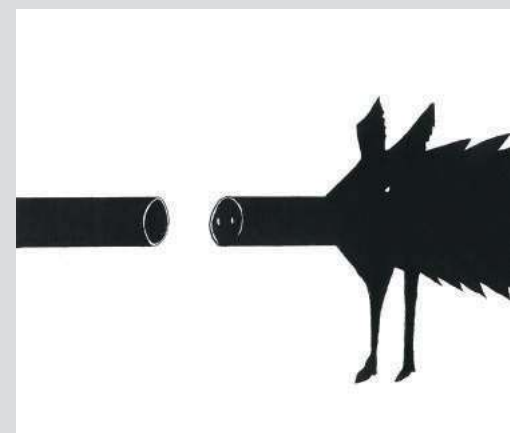
III nagroda, brązowy medal
– NIKA JAWOROWSKA-
-DUCHLIŃSKA „Kiecka”



Grand Prix – SEYED ALI MIRAEI
„Komuniści”

SATYRYKON to konkurs otwarty dla rysowników, grafików, malarzy, rzeźbiarzy, plakacistów i fotografików, organizowany przez Legnickie Centrum Kultury wspólnie z Fundacją Kulturalno-Społeczną Satyrykon. W Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego odbywa się zaś warszawska prezentacja najlepszych prac z 42. edycji, ponad 100 rysunków wybranych przez jury w dwóch kategoriach: STOP oraz SATYRA i ŻART.

Muzeum Karykatury
Warszawa, ul. Kozia 11
wernisaż 12 września
wystawa trwa
od 13 września
do 11 listopada



MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE ZAPRASZA NA KONFERENCJE NAUKOWE:

I. SAMORZĄD – KULTURA – EUROPA (25 KWIETNIA 2019)

II. SAMORZĄD, MARKETING TERYTORIALNY A MEDIA (14 CZERWCA 2019)

III. SAMORZĄDOWE INSTYTUCJE KULTURY
WOBEĆ WYZWAŃ WSPÓŁCZESNOŚCI (12 WRZEŚNIA 2019)

IV. HISTORIA SAMORZĄDU W POLSCE (9 PAŹDZIERNIKA 2019)

20^{lat}.

Samorządu
Województwa
Mazowieckiego



z cyklu

SAMORZĄD MECENASEM KULTURY

SALA AUDIOWIZUALNA IM. KAROLA BEYERA
MUZEUM X PAWILONU CYTADELI WARSZAWSKIEJ
UL. SKAZAŃCÓW 25, 01-532 WARSZAWA

22 826 90 91; sekretariat@muzeumniepodleglosci.art.pl

Patroni medialni



Myśl Polska

HISTORIA

HISTORIA

naszemiasto.

POLSKA

HISTORIA

STOLICA

Organizatorzy



20^{lat} Mazowsze

Patronat honorowy



Adam Strzicki
Marszałek
Województwa
Mazowieckiego



Ewa Malinowska-Grupińska
Przewodnicząca Rady
m. st. Warszawy

Partnerzy



Idiuna



WNG

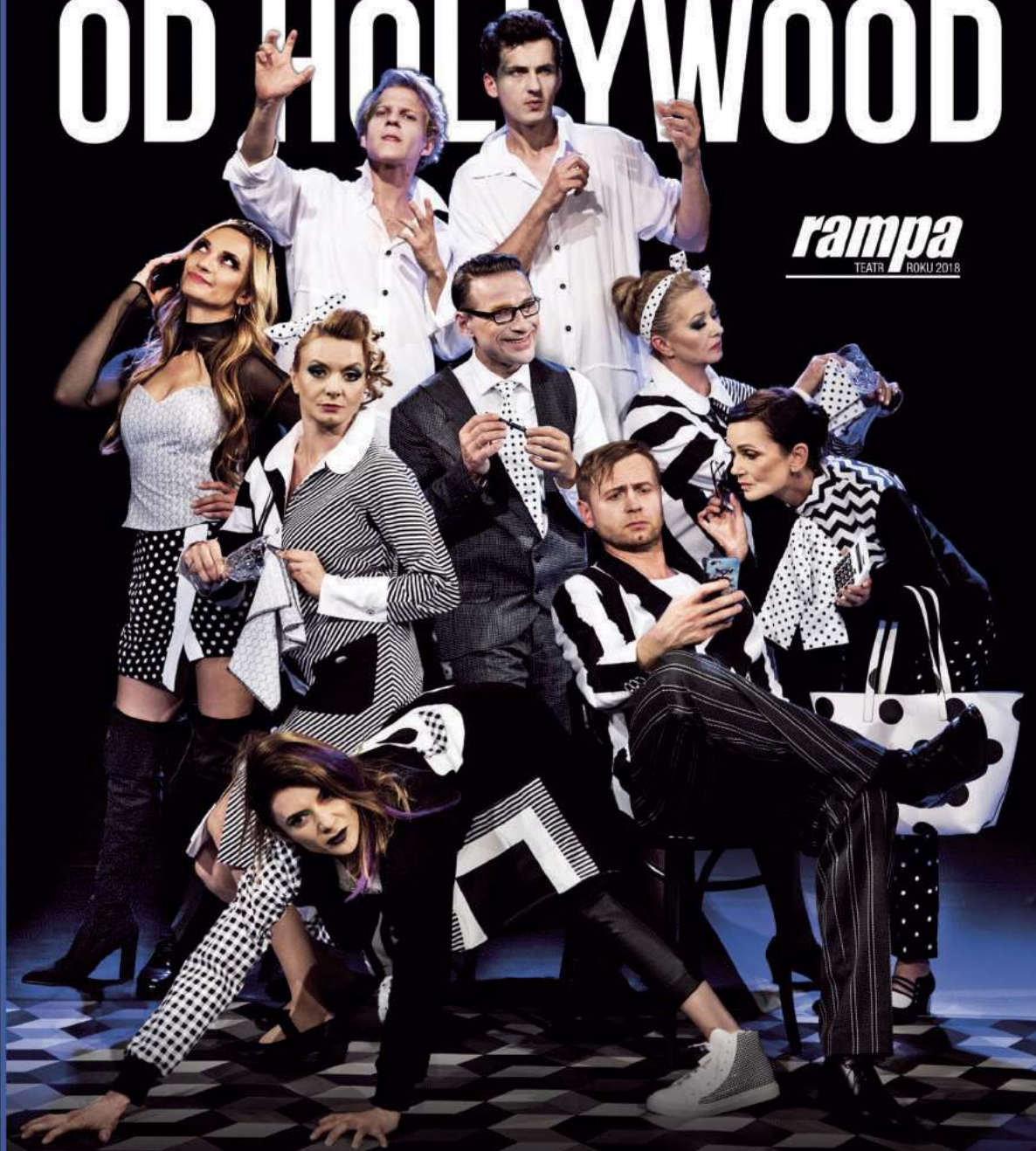


Muzeum Niepodległości w Warszawie jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego

eprasa.pl bb430192a1

NA WSCHÓD NOWA KOMEDIA TOMASZA JACHIMKA OD HOLLYWOOD

rampa
TEATR ROKU 2018



SCENARIUSZ I TEKSTY PIOSENEK TOMASZ JACHIMEK • MUZYKA MARCIN PARTYKA • REŻYSERIA JERZY JAN POŁŃSKI
CHOREOGRAFIA MICHAŁ CYRAN • SCENOGRAFIA I KOSTIUMY MONIKA WÓJCIK
PRAPREMIERA 27 WRZEŚNIA 2019

PATRONI MEDIALNI



naszemiasto.



PARTNERZY

eBilet.pl

